

AGATHA CHRISTIE

RENDEZ-VOUS ZE ŚMIERCIĄ

PRZEŁOŻYŁA JAN DEHNEL
TYTUŁ ORYGINAŁU APPOINTMENT WITH DEATH

RENDEZ-VOUS ZE ŚMIERCIĄ

Dwaj Beduini wbiegli pod markizę i szybko zaczęli mówić coś po arabsku do Mahmuda. Ten niespokojnie rozejrzał się dokoła i wyszedł prędko. Pod Wpływem nagłego impulsu Sara wybiegła za nim.

— Co się stało? — zapytała.

— Abdul powiada, że starsza pani chora. Nie może się poruszać.

Lekarka przyśpieszyła kroku.

— Pójdę tam. Sprawdź.

Wspięła się za Mahmudem skalną ścieżką aż do groty, przed którą siedziała nieruchoma postać. Ujęła jej nabrzmiałą dłoń, wprawnie poszukała tętna.

Kiedy wyprostowała się, była bardzo blada. Co tchu wróciła pod markizę i przystanąwszy u wejścia, spojrzała na Boyntonow. Po chwili odezwała się głosem, którego ton zabrzmiał w jej ustach szorstka, bardzo nienaturalnie:

— Z przykrością muszę zawiadomić pana — zmusiła się, by słowa skierować do Lennox, głowy rodziny — że pańska matka nie żyje.

*Ryszardowi i Myrze Mallock,
wspominając wspólną wycieczkę
do Petry*

ROZDZIAŁ I

— Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić?

Pytanie jak gdyby zawisło na chwilę w spokojnym powietrzu nocy, aby ulecieć poprzez ciemności w kierunku Morza Martwego.

Herkules Poirot znieruchomiał z ręką na okiennym ryglu. Później zmarszczył się gniewnie i energicznie zamknął okno. Wyznawał pogląd, że otwarta przestrzeń to najwłaściwsze miejsce dla świeżego powietrza, a nocne świeże powietrze jest szczególnie groźne dla zdrowia.

Z pedantyczną dokładnością zasłonił okno i zmierzając w stronę łóżka, uśmiechnął się dobrotliwie.

„Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić”. Ciekawe zdanie! W sam raz dla uszu słynnego detektywa — i to pierwszego wieczoru w Jerozolimie.

— Wszędzie, dokąd przyjadę, coś musi mi przypominać zbrodnię — mruknął do siebie, lecz uśmiechał się nadal, bo przyszła mu na myśl pewna anegdota.

W swoim czasie Antoni Trollope, angielski powieściopisarz, odbywał rejs przez Atlantyk i niechcący podsłuchiwał dwóch współpasażerów, którzy rozmawiali o jego ostatniej książce. „Dobre to — orzekł jeden z nich — ale facet powinien był zabić tę okropną starą babę”. Trollope zwrócił się do nich z życzliwym uśmiechem: „Panowie! Jestem wam niewymownie wdzięczny. Niezwłocznie pójdę zabić tę okropną starą babę”.

Poirot począł się zastanawiać nad źródłem posłyszanego zdania. „Może w grę wchodzi współpraca nad jakąś powieścią lub sztuką? — myślał wciąż z uśmiechem. — A może kiedyś dobrze będzie przypomnieć sobie te słowa, nadać im sens bardziej ponury”.

Brzmienie głosu — głosu mężczyzny lub dorastającego młodzieńca — świadczyło o silnym napięciu nerwowym. Mały Belg zgasił lampkę przy łóżku i pomyślał: „Wydaje mi się, że ten głos poznam...”

Raymond i Carol Boyntonowie stali obok siebie, zapatrzeni w granatową głębię nocy. Łokciami opierali się o parapet okna.

— Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić? — powtórzył : nerwowo Raymond.

Carol drgnęła lekko.

— To straszne... — zaczęła zdławionym szeptem.

— Nie bardziej straszne niż to, co jest teraz — przerwał jej brat.

— Cóż?... Zapewne masz rację.

— Tak dłużej być nie może! — wybuchnął. — Musimy coś zrobić... Musimy! A innego wyjścia...

— A gdybyśmy uciekli dokądś... Jakoś... — wtrąciła bez przekonania.

— Nie uda nam się... — podchwycił głosem beznadziejnym. — Sama wiesz, że nie może się udać.

Dziewczyna wzdrygnęła się nerwowo.

— Wiem, Ray... Wiem...

Jej brat parsknął pełnym goryczy śmiechem.

— Każdy powiedziałby później, że to było szaleństwo... Dlaczego nie odeszli po prostu?

— A może jesteśmy szaleni! — westchnęła.

— Chyba jesteśmy... Tak. Albo bardzo niedługo oszalejemy. Nawet w tej chwili ktoś miałby prawo uznać nas za parę wariatów. Przecież spokojnie, na zimno rozmawiamy o zabiciu własnej matki!

— To nie nasza matka! — obruszyła się.

— Słusznie. To nie nasza matka — przyznał Raymond i po paru sekundach zapytał rzeczowym tonem: — Zgadzasz się ze mną, prawda?

— Zgadzam się, że ona powinna umrzeć. Jest obłąkana. Gdyby była normalna, nie potrafiłaby tak nas dręczyć. Od lat powtarzamy, że tak dłużej być nie może, ale od lat to > trwa. Powtarzamy, że kiedyś ona musi umrzeć, ale ona i wciąż żyje. Chyba nigdy nie umrze, jeżeli...

— Jeżeli jej nie pomożemy! — dokończył za nią brat.

— Tak! — Carol zacisnęła pięści.

Zapanowało milczenie. Po chwili Raymond podjął chłodno rzeczowym tonem, a tylko lekkie drżenie głosu świadczyło o jego zdenerwowaniu:

— Oczywiście rozumiesz, czemu musi to zrobić jedno z nas? Rozumiesz, prawda? Lennox ma obowiązki wobec Nadine. Jinny niepodobna wciągać w takie rzeczy.

Wzdrygnęła się nerwowo.

— Biedna Jinny! Obawiam się...

— Tak! Coraz gorzej z nią, prawda? Właśnie dlatego coś trzeba zrobić, póki nie jest za późno dla Jinny.

Dziewczyna wyprostowała się nagle. Odgarnęła z czoła bujne kasztanowe włosy.

— Ray! Czy ty uważasz, że zrobimy coś naprawdę złego?

— Nie... — odparł tym samym wciąż, opanowanym na pozór tonem. — Zabija się wściekłego psa... To, co sieje zło, powinno być usunięte. A w tym przypadku nie widzę innego sposobu.

— Ale i tak... — zaczęła szeptem Carol. — I tak pošlę nas na krzesło elektryczne... Widzisz, nie potrafilibyśmy wytłumaczyć, jaka ona była naprawdę... Wszystko dzieje się w naszej wyobraźni... Rozumiesz? W jakiś dziwny sposób...

— To nie wyjdzie na jaw. Mam plan. Dokładnie obmyślony. Nic nam nie grozi.

Spojrzała mu prosto w twarz.

— Ray! Jesteś dziś jakiś inny. Coś ci się przytrafiło... Co? Skąd takie myśli biorą się w twojej głowie?

— Dlaczego miałyby mi się coś przytrafić? — zapytał, odwracając wzrok.

— No przecież widzę, Ray! Czy ta dziewczyna z pociągu...?

— Także pomysł! Daj spokój, Carol. Zajmijmy się lepiej...

— Twoim planem? Dobrze... Pewien jesteś, że to plan bezbłędny?

Tak. Naturalnie zaczekamy na sposobność, a później, jak dobrze pójdzie, będziemy wolni. Wszyscy!

— Wolni? — westchnęła; podniosła wzrok ku gwiazdom i nagle wybuchnęła gwałtownym płaczem.

— Carol! Co tobie?

— Jak tu pięknie! — zaszlochała. — Noc i granat nieba, i gwiazdy... Dlaczego to wszystko nie dla nas? Czemu nie możemy być jak inni ludzie, tylko tacy dziwaczni, spaczeni, źli?

— Wszystko będzie dobrze po jej śmierci.

— Naprawdę? Pewien jesteś? Czy nie za późno?

— Nie! Nie!

— Zastanawiam się...

— Carol! Jeżeli nie chcesz... Odtrąciła jego pocieszycielskie ramię.

— Chcę! Jestem z tobą... Przez wzgląd na innych... Przede wszystkim na Jinny... Trzeba ratować Jinny!

— Więc zaczynamy działać? — zapytał Raymond po chwili.

— Tak.

— Dobrze. Powiem ci teraz, jaki plan obmyśliłem... — urwał, pochylił głowę w jej stronę.

ROZDZIAŁ II

Panna Sara King stała przy stole w czytelni hotelu „Salomon” w Jerozolimie i machinalnie przerzucała czasopisma. Jej zmarszczone czoło i ściągnięte brwi wskazywały, że jest mocno zaprzątnięta czymś innym.

Wysoki Francuz w średnim wieku, który wszedł z holu, patrzył na nią przez chwilę, nim zbliżył się i zatrzymał po przeciwnej stronie stołu. Spojrzała na niego i z uśmiechem pochyliła głowę. Przypomniała sobie, że podczas podróży z Kairu ten pan pomógł jej przy przenoszeniu walizek.

— Mam właśnie zamiar zamówić kawę — zagaił nowo przybyły. — Napije się pani ze mną?

— Chętnie... Nazywam się King, Sara King.

— A ja... Służę pani. — Podał jej bilet wizytowy, na który spojrzała z przyjemnym zdziwieniem.

— Doktor Teodor Gerard! Jakże mi miło poznać pana. Czytałam pańskie bardzo interesujące prace z zakresu schizofrenii. Oczywiście!

— Oczywiście? — zdziwił się Francuz.

— Bo widzi pan... — wyjaśniła z pewnym zakłopotaniem — ja też będę lekarzem. W tym roku uzyskałam absolutorium.

— Aha... rozumiem.

Ulokowali się w zacisznym kąciaku i doktor zamówił kawę. O wiele mniej go interesowały medyczne studia Sary niż jej falujące ciemne włosy oraz czerwone usta o pięknym wykroju. Ponadto dobrze się bawił pełnym nabożnego skupienia szacunkiem, z jakim odnosiła się do niego.

— Długo tu pani zabawi? — zapytał.

— Tylko kilka dni. Później wybieram się do Petry.

— Aha... Ja też myślę o tej wycieczce, jeżeli nie zajmie mi zbyt wiele czasu. Czternastego muszę być w Paryżu.

— Wycieczka trwa mniej więcej tydzień — wyjaśniła. — Dwa dni tam, dwa na miejscu i dwa z powrotem.

Jeszcze raz przyjrzał się starej Amerykance — zawodowo |tym razem, nie z punktu widzenia estetyki.

— Puchlina wodna... Zwyródnienie mięśnia sercowego na tle... — zaczął i dodał gładko medyczną definicję.

— Tak. Ale nie o to chodzi — podchwyciła Sara. — Nie sądzi pan, że reszta rodziny odnosi się do niej dziwnie?

— Co to za jedni? Wie pani?

— Wiem. Nazywają się Boynton. Matka, syn z żoną, drugi syn, młodszy, dwie córki.

— Aha... La familie Boynton poznaje świat — uśmiechnął się.

— Właśnie. Ale poznaje go w cudacznym sposób. Żadne z nich nie odzywa się do nikogo obcego. No i nie może nic zrobić, póki stara nie powie, czy można.

— Postać o matriarchalnych skłonnościach?

— Nie. Moim zdaniem to czystej wody tyran bez serca! Francuz wzruszył ramionami i napomknął, że, jak wiadomo powszechnie, Ameryką rządzą kobiety.

— Tak, ale tutaj jest coś więcej — obstawała przy swoim Sara. — Ona jest... Ona trzyma całą rodzinę w takim strachu, tak zdecydowanie pod pantoflem, że... że... To aż nieprzyzwoite!

— Aha. Zbyt wielka władza jest niedobra, zwłaszcza dla kobiety — zgodził się doktor Gerard nadspodziewanie poważnym tonem.

Zerknął z ukosa na Sarę, która nie odrywała wzroku od Boyntonów, lub raczej od jednego przedstawiciela tej rodziny. Uśmiechnął się z istic gallickim zrozumieniem.

— Pani już z nimi rozmawiała? — rzucił sondujące pytanie.

— Tak... To znaczy z jedną osobą.

— To był młodszy syn, co?

— Aha... Kiedy jechaliśmy z Kantary, stał w wagonie na korytarzu. Odezwałam się do niego.

— Dlaczego?

— Tak, bez żadnego powodu. Często wdaje się w rozmowy z towarzyszami podróży. — Wzruszyła ramionami. — Interesują mnie ludzie i wszystko, co robią, myślą, czują.

— Można by rzec: bada pani pod mikroskopem?

— Coś w tym sensie — przyznała bez wahania.

— A jakie wrażenie odniosła pani w tym przypadku?

— Powiedziałabym... raczej dziwne. Przede wszystkim chłopiec zarumienił się po uszy.

— Objaw godny uwagi, prawda? Sara parsknęła śmiechem.

— Czy, pańskim zdaniem, zląkł się, że ma do czynienia z panienką, która robi mu awanse? Nie. Nie zdaje mi się. Mężczyźni łatwo wyczuwają takie rzeczy. Prawda, panie doktorze? — Pytając spojrzała mu w oczy, a Francuz przytaknął ruchem głowy. — Odniosłam wrażenie, że... Jak by to sformułować?... Że on jest podniecony, niezwykle podniecony, a jednocześnie pełen strachu. Zdziwiłam się, bo za— zwyczaj Amerykanie są bardzo pewni siebie, opanowani. Przeciętny amerykański dwudziestolatek jest bardziej wyrobiony i życie zna nieporównanie lepiej niż młody Anglik f w tym samym wieku. A on musi mieć więcej niż dwadzieścia lat.

— Powiedziałbym dwadzieścia trzy lub cztery — wtrącił doktor.

— Aż tyle?

— Tak przypuszczam.

— Zapewne ma pan słusność, ale... Ale mnie wydał się j dużo młodszy.

— Nieprzystosowanie umysłowe. Utrzymujący się długo czynnik infantylny.

— Aha! Więc oceniłam go właściwie! — zawołała z ożywieniem. — Zmierzam do tego, że jest w nim coś nienormalnego. Prawda?

Francuza rozbawiło jej żywe zainteresowanie. Nieznacznie wzruszył ramionami.

— Droga pani — powiedział. — Kto z nas jest zupełnie normalny? Ale w tym przypadku z pewnością występuje jakiś stan nerwicowy.

— Spowodowany przez tę okropną babę! To pewne!

— Ta okropna baba bardzo się pani nie podoba, prawda?

— Bardzo! Ona... ma takie złe oczy.

— Niejedna matka miewa złe oczy, kiedy jej syn zaczyna interesować się uroczą, młodą dziewczyną — bąknął z uśmiechem.

Panna King niecierpliwie wzruszyła ramionami. Francuzi są wszyscy tacy sami! Mają obsesję na punkcie seksu. Ale jako sumienny psycholog musi przyznać sama, że właśnie seksu należy szukać u podłoża większości spraw ludzkich. Zamyśliła się i po chwili drgnęła raptownie.

Raymond Boynton przeszedł obok niej w kierunku stołu, z którego wziął jakieś czasopismo. Kiedy wracał, spojrzała na niego i odezwała się półgłosem:

— Bardzo pan dziś zajęty zwiedzaniem?

Rzuciła pierwsze słowa, jakie przyszły jej na myśl. Ciekawa była reakcji chłopca, nie jego odpowiedzi.

Raymond przystanął nagle niby nerwowy koń, który wyłamuje przed przeszkodą. Zacerwienił się i skierował lękliwy wzrok ku centralnej postaci rodzinnej grupy.

— Co?... Ja?... A tak...

Urwał, odwrócił się i jak dźgnięty ostrogą pomknął do swoich.

Groteskowa karykatura Buddy wyciągnęła dłoń tłąstą i opuchniętą i, jak zauważył doktor Gerard, sięgając po pismo, spojrzała bystro w twarz syna. Burknęła coś — zapewne słowo podziękowania. Później powoli odwróciła głowę i złym spojrzeniem objęła Sarę. Twarz miała pozbawioną wszelkiego wyrazu.

Panna King zerknęła na zegarek.

— A to dopiero! — zawołała. — Jest znacznie później, niż sądziłam! — Wstała od stolika. — Dziękuję, panie doktorze, za kawę. Już idę. Mam do napisania kilka listów.

— Liczę, że spotkam panią jeszcze.

— O, tak! Może zdecyduje się pan na wycieczkę do Petry.

— Postaram się — obiecał.

Uśmiechnęła się i odwróciła, aby zmierzając ku drzwiom, przejść tuż obok rodziny Boyntonów. Doktor uważnie patrzył jej śladem i zobaczył, że starsza pani spojrzała prosto w twarz syna, ten spuścił wzrok i odwrócił głowę od Sary. Był to ruch bardzo powolny, jak gdyby oporny, więc doktor odniósł wrażenie, iż La Maman pociągnęła jakiś niewidzialny sznurek.

Sara King zauważyła również ten unik, a że była młoda i podatna na zwyczajne ludzkie uczucia, zrobiło się jej przykro. Tak miło gawędzili w korytarzu rozkołysanego wagonu sypialnego. Porównywali wrażenia z Egiptu i śmieli się serdecznie, wspominając komiczny żargon mulników i rozmaitych ulicznych kramarzy. Młody Boynton sprawiał wrażenie rozgorączkowanego uczniaka, wzruszającego w swoim naiwnym zaciekawieniu światem. A dzisiaj, z niewiadomych przyczyn, był onieśmielony i ponad wszelką wątpliwość gburowaty.

„Nie warto zawracać sobie nim głowy” — pomyślała z rozdrażnieniem Sara, która nie była specjalnie zarozumiała, lecz doceniała w pełni własną osobę. Nie wątpiła, że dla mężczyzn jest pociągająca, a nie należała do dziewcząt, które pozwalają traktować się z góry.

Może do tego chłopca odniosła się zbyt przychylnie, gdyż z niewiadomych wówczas przyczyn obudził jej współczucie. I co? Dziś wyszło na jaw, że to przeciętny młody Amerykanin — arogancki, nieokrzesany, ordynarny!

W swoim pokoju nie zabrała się do pisania listów. Usiadła przy toalecie, poprawiła włosy w lustrze, spojrzała w zatroskane piwne oczy i przystąpiła do oceny własnej sytuacji życiowej.

Ostatnio przeszła silny wstrząs uczuciowy. Przed miesiącem zerwała z narzeczoną, początkującym lekarzem, starszym od niej o cztery lata. Czuli do siebie silny wzajemny pociąg, lecz z usposobienia byli zanadto podobni. Ich nieporozumienia wiodły często do zaciekłych kłótni. Sara była energiczna i zbyt niezależna, by ulegać czyjejś władzy. Jak wiele kobiet o apodyktycznych skłonnościach, mówiła nieraz, że chce, aby nią rządzono. Kiedy jednak spotkała mężczyznę, który naprawdę mógłby ją sobie podporządkować, przekonała się, że wcale jej to nie odpowiada. Zerwanie kosztowało ją wiele, ale była wystarczająco trzeźwa, aby ocenić, że sam wzajemny pociąg nie wystarczy. Zdecydowała więc, że udzieli sobie dłuższego urlopu, by w czasie zagranicznej podróży znaleźć zapomnienie, a później serio wziąć się do pracy.

Myślami wróciła znów do rzeczywistości. Miała szczerą ochotę, by doktor Gerard potraktował ją serio, zechciał mówić o swojej pracy, której wyniki znała i ceniła wysoko. Później wróciła znowu do tego gburą, młodego Amerykanina.

Niewątpliwie zachowywał się dziwnie, ponieważ był pod obserwacją rodziny. „Ale co z tego? — pomyślała z pogardliwym grymasem. — To głupio siedzieć tak pod rodzinnym pantoflem. Szczególnie dla mężczyzny!”

Miała jednak wrażenie, że za tym wszystkim kryje się coś niecodziennego.

— Chłopiec szuka ratunku — powiedziała na głos, nieoczekiwanie dla samej siebie. — Już ja się tym zajmę!

ROZDZIAŁ III

Po odejściu Sary doktor Gerard siedział jeszcze przez kilka minut. Następnie podszedł do stołu z czasopismami, wziął najświeższy numer *Le Matin* i usadowił się w fotelu odległym o parę kroków od Boyntonów. Powodowała nim ciekawość.

Początkowo bawiła go młoda Angielka i jej troska o losy amerykańskiej rodziny, wynikała — jak podejrzewał chytrze — z zainteresowania jednym z przedstawicieli tej rodziny. Później coś niezwykłego w tym familijnym zgromadzeniu obudziło w nim głębsze, zawodowe zaciekawienie naukowca.

Dyskretnie, pod osłoną gazety, zaczął obserwować Boyntonów. Najpierw zwrócił uwagę na chłopca, którym Sara zainteresowała się tak żywo. „Rzeczywiście — pomyślał — taki właśnie typ winien ją pociągać. Jest mocna, ma charakter, potrafi panować nad sobą. Zrównoważony umysł. Silna wola. A to chłopiec wrażliwy, nerwowy, nieśmiały, podatny na wszelkie obce wpływy”. Doktor odniósł takie wrażenie i wyczulonym okiem lekarza stwierdził, że młody Boynton jest w stanie silnego napięcia nerwowego. Zdziwiło go to, a nawet zbiło z tropu. Dlaczego młody mężczyzna, najwyraźniej zdrowy fizycznie, który dla przyjemności odbywa podróże, jest bliski kompletnego załamania?

Francuz prowadził dalej obserwacje. Dziewczyna o kasztanowych włosach to bez wątpienia siostra Raymonda. Obydwoje stanowią ten sam typ antropologiczny — są drobnokościści, pięknie uformowani, można by rzec arystokratyczni. Mają długie i szczupłe dłonie, ten sam delikatny owal twarzy i kształtną głowę osadzoną na długiej szyi. No i dziewczyna jest również zdenerwowana: wciąż mimo woli wykonuje drobne nieskoordynowane ruchy, jej nadmiernie błyszczące oczy są bardzo podsinione, a kiedy się odzywa, głos ma zbyt szybki, jak gdyby cokolwiek zdyszany. Jest czujna, podniecona, niezdolna do odprężenia. „I lęka się czegoś — myślał dalej doktor. — Jest wystraszona. To pewne!”

Uchem łowił fragmenty rozmowy — bardzo zwyczajnej i zdawkowej.

— Możemy wybrać się do Stajen Salomona.

— Czy to nie zbyt męczące dla mamy?

— Chyba na przedpołudnie wystarczy Ściana Płaczu?

— No i naturalnie Świątynia. Nazywają ją też Meczec Omara. Ciekaw jestem dlaczego?

— Dlatego, oczywiście, że została przerobiona na muzułmański meczet. To takie proste, Lennox.

Najpospolitsza w świecie paplanina przeciętnych turystów! Mimo to jednak odnosił szczególne wrażenie, że podsłuchane fragmenty rozmowy są jak gdyby nierealne, wydało mu się, że mają maskować coś nieokreślonego, co dzieje się na drugim planie i jest zbyt zagmatwane i niezrozumiałe, by mogło dać się ubrać w słowa. Ukradkiem spojrzął znowu zza płachty *Le Matin*.

Lennox? To niewątpliwie starszy brat. Widać pewne podobieństwo rodzinne, lecz występują różnice. Jest mniej podniecony, może ma bardziej zrównoważony charakter, ale i tutaj wyczuwa się coś niezwykłego. Doktor osądził, że Lennox Boynton jest w takim samym napięciu jak tamtych dwoje. Opiera się o stół ciężko, bezwładnie... Począł przypominać sobie szpitalne sale i pacjentów, którzy siadywali w zbliżony sposób. „Ten człowiek — myślał — jest kompletnie wyczerpany. Jego oczy mają wyraz oczu rannego psa lub chorego konia, wyraz cierpliwej, zwierzęcej wytrwałości. To dziwne... Bardzo dziwne. Wszystko zdaje się wskazywać, że fizycznie nic mu nie dolega... Ale bez wątpienia ostatnio bardzo wiele cierpiał... Cierpiał moralnie... Psychicznie... Obecnie już nie cierpi... Z tępą wytrwałością czeka pewno na cios, który spaść musi. Jaki to może być cios? A może wyobrażam sobie całą tę historię? Nie! Ten człowiek czeka na coś, co nadejdzie i położy kres czemuś innemu

Lennox wstał, aby podnieść kłębek wełny, który upuściła starsza pani.

— Służę ci, mammo.

— Dziękuję.

Co też robi na drutach ta monumentalna stara kobieta o kamiennej twarzy? Wełna jest gruba i szorstka... „To będą rękawice dla jakichś nędzarzy z przytułku!” — orzekł Francuz i uśmiechnął się na myśl o harcach własnej wyobraźni. Zwrócił wzrok ku najmłodszej w rodzinnym gronie dziewczynie o złocistorudych włosach. Ma jakieś siedemnaście lat i jasną, nieskazitelną cerę, jaką często spotyka się u rudowłosych kobiet. Twarz jest piękna, chociaż zapewne zbyt chuda. Dziewczyna uśmiecha się do siebie — lub raczej uśmiecha się w przestrzeń — jakimś dziwnym, zagadkowym uśmiechem, przebywa gdzieś myślami niezmiernie daleko od hotelu „Salomon” i Jerozolimy. Doktor Gerard nie mógł znaleźć w pamięci tego, co mu ten uśmiech przypominał. Później doznał nagłego olśnienia. Podobny wyraz mają usta posągów dziewic na Akropolu w Atenach — wyraz bardzo odległy, pełen niewysłowionego uroku, a zarazem po trosze nie ludzki...

Spojrzał na ręce dziewczyny i odczuł niemal przerażenie. Jej dłonie, które osłaniał stół przed wzrokiem reszty rodzinnego grona, były dobrze widoczne z posterunku obserwacyjnego doktora. Złożone na kolanach nieustannie gniotły, szarpały chusteczkę do nosa — gniotły i darły na drobne strzępki.

Wstrząs był potężny! Odległy, zagadkowy uśmiech, ciało zastygłe w bezruchu i te szczupłe dłonie, wciąż czynne i niszczycielskie.

ROZDZIAŁ IV

Dało się słyszeć przeciągłe astmatyczne chrząknięcie i odezwała się kobieta zajęta robotą na drutach:

— Zmęczona jesteś, Ginevro. Najlepiej pójdź do łóżka. Dziewczyna drgnęła; znieruchomiały jej poruszające się nerwowo palce.

— Nie jestem zmęczona, mammo.

Gerard ocenił z uznaniem ten głos melodyjny i miły, przepelniający urokiem najprostsze nawet słowa.

— Jesteś. Ja wiem lepiej. Jutro nie może być mowy o żadnym zwiedzaniu.

— Dlaczego? Czuję się zupełnie dobrze.

— Nic podobnego! Z pewnością będziesz chora.

— Nie będę! — zaprotestowała dziewczyna i zaczęła trząść się nerwowo.

— Pójdę z tobą na górę, Jinny — zabrzmiał głos cichy i opanowany.

Z fotela wstała spokojna młoda kobieta o dużych, myślących, szarych oczach i ułożonych starannie ciemnych włosach.

— Ja chcę, żeby Nadine była ze mną.

— Będę z tobą. Oczywiście.

Nadine postąpiła krok, lecz znowu odezwała się stara:

— Ona woli zostać sama. Mam rację, Jinny, prawda?

Po chwili — bardzo króciutkiej chwili — Ginevra Boynton odpowiedziała, teraz tonem bezdźwięcznym i głuchym:

— Tak. Wolę zostać sama... Dziękuję ci, Nadine — i odeszła.

Doktor Gerard opuścił gazetę, by przypatrzeć się dobrze pani Boynton. Spoglądała śladem oddalającej się córki z osobliwym uśmiechem, jak gdyby karykaturą nieziemskiego, pełnego czaru uśmiechu, jaki tak niedawno opromieniał twarz młodziutkiej dziewczyny. Później zwróciła wzrok ku Nadine, która zdążyła już usiąść, a obecnie śmiało spotkała złośliwe spojrzenie świekry. Twarz miała niezmaczenie spokojną.

„Co za tyran z tej niedorzecznej baby!” — pomyślał Francuz, lecz w tej chwili spostrzegł, że tamta przygląda mu się natrętnie, więc odetchnął głęboko. W małych, czarnych, tonących w tłuszczu oczach zauważył coś szczególnego — emanowała z nich siła, poczucie władzy, zło. Znał się na ludziach i ukrytych cechach ich charakteru, więc uprzytomnił sobie, że nie ma przed sobą osoby chorej, rozpieszczonej, skłonnej do folgowania drobnym kaprysom. Zobaczył wcielenie mocy, istotę o spojrzeniu posiadającym coś z urzekających właściwości oczu kobry. Pani Boynton może być stara, niedołężna, schorowana, ale nie jest bezradna. To kobieta, która rozumie sens władzy, przez całe życie sprawowała władzę i nigdy nie wątpiła o własnej potędze. Gerard podziwiał raz cyrkówkę, która dawała występ z tresowanymi tygrysami. Wielkie czające się bestie pokornie wędrowały na wskazywane miejsca i wykonywały głupie, poniżające sztuczki. Wyraz ich oczu i dławione pomruki świadczyły o nienawiści — szalonej, pełnej furii nienawiści — lecz tygrysy płaszczyły się i słuchały. Tamta kobieta, śniada i ciemnowłosa, była młoda i wyzywająco piękna, jednakże w oczach miała bardzo podobne błyski.

— Pogromczyni! — szepnął do siebie i w tym momencie zrozumiał, co stanowiło podtekst banalnej pogawędki w rodzinnym kółku.

To była nienawiść — posepna, ukryta głęboko nienawiść.

„Na pewno — pomyślni — wydałbym się wszystkim fantastą skorym do urojeń. Oto patrzę na przeciętną amerykańską rodzinę, używającą życia w Palestynie, i snuję wokół niej brednie na temat czarnej magii!”

Z kolei zaczął przypatrywać się ciekawie spokojnej młodej kobiecie imieniem Nadine. Zauważył obrączkę na lewej ręce i ukradkowe, jak gdyby lękliwe spojrzenie, które rzuciła jasnowłosemu, flegmatycznemu Lennoxowi. Wiedział już, że tych dwoje to małżeństwo, lecz spojrzenie uznał raczej za macierzyńskie, pełne opiekuńczej troski i niepokoju. Wsunął ponadto jeszcze jeden wniosek. Uprzytomnił sobie, że w całej rodzinnej grupie tylko Nadine nie ulega władzy pani Boynton. Czuje do świekry odrazę, to pewne, ale się jej nie boi. Na nią przemoc nie działa. Jest nieszczęśliwa, głęboko zaniepokojona losem męża, przygnębiona, lecz wolna.

— To bardzo interesujące — mruknął do siebie i w tejże chwili pospolita przeciętność wniosła niemal ożywczy powiew do atmosfery jego posepnych rozważań.

Bardzo typowy, pogodny Amerykanin w średnim wieku wszedł do salonu i spostrzegłszy Boyntonów, pośpieszył w ich stronę. Był starannie ubrany i miał pociągłą, wygoloną twarz, mówił głosem przyjemnym, lecz cokolwiek rozwlekłym i monotonnym.

— Od rana rozglądam się za państwem — zaczął i wymieniwszy z wszystkimi uściski dłoni, zwrócił się do pani Boynton: — Jak zdrówko drogiej pani? Nie zmęczyła panią podróż?

— Nie... Jak pan wie, nigdy nie czuję się zupełnie dobrze... — sapnęła tonem niemal łaskawym nowo przybyłemu, którego nazwisko brzmiało Cope.

— Tak, tak... Niestety — wtrącił pan Cope.

— Ale nie czuję się dziś gorzej — podjęła pani Boynton z jadowitym uśmiechem. — Nadine dba o mnie... Prawda, moja droga? — zwróciła się do synowej.

— Robię, co w mojej mocy — odpowiedziała tamta obojętnym tonem.

— Ma się rozumieć! Naturalnie! — przytaknął entuzjastycznie rozmówca. — No i co, Lennox? Jak ci się podoba Gród Dawidowy?

— Bo ja wiem — odparł bez zainteresowania zagadnięty.

— Trochę rozczarowuje, no nie? Takie było moje pierwsze wrażenie. Ale państwo mało jeszcze chyba widzieli, co?

— Przez wzgląd na mamę niewiele możemy się ruszać — zabrała głos Carol.

— Dwie godziny zwiedzania w ciągu dnia to wszystko, na co mogę sobie pozwolić — wyjaśniła starsza pani.

— To prawdziwy cud, że droga pani może sobie pozwolić bodaj na tyle! — podchwycił z zapalem pan Cope.

Pani Boynton prychnęła chrapliwie.

— Nie zwykłam ulegać własnemu ciału — powiedziała. — Naprawdę liczy się duch. Tylko duch!

Gerard zauważył, że Raymond Boynton wzdrygnął się nerwowo.

— Był pan już pod Ścianą Płaczu, proszę pana?

— Naturalnie! Tam wybrałem się przede wszystkim. W ciągu najbliższych dwu dni chciałbym zwiedzić dokładnie Jerozolimę, a później zrobię objazd organizowany przez Cooka. Chcę poznać Ziemię Świętą: Betlejem, Nazaret, Tyberiadę... Bardzo to wszystko interesujące... No i Dżerasz, gdzie są podobno ciekawe ruiny... Rzymskie, rozumiecie państwo! Chętnie zobaczyłbym też różowopurpurowe skalne miasto Petrę... Istny fenomen natury! Ale Petra leży na uboczu, a droga tam i z powrotem plus solidne zwiedzanie zajmuje blisko tydzień.

— Bardzo to wszystko zachęcające — odezwała się znów Carol. — Chętnie pojechałabym do Petry.

— Z pewnością to coś naprawdę godnego uwagi. Naturalnie! — zaczął gorąco pan Cope, zawiesił na chwilę głos i, zerknąwszy z ukosa na panią Boynton, podjął tonem, który podsłuchującemu Francuzowi wydał się bardzo niepewny: — A może zdołałbym namówić kogoś z państwa na tę wycieczkę? Oczywiście, to nie dla drogiej pani — zwrócił się do starej

— i wiem, że część rodziny zechce pozostać z panią. Gdyby jednak państwo, że się tak wyrażę, złamali jednolity szyk... — urwał jakoś nieporadnie.

Przez chwilę Gerard słyszał tylko miarowy stukot drutów pani Boynton. Później dobiegł go jej głos:

— Nie sędzę, żeby odpowiadała nam rozłąka. Jesteśmy, proszę pana, wyjątkowo zżytą rodziną. — Rozejrzała się dokoła. — No i co, dzieci? Co wy na to?

Odpowiedzi nie dały na siebie czekać.

— Naturalnie, mamó.

— Oczywiście.

— Nie może być mowy o rozłące.

Pani Boynton zdobyła się na swój szczególny uśmiech.

— Słyszał pan? Dzieci nie chcą rozstawać się ze mną. A co ty powiesz, Nadine? Nic nie mówisz?

— Nie pojedę, mamó. Chyba, że życzyłby sobie tego Lennox.

Stara przeniosła wzrok na syna.

— Co ty na to, Lennox? Mógłbyś wybrać się do Petry z Nadine. Ona ma chyba ochotę na tę wycieczkę.

Lennox poruszył się niespokojnie, uniósł wzrok.

— Ja... Nie... Dziękuję, mamó. Najlepiej zostanmy wszyscy razem.

— Drodzy państwo to bardzo kochająca się rodzina — zauważył pan Cope z uznaniem, lecz głos jego miał przygaszone brzmienie.

— Trzymamy się razem i na uboczu — powiedziała stara i zaczęła zbierać kłębki wełny.

— Raymond! Co to za młoda osoba zagadnęła cię przed chwilą?

Chłopiec znów wzdrygnął się nerwowo. Zarumienił się, a później pobladł.

— Nie wiem... Nie mam pojęcia, jak się nazywa. Przyjechała tu razem z nami... Nocnym pociągiem.

— Myślę, że więcej nie będziemy mieć z nią do czynienia — oświadczyła pani Boynton i wolno, pracowicie zaczęła podnosić się z fotela.

Nadine wstała, by pospieszyć z pomocą świekrze, a jej zawodowa wprawa nie uszła uwagi doktora Gerarda.

— Czas do łóżek, dzieci! — oznajmiła pani Boynton. — Dobrej nocy, proszę pana — zwróciła się do pana Cope.

— Dobranoc drogiej pani. Dobranoc, Nadine.

Mały pochód rodzinny ruszył z miejsca i najwidoczniej nikomu z młodych nie przyszło do głowy, że można by wyłamać się z szyku. Pozostawiony w salonie pan Cope odprowadzał wzrokiem Boyntonów, a wyraz twarzy miał jakiś bardzo dziwny.

Doktor wiedział z doświadczenia, że Amerykanie są towarzyscy, a w czasie podróży nie okazują tej niemiłej podejrzliwości tak charakterystycznej dla Brytyjczyków. Zawarcie znajomości z tym Amerykaninem — samotnym i usposobionym życzliwie wobec ludzi — nie przedstawiało najmniejszej trudności komuś obdarzonemu taktem doktora Gerarda. Jego bilet wizytowy raz jeszcze wywołał pożądaný skutek.

Pan Jefferson Cope przeczytał nazwisko i był zachwycony.

— Doktor Gerard! Naturalnie! Niedawno pan doktor był w Stanach! Prawda?

— Tak. Ubiegłej jesieni. Wykładałem na uniwersytecie Harvard.

— Oczywiście! Nazwisko pana jest powszechnie znane. Pan doktor jest znakomitością pośród swoich paryskich kolegów.

— Stanowczo nazbyt pan uprzejmy. Muszę zaprotestować.

— Nic podobnego! Takie nieoczekiwane spotkanie z panem doktorem to zaszczyt dla mnie, wielki zaszczyt. A nawiasem mówiąc, bawi teraz w Jerozolimie sporo wybitnych osobistości. Pan doktor i lord Welldon, i znany finansista, sir Gabriel Steinbaum. Jest także

nestor brytyjskiej archeologii, sir Manders Stone, jest lady Westholme, głośna w Anglii działaczka polityczna, i słynny belgijski detektyw, Herkules Poirot.

— Mały Herkules Poirot? Naprawdę?

— Tak! Znalazłem jego nazwisko w lokalnej gazecie, pośród osób świeżo przybyłych. Wygląda na to, że kto żyw rezyduje dziś w hotelu „Salomon”. A nawiasem mówiąc, to rzeczywiście hotel na poziomie.

Pan Cope był najwyraźniej zadowolony, a Teodor Gerard należał do ludzi, którzy, jeśli im zależy, umieją być czarujący. Wkrótce nowi znajomi przenieśli się do baru, gdzie po dwu kolejkach whisky Francuz poruszył interesujący go temat

— Drogi panie — rozpoczął — czy ta amerykańska rodzina, z którą pan dopiero co rozmawiał, może uchodzić za typową?

Pan Cope pociągnął łyk z wysokiej szklanki, zrobił poważną minę.

— Nie — odrzekł po chwili. — Nie pozwoliłbym sobie na takie określenie.

— Naprawdę? A ja odniosłem wrażenie, że to bardzo kochająca się rodzina.

— Chce pan powiedzieć, że wszystko i wszyscy obracają się dokoła starszej pani? Rzeczywiście! To osoba na nieprzeciętną miarę.

— Tak pan sądzi?

Obeszło się bez dalszego pociągania za język.

— Nie będę tał, panie doktorze — podjął Amerykanin — że ostatnio wciąż myślę o tej rodzinie. Czy ja wiem? Może rozmowa na ten temat znudzi pana?

Doktor Gerard stanowczo odzębął się od nudy. Pan Cope zaczął znów mówić powoli, a jego sympatyczna, starannie ogolona twarz przybrała wyraz szczerzej troski:

— Przyznam otwarcie, że jestem trochę zmartwiony, zaniepokojony. Pani Boynton, widzi pan, to moja dawna dobra znajoma... Ma się rozumieć, młoda pani Boynton, nie starsza.

— Aha... Ta ciemnowłosa, urocza młoda mężatka?

— Zgadza się, panie doktorze! Nadine Boynton to bardzo wartościowa dziewczyna. Znałem ją przed jej ślubem. Pracowała wtedy w szpitalu. Kształciła się na pielęgniarkę. Później wyjechała na urlop zaproszona przez Boyntonów, no i tam wyszła za Lennox.

— Ciekawa historia...

Amerykanin pociągnął kolejny łyk whisky i mówił dalej:

— Chciałbym opowiedzieć panu z grubsza dzieje tej rodziny.

— Z przyjemnością ich wysłucham.

— Dziękuję. A zatem nieżyjący już Elmer Boynton, człowiek powszechnie znany i ogólnie szanowany, był dwukrotnie żonaty. Jego pierwsza żona umarła, kiedy Carol i Raymond ledwie wyrosli z pieluch. Później ożenił się powtórnie z osobą, jak słyszałem, nie pierwszej młodości, ale podobno w owym czasie przystojną. Zabawne, co? Jak dziś się na nią patrzy, trudno dać wiarę, że kiedykolwiek mogła być przystojna! Powtarzam to, czego się dowiedziałem z miarodajnych źródeł. W każdym razie mąż miał o niej dobre mniemanie i we wszystkim ślepo jej słuchał. Kilka lat przed śmiercią chorował ciężko, więc pani Boynton rządziła, jak chciała. To wyjątkowo zdolna i energiczna osoba z nieprzeciętną głową do interesów. Jest też uczciwa i sumienna. Kiedy Elmer umarł, poświęciła się bez reszty dzieciom. Jedno jest jej własne: Ginevra, ta ruda podfruwajka. Ładna, tylko trochę słabowita. Jak mówiłem, pani Boynton poświęciła się bez reszty dzieciom i kompletnie odcięła je od reszty świata. Nie wiem, co pan powie, panie doktorze, ale, moim zdaniem, to niefortunny pomysł.

— Zgadzam się z panem. Izolacja musi źle wpływać na ich umysły i na rozwój charakterów.

— W tym sedno sprawy! Pani Boynton zazdrośnie strzegła dzieci, nie pozwalała im na żadne kontakty z obcymi. W rezultacie wszyscy wyrosli na... jak by tu powiedzieć?... na

ludzi nerwowych, przewrażliwionych. Są nieufni, niezdolni do zawierania znajomości. To niedobrze, prawda?

— Bardzo niedobrze.

— Jestem przekonany, że pani Boynton działa i działała w najlepszej wierze. To przesadna gorliwość z jej strony.

— Wszyscy mieszkają razem? — zapytał Gerard.

— Tak.

— I synowie nie pracują?

— Nie. Elmer był bogaty. Cały majątek zostawił w dożywocie wdowie, z przeznaczeniem, rzecz jasna, na utrzymanie rodziny.

— Aha... Dzieci są uzależnione finansowo od matki?

— Tak. I ona życzy sobie, aby wszyscy mieszkali razem, nie szukali zajęcia poza domem. Może to i racja, bo pieniędzy mają jak lodu. Nikt z Boyntonów nie musi zarabiać, ale, moim zdaniem, praca zawodowa może wyjść tylko na dobre, zwłaszcza płci męskiej. I jeszcze jedno. Nikt z młodych nie ma żadnego hobby. Nie grają w golfa, nie tańczą, nie spotykają się z rówieśnikami. Wszyscy mieszkają razem w wielkim, ponurym domu na prowincji zabitej deskami. To, panie doktorze, warunki bardzo niekorzystne.

— Zgadzam się z panem — przytaknął Francuz.

— Młodzi Boyntonowie nie mają zmysłu towarzyskiego, poczucia łączności z innymi ludźmi. Może to bardzo kochająca się rodzina, ale też zamknięta w sobie.

— Czy żadne z nich nie myślało nigdy o buncie?

— Chyba nie... O czymś takim nie słyszałem. Cała czwórka tkwi po prostu na miejscu.

— A winę przypisuje pan dzieciom czy pani Boynton? Jefferson Cope zrobił zakłopotaną minę.

— Sądzę — podjął — że w większym albo mniejszym stopniu ona ponosi odpowiedzialność. Stosowała niewłaściwe metody wychowawcze. Ale z drugiej strony chłopak, który dorasta, powinien chyba dążyć do niezależności... Rozumie pan? Powinien sam zerwać jakoś pęta.

— To może być niewykonalne — wtrącił tonem zastanowienia Gerard.

— Niewykonalne? Czemu?

— Są rozmaite metody powstrzymywania wzrostu drzewa. Amerykanin zdziwił się trochę.

— Przecież to wszystko silni, zdrowi ludzie — zauważył.

— Umysł można kępować i dławić równie dobrze, jak ciało.

— Pod względem umysłowym oni są w porządku. Lekarz westchnął cicho, a Cope mówił dalej:

— Nie, panie doktorze! Proszę mi wierzyć, że mężczyzna powinien samodzielnie kierować swoim losem. Prawdziwy mężczyzna sam decyduje o sobie i coś z życia wyciąga. Nie siedzi beczynnie, nie kręci młynka kciukami. Żadna kobieta nie może poważać takiego mężczyzny.

Francuz spojrział nań z ukosa.

— Pije pan zapewne do Lennox Boyntona? — powiedział.

— Racja! Miałem na myśli Lennox, bo Raymond to jeszcze młodzik. Ale Lennox dobiega trzydziestki. Powinien coś z sobą zrobić.

— Jego żona ma chyba niełatwe życie? — rzucił doktor.

— Ma się rozumieć! Diabło trudne. To niezwykła kobieta. Naprawdę godna podziwu. Nigdy nie skarży się, ale nie jest szczęśliwa. Powiedziałbym nawet, że jest bardzo nieszczęśliwa.

— Na to wygląda — przytaknął Gerard.

— Nie wiem, jakiego pan jest zdania, ale według mnie są pewne granice cierpliwości. Na miejscu Nadine pogadałbym szczerze z Lennoxem. Albo coś musiałoby się zmienić, albo...

— Albo — podchwycił Francuz — młoda pani Boynton powinna rozstać się z mężem. Tak pan uważa?

— Każdy ma własne życie, panie doktorze. Jeżeli Lennox nie potrafi ocenić jej należycie, znajdzie się ktoś inny, kto...

— Na przykład pan... Prawda? — wtrącił znów lekarz.

Amerykanin zarumienił się mocno. Później spojrzawszy Gerardowi prosto w oczy i odpowiedział z pełną prostoty godnością:

— Tak... Nie wstyd mi moich uczuć dla Nadine. Szanuję ją i jestem do niej bardzo przywiązany. Pragnę tylko jej szczęścia. Gdyby było jej dobrze z Lennoxem, wycofałbym się, zniknął z pola widzenia.

— A w istniejących warunkach?

— Trwam przy niej. Jeżeli będę jej potrzebny, znajdzie mnie zawsze.

— Prawdziwy błędny rycerz z pana.

— Przepraszam... Nie dosłyszałem.

— Drogi panie! W dzisiejszych czasach duch rycerski żyje tylko pośród pańskich rodaków! Panu wystarcza służba dla wybranki, bez żadnych widoków na własne korzyści. Postawa godna najwyższego uznania! A tak realnie. W czym spodziewa się pan pomóc młodej pani Boynton?

— Postanowiłem być na każde jej zawołanie.

— A wolno zapytać, jak odnosi się do pana starsza pani Boynton?

— Z nią nigdy nic nie wiadomo — odparł z wolna Cope. — Jak mówiłem, unika wszelkich kontaktów. Ale do mnie odnosi się wyjątkowo. Jest przychylna, łaskawa, jak gdybym prawie należał do rodziny.

— Innymi słowy aprobeuje pańską przyjaźń z synową?

— Właśnie! Aprobeuje.

— To dziwne, prawda? Amerykanin zeszytniał trochę.

— Zapewniam pana, doktorze — podjął — że w tej absolutnie platonicznej przyjaźni nie ma nic niestosownego.

— Mój drogi panie! W to bynajmniej nie wątpię. Miałem na myśli tylko tyle, że życzliwy stosunek do pańskiej przyjaźni z jej synową to objaw dziwny z punktu widzenia samej pani Boynton. Ta kobieta interesuje mnie. Nawet bardzo!

— Słusznie, panie doktorze! To osoba niezwykła, potężna indywidualność. Elmer był wysokiego mniemania o jej rozumie.

— Tak wysokiego — podchwycił Francuz — że pod względem finansowym zdał dzieci na jej łaskę i niełaskę. W moim kraju nie mógłby tak postąpić z mocy prawa.

— My, Amerykanie — odrzekł pan Cope, wstając z miejsca — hołdujemy zasadzie absolutnej wolności.

Doktor również dźwignął się z krzesła. Ostatnie zdanie nie wywarło na nim głębszego wrażenia. Nieraz słyszał je powtarzane przez ludzi rozmaitych narodowości, lecz wiedział, że żadnego kraju, żadnego ładu, żadnego osobnika niepodobna nazwać nieograniczenie wolnym. Rzecz w tym, że istnieją rozmaite odmiany i gatunki więzów.

Położył się do łóżka zamyślony i mocno zainteresowany tym, czego się ostatnio dowiedział.

ROZDZIAŁ V

Sara King stała w obrębie murów świątyni Haram-esz-Szerif. Za sobą miała kopułę Przybytku Skały. Cicho szemrały fontanny, a małe grupki turystów przechodziły, nie zakłócając spokoju.

„To dziwne — myślała Sara — że niegdyś Jebusyci uczynili z tej skały klepisko do młócki, a Dawid kupił ją za sześćset szekeli złota i zamienił w miejsce święte... A dzisiaj?... Dzisiaj słyhać tu wielojęzyczny gwar rozmów ze wszystkich stron świata”.

Odwróciła się, by spojrzeć na meczet kryjący Przybytek Skały, i zadała sobie pytanie, czy Świątynia Salomona mogła być bodaj w połowie tak piękna.

Dał się słyszeć odgłos kroków i nieliczne towarzystwo wyszło z wnętrza meczetu. Byli to Boyntonowie w asyście wygadanego dragomana. Lennox i Raymond podtrzymywali starszą panią. Dalej Jefferson Cope asystował Nadine, a Carol zamykała pochód.

Kiedy minęli Sarę, Carol obejrzała się w jej stronę, przystanęła i, jak gdyby pod wpływem nagłego impulsu, zawróciła, by na palcach pośpieszyć ku niej przez dziedziniec.

— Bardzo przepraszam — zaczęła drżącym głosem. — Ale ja... Ja muszę pomówić z panią.

— Słucham? — zdziwiła się młoda lekarka. Dziewczyna była zdenerwowana, trzęsła się, twarz miała trupio bladą.

— Chodzi o... o mojego brata. Wczoraj zagadnęła go pani i... i na pewno wydał się pani nieokrzesanym gburem. On tego nie chciał... Nie chciał, ale nie mógł inaczej. To prawda!... Proszę mi wierzyć.

Panna King odczuła niesmak i urazę z powodu tej niedorzecznej sceny. Z jakiej racji obca osoba napastuje ją, aby wygłosić głupawą obronę źle wychowanego brata? Miała już na ustach ciętą odpowiedź, gdy nastąpiła niespodziewana zmiana. Sara wyczuła, że Carol Boynton jest naprawdę przejęta i mówi najzupełniej serio. Owo powołanie, które skłoniło ją do obrania zawodu lekarza, nakazało jej teraz wysłuchać dziewczyny.

— Proszę mi coś powiedzieć na ten temat — odparła z nutą zachęty.

— On rozmawiał z panią w pociągu, prawda? — podjęła Carol.

— Tak... Albo raczej ja z nim rozmawiałam.

— Oczywiście... I tak mogłoby być dalej... Ale wczoraj wieczorem... Wczoraj wieczorem Ray bał się... bo, widzi pani... — urwała z zakłopotaniem.

— Bał się?

Rumieniec zabarwił pobladałą twarz dziewczyny.

— Naturalnie, to brzmi głupio... Idiotycznie... Ale, widzi pani, nasza matka jest... jest poważnie chora i nie pochwała żadnych nowych znajomości. Ale... Ale ja wiem, że Ray chętnie zaznajomiłby się z panią bliżej.

Sara odczuła żywe zainteresowanie, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, tamta zaczęła znowu:

— Wiem... Wiem, oczywiście, że to, co mówię, może wydać się bardzo niemądre, ale...

— Z przestachem rozejrzała się dokoła. — Nie mogę zostać dłużej... Spostrzegą, że mnie nie ma.

— Dlaczego? — Lekarka zdecydowała już, jak winna postępować dalej. — Dlaczego nie może pani zostać dłużej? A gdybyśmy tak wrócili razem do hotelu?

— Nie! — Dziewczyna cofnęła się spłoszona. — To niemożliwe.

— Czemu? — natarła Sara.

— Niemożliwe... Naprawdę... Matka byłaby... byłaby... — zająknęła się bezradnie.

Sara przerwała jej stanowczym, opanowanym tonem:

— Wiem, że niektórym rodzicom strasznie trudno uprzytomnić sobie, że ich dzieci dorosły. Chcą rządzić nadal, kierować ich życiem. Ale szkoda poddawać się temu, proszę pani. Każdy powinien bronić swoich praw.

— Pani nie rozumie... Nic nie rozumie... — szepnęła Carol i nerwowo załamała rękę.

— Najczęściej ustępuje się — ciągnęła panna King — tylko dlatego, że człowiek boi się awantur. Awantury są bardzo nieprzyjemne. Zgoda! Ale wolność, moja droga, to coś, o co z pewnością warto walczyć.

— Wolność? — Carol spojrzała na nią ze zdumieniem. — Nikt z nas nie był nigdy wolny i nie będzie.

— Nonsens!

Carol pochyliła się, dotknęła palcami ramienia Sary.

— Proszę posłuchać! Ja chcę... Muszę wytłumaczyć to pani. Przed ślubem moja matka... Naprawdę to moja macocha... Przed ślubem była strażniczką w więzieniu. Mój ojciec był tam naczelnikiem. Ożenił się z nią. No i tak już zostało. Ona nie zmieniła się i dla nas od początku była strażniczką. Dlatego takie mamy życie. Jesteśmy w więzieniu! — Lękliwie rozejrzała się znów dokoła. — Ona zauważy, że mnie nie ma. Muszę już iść. Muszę!

Cofnęła się, lecz Sara zdążyła chwycić ją za rękę.

— Zaraz! Musimy spotkać się jeszcze, porozmawiać.

— Niemożliwe... Nie będę mogła.

— Będzie pani mogła — rzuciła stanowczo młoda lekarka. — Proszę przyjść do mnie w nocy. Pokój trzysta dziewiętnasty.

Puściła rękę dziewczyny, a gdy ta biegła co tchu za swoją rodziną, stała przez chwilę głęboko zamyślona. Kiedy ocknęła się wreszcie, zobaczyła, że obok niej znajduje się doktor Gerard.

— Dzień dobry, koleżanko — zaczął. — I co? Pogawędziła pani z Carol Boynton?

— Tak i muszę opowiedzieć panu, co usłyszałam — i szybko streściła przebieg rozmowy.

Gerard zwrócił szczególną uwagę na jedną sprawę.

— Aha! Była strażniczką więzienną! To ma swoją wymowę, prawda?

— Ma pan na myśli, że tu leży powód tyranii? — zapytała Sara. — Nawyki dawnego zawodu, co?

— Nie. Ujmuje to pani niewłaściwie. Pani Boynton nie tyranizuje dlatego, że była strażniczką więzienną. Nic podobnego! Obrąła ten zawód dlatego, że odpowiadało jej tyranizowanie i przepalała ją żądza władzy. Nasza podświadomość kryje takie rzeczy — ciągnął z całą powagą — żądzę władzy, sadyzm, nieokiełznane pragnienie zadawania ran w rozmaitym rozumieniu. Wszystko to tkwi w nas, droga koleżanko. Tłumimy te popędy. Staramy się ich nie ujawniać, ale czasami bywają silniejsze od nas.

— Wiem o tym. — Panna King wzdrygnęła się nerwowo.

— Stale to obserwujemy — mówił Francuz — w zasadach politycznych, w postępowaniu całych narodów. Wciąż widzimy odwrót od humanitaryzmu, miłosierdzia, braterskiej dobrej woli. Czasami hasła brzmią pięknie, lecz narzucane siłą powodują zgubne skutki, wynikające z przemocy lub strachu.

Przerwał na chwilę, a Sara zapytała:

— Podejrzewa pan, że pani Boynton to swojego rodzaju sadystka?

— Jestem tego prawie pewien. Sądzę, że ta kobieta delektuje się zadawaniem cierpień moralnych, rozumie pani, nie fizycznych. Jest to forma sadyzmu rzadsza i znacznie trudniej z nią sobie poradzić. Pani Boynton pragnie władać innymi i cieszy się tym, że cierpią.

— Okropność! — wzdrygnęła się znów młoda lekarka, a gdy Gerard powtórzył jej swoją rozmowę z Cope'em, zapytała: — On nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje, prawda?

— Tak, dla niego to zbyt skomplikowane. Przecież nie jest psychologiem.

— Rozumiem. Brak mu naszej obrzydliwej wnikliwości.

— Właśnie! To poczciwy, prostolinijny, sentymentalny umysł typowy dla Amerykanów. Skłania się on do wiary raczej w dobro niż w zło. Zdaje sobie sprawę, że w rodzinie Boyntonów panuje niewłaściwa atmosfera, lecz przypisuje ją przesadnej troskliwości starszej pani, nie zaś jej świadomie złemu postępowaniu.

— A ją musi to świetnie bawić.

— Z całą pewnością — zgodził się doktor.

— Ale czemu ci młodzi nie zbuntują się wreszcie? Przecież mogą.

— Nie. Tym razem myli się pani. Nie mogą. Widziała pani kiedy stary eksperyment z kogutem? Na podłodze rysuje się kredą kreskę i przytyka do niej dziób koguta. Biedak wyobraża sobie, że jest uwięzany. Nie może podnieść głowy. Coś podobnego dzieje się też z młodymi Boyntonami, którzy, proszę pamiętać, są od dzieciństwa pod moralną władzą starszej pani. Zahipnotyzowała ich, przepelniła wiarą, że niepodobna jej nie posłuchać. Znajdują się w więzieniu od tak dawna, że gdyby nawet więzienną bramę otwarto, nie zauważyliby tego. Jeden z nich, Lennox, już nie chce być wolny, a cała reszta lęka się wolności.

— A co będzie, gdy ona umrze? — zapytała rzeczowo. Gerard wzruszył ramionami.

— Zależy, kiedy umrze. Jeżeli nastąpiłoby to teraz, mogłoby nie być za późno. Carol i Raymond są jeszcze młodzi, łatwo ulegają wpływowi otoczenia. Zapewne zostaliby normalnymi ludźmi. Z Lennoxem inna sprawa. Wygląda mi na to, że zrezygnował już z wszelkich nadziei. Biernie znosi niewolę na jakiś zwierzęcy sposób.

— Jego żona powinna coś zrobić! — rzuciła niecierpliwie. — Wyrwać go, oswobodzić!

— Bo ja wiem... Może próbowała już, ale bez skutku.

— Myśli pan, że i ona została zahipnotyzowana?

— Nie. Jestem zdania, że stara nie ma nad nią władzy i dlatego nienawidzi synowej z całego serca. Proszę zwrócić uwagę na jej oczy, gdy przypatruje się Nadine.

— Nie mogę jej zrozumieć... To znaczy młodszej pani Boynton — powiedziała panna King. — Czyżby nie widziała, co się dzieje?

— Moim zdaniem, widzi i myśli swoje.

— Tę starą powinien ktoś uśmiercić! — zawołała żywo młoda lekarka. — Osobiście zaleciłabym arsenik w porannej filiżance herbaty... — urwała, by podjąć zaraz obcesowo:

— A co pan myśli o najmłodszej z rodziny, tej rudej? Doktor zmarszczył czoło, spochmurniał.

— Nie wiem. Tu właśnie widzę coś szczególnie dziwnego. Ona jest rodzoną córką pani Boynton.

— Oczywiście! I na tym chyba winna polegać różnica?

— Niekoniecznie — odparł Francuz. — Ktoś, kto raz uległ żądzy władzy, okrucieństwu, sadystycznym popędom, nie zwykł oszczędzać nikogo, nawet najdroższych i najbliższych. — Umilkł na chwilę i po zastanowieniu ciągnął: — Jestem lekarzem psychiatrą. Wiem, że znakomita większość schorzeń psychicznych wynika z wybujałych ambicji, z pragnienia sukcesów, potęgi, władzy. Zaspokojenie takich ambicji wiedzie do apodyktycznej pewności siebie, tyrańskich skłonności, okrucieństwa, a w ostatecznym rezultacie do przesytu. A w przypadkach, gdy wygórowane pragnienia nie mogą być zaspokojone... Cóż? Odpowiedzi należy szukać w zakładach dla umysłowo chorych. Są one pełne tych, co nie byli w stanie znieść własnej przeciętności, braku znaczenia, niewoli, a więc odcięli się od realnego świata i raz na zawsze zatrzasnęli za sobą drzwi rzeczywistości.

— Jaka szkoda, że ta stara nie trafiła do zakładu dla umysłowo chorych — westchnęła Sara.

— Nie tam jej miejsce, droga pani. Nie pośród zawiedzionych, upadłych. Tu sprawa przedstawia się gorzej. Jej dopisało szczęście. Pani Boynton ziściła swoje marzenia.

— Takie rzeczy nie powinny zdarzać się na świecie! — zawołała lekarka.

ROZDZIAŁ VI

Sara była ciekawa, czy Carol Boynton stawi się na nocne spotkanie. Wątpiła raczej, gdyż przewidywała, że po tych zwierzeniach musi nastąpić gwałtowna reakcja. Niemniej zrobiła odpowiednie przygotowania: ubrała się w szlafroczek z błękitnego atlasu i na maszynie spirytusowej postawiła wodę.

Tuż po pierwszej, kiedy zamierzała pójść do łóżka, usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła je i cofnęła się szybko, by wpuścić oczekiwanego gościa.

— Obawiałam się — zaczęła Carol — że pani już śpi, nie... Młoda lekarka postanowiła już uprzednio, że będzie chłodna, demonstracyjnie rzeczowa.

— Nic podobnego — zaprzeczyła. — Czekałam przecież na panią. Można służyć herbatą? — Sięgnęła po filiżankę.

Carol weszła do pokoju zdenerwowana, wylękniona, kiedy jednak przyjęła z rąk gospodyni filiżankę oraz kawałek ciasta, uspokoiła się nieco.

— Zabawna przygoda, prawda? — zagaiła rozmowę Sara.

— Tak... Tak mi się zdaje — bąknęła tamta z nutą powątpiewania.

— Coś w rodzaju biesiad o północy, jakie urządziłyśmy w internacie szkolnym — podjęła lekarka. — Pani chyba nie była w szkole?

— Nie byłam... My nie rozstawaliśmy się nigdy z domem. Mieliliśmy guwernantkę... Rozmaite guwernantki.

— I nie wyjeżdżaliście nigdzie?

— Nie. Zawsze byliśmy w domu... Od urodzenia w tym samym domu. To moja pierwsza podróż, proszę pani.

— I niewątpliwie wielka przygoda — podchwyciła swobodnie Sara.

— O, tak! Wszystko wydaje mi się marzeniem sennym.

— A co skłoniło pani mat... pani macochę do podróży? Na wzmiankę o pani Boynton dziewczyna nastroszyła się nieufnie, wobec czego panna King podjęła spieszenie:

— Chciałabym poinformować panią, że jestem lekarką. W tym roku uzyskałam absolutorium. Pani Boynton bardzo mnie interesuje jako przypadek chorobowy. Moim zdaniem, to typ wysoce patologiczny.

Carol szeroko otworzyła oczy. Taki aspekt sprawy był jej widać najzupełniej obcy. Sara rozumiała to i rozmyślnie rzuciła ostatnie zdanie chłodnym, pewnym siebie tonem. Nie wątpiła, że starsza pani dominuje nad rodziną niby olbrzymi, budzący grozę posąg bóstwa. Zamierzeniem młodej lekarki było odarcie tego bóstwa z cech najbardziej przerażających.

— Tak, droga pani — ciągnęła. — Istnieje powszechnie znana choroba, która stosunkowo często atakuje ludzi. Mam na myśli manię wielkości. Chory staje się wtedy despotą, wymaga, aby wszystko było tak, jak on każe i, oczywiście, jest bardzo trudny we współżyciu.

Carol odstawiła filiżankę.

— Taka jestem zadowolona — powiedziała — że mogę porozmawiać z panią. Bo, widzi pani, zdaje mi się, że Ray i ja jesteśmy ostatnio... jesteśmy jacyś dziwni... coraz bardziej dziwni. Rozmaite sprawy dręczą nas, wyprowadzają z równowagi.

— Rozmowa z kimś obcym dobrze zazwyczaj robi. W rodzinnym kółku ludzie łatwo poddają się takim czy innym nastrojom — podjęła Sara. — Wydaje mi się, że nie jest pani szczęśliwa? — zapytała od niechcienia. — Czy myślała pani kiedy o porzuceniu domu?

Dziewczyna zdumiała się znowu.

— Nie! Nigdy! Nikt z nas nie mógłby porzucić domu. Ona nie pozwoliłaby na to.

— Ale nie mogłaby pani zatrzymać — podchwyciła lekarka tonem perswazji. — Pani jest pełnoletnia, prawda?

— Mam dwadzieścia trzy lata.

— Właśnie!

— Ale i tak to byłoby niemożliwe... — zaczęła niepewnie Carol. — Nie wiedziałabym przecież, dokąd pojechać i co robić... Chodzi o to, proszę pani, że my zupełnie nie mamy pieniędzy.

— Nie ma pani przyjaciół, do których mogłaby się zwrócić?

— Przyjaciół? Skąd? My nie znamy nikogo.

— I nikt z pani rodzeństwa nie myślał nigdy o porzuceniu domu?

— Chyba nie... Nie sądzę... Przecież to niemożliwe... Sara pełna współczucia dla bezradnej dziewczyny zmieniła nagle temat.

— Jest pani przywiązana do macochy?

Carol zaprzeczyła powolnym ruchem głowy i szepnęła zdławionym, pełnym obawy głosem:

— Nienawidzę jej... Tak samo Ray. Często obydwójce życzymy jej śmierci.

Lekarka ponownie zmieniła temat.

— Proszę mi coś powiedzieć o pani starszym bracie.

— O Lennoxie? Nie wiem, co się z nim ostatnio dzieje. Prawie nic nie mówi i porusza się tak, jak gdyby śnił na jawie. Nadine bardzo niepokoi się o niego.

— Lubi pani bratową?

— O, tak! Nadine jest zupełnie inna niż my. Zawsze dobra, życzliwa... Ale wciąż się martwi.

— Z powodu pani brata?

— Tak.

— Od dawna są małżeństwem?

— Już cztery lata.

— I przez cały ten czas mieszkają razem z wami?

— Tak.

— Odpowiada to pani bratowej?

— Nie.

Nastąpiła krótka pauza.

— Jednego razu — podjęła Carol — przeszło cztery lata temu wynikła okropna awantura. Jak już mówiłam, nikt z nas nie wychodzi nigdy z domu... To znaczy wychodzimy do ogrodu, ale nie dalej. Raz pozwolił sobie na to Lennox. Wieczorem wymknął się do Fountain Springs, gdzie była jakaś zabawa taneczna. Mama dowiedziała się o tym i strasznie się gniewała. Okropnie było w domu... Później zaprosiła do nas Nadine, bardzo daleką krewną naszego ojca. Przyjechała na miesiąc i... I nie potrafię wyrazić, jak było nam przyjemnie, że mamy towarzystwo kogoś z zewnątrz. No i Lennox pokochał Nadine, a ona jego i matka powiedziała, że muszą pobrać się zaraz i mieszkać z nami.

— Nadine chętnie się na to zgodziła?

— Czy ja wiem... Nie miała chyba wielkiej ochoty, ale nie protestowała. Dopiero później chciała się wyprowadzić... Oczywiście z Lennoxem.

— Ale zostali, prawda?

— Tak. Matka nawet słyszeć nie chciała o rozstaniu. — Carol umilkła na chwilę. — Myślę, że teraz nie lubi Nadine. A Nadine jest... jest jakaś dziwna. Nie wiadomo nigdy, co rzeczywiście myśli. Usiłuje pomagać Jinny, a mamie wcale się to nie podoba.

— Jinny to pani młodsza siostra?

— Tak. Naprawdę ma na imię Ginevra.

— Czy ona również nie jest szczęśliwa? Carol bezradnie rozłożyła ręce.

— Czy ja wiem? Ostatnio zachowuje się... zachowuje się bardzo dziwnie. Nic a nic jej nie rozumiem. Zawsze była delikatna i mama trzęsła się nad nią, a jej wcale to nie pomagało.

Przeciwnie. A ostatnio dzieje się z nią coś naprawdę niedobrego. Czasami boję się Jinny, bo... bo ona nie zawsze wie, co robi.

— Była u lekarza?

— Nie. Nadine wspominała o tym, ale mama powiedziała: Nie! No i Jinny strasznie się rozhisteryzowała, zaczęła płakać, krzyczeć, że do żadnego doktora nie pójdzie. Bardzo niepokoję się o nią — westchnęła Carol i wstała niespodziewanie. — Nie mogę trzymać pani dłużej. Bardzo pani dobra, że pozwoliła mi przyjść tutaj, pomówić z sobą. Chyba musimy wydawać się pani bardzo dziwną rodziną.

— Ostatecznie wszyscy jesteśmy dziwni w ten czy inny sposób — powiedziała swobodnie Sara. — Proszę przyjść do mnie jeszcze i przyprowadzić brata.

— Naprawdę? Pozwoli pani?

— Ma się rozumieć. Będzie to coś w rodzaju sekretnego sprzysiężenia. Chciałabym też poznać państwa z jednym moim znajomym, doktorem Gerardem.

— To wszystko bardzo zabawne — ożywiła się dziewczyna. — Byleby tylko matka nas nie przyłapała.

— Nie przyłapie! Dobranoc, Carol. Więc umowa stoi? Jutro o tej samej porze?

— Tak. Pojutrze może już nas tu nie być — powiedziała Carol i ruszyła bezszelestnie korytarzem.

O piętro wyżej otworzyła cicho drzwi swojego pokoju i stanęła na progu jak skamieniała. Pani Boynton ubrana w purpurowy szlafrok siedziała w fotelu przed kominkiem.

— Oo!... — krzyknęła cicho dziewczyna, gdy przeszło ją spojrzenie ciemnych oczu.

— Gdzie chodziłaś, Carol?

— Bo ja... Tylko...

— Gdzie byłaś? — padło pytanie wypowiedziane cichym, przejmującym głosem, którego dźwięk przejmował zawsze grozą biedną Carol.

— U panny King... Sary King.

— Tej, która wczoraj zaczepiła Raymonda?

— Tak, mamó.

— Chciałabyś się jeszcze do niej wybrać? Dziewczyna bezdźwięcznie poruszyła wargami. Przytaknęła skinieniem głowy.

— Kiedy?

— Jutro o tej samej porze.

— Nie pójdziesz. Rozumiesz?

— Tak, mamó.

Starsza pani zaczęła dźwigać się z fotela. Dziewczyna odruchowo pospieszyła jej z pomocą.

Pani Boynton, podpierając się laską, ruszyła wolnym krokiem. Przy drzwiach odwróciła się, spojrzała na wystraszoną pasierbicę.

— Nie będziesz miała nic wspólnego z tą King. Rozumiesz?

— Tak, mamó.

— Powtórz to wyraźnie.

— Nie będę miała z nią nic wspólnego.

— Pamiętaj! — rzuciła starsza pani i wyszła.

Carol załamała się. Rzuciła się na łóżko i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Miała wrażenie, że otwarł się przed nią wspaniały widok pełen słonecznych blasków, drzew i kwiatów, a później nagle zamknęły się znów wokół niej czarne mury.

ROZDZIAŁ VII

— Mogłabym porozmawiać z panią chwilkę?

Nadine Boynton odwróciła się i nie bez zdziwienia spojrzała w śniadą twarz nieznajomej młodej kobiety.

— Naturalnie — odpowiedziała i jak gdyby z lękiem rozejrzała się dokoła.

— Nazywam się Sara King.

— Tak... Słucham?

— Proszę pani, to, co zamierzam powiedzieć, może wydać się bardzo dziwne. Wczoraj wieczorem odbyłam długą rozmowę z pani szwagierką.

— Rozmawiała pani z Ginevrą? — zapytała Nadine i cień niepokoju omroczył jej skupioną zazwyczaj twarz.

— Nie. To była Carol. Cień niepokoju zniknął.

— Aa... Carol... Jak pani tego dokonała?

— Przyszła do mojego pokoju... późno w nocy — wyjaśniła Sara i spojrzawszy na depilowane brwi, których łuk uniósł się na białym czole, dodała z zakłopotaniem: — To wszystko musi wydać się pani bardzo dziwne.

— Nie. Jestem zadowolona, bardzo zadowolona, że Carol znalazła przyjaciółkę i może z nią porozmawiać.

— Porozumiałyśmy się bardzo łatwo — podjęła lekarka, dobierając starannie słów — i, przynajmniej otwarcie, umówiłyśmy się na następny wieczór.

— I co?

— Ona się nie pokazała.

— Aa... Nie przyszła?

Głos Nadine zabrzmiał tonem chłodnego zastanowienia. Z jej spokojnej twarzy Sara nie mogła nic wyczytać.

— Tak. Wczoraj spotkałyśmy się w holu. Zagadnęłam ją i nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Spojrzała tylko na mnie i odeszła. Odeszła szybko, proszę pani.

— Rozumiem.

Nastąpiła kłopotliwa cisza i Sara nie bardzo wiedziała, co mówić dalej.

— To przykre — podjęła Nadine — ale Carol bywa czasami dziwna. Jest bardzo nerwowa. Znowu rozmowa się urwała i panna King, zebrawszy całą odwagę, podjęła:

— Proszę pani, jestem lekarką. Myślę, że lepiej byłoby dla pani szwagierki, gdyby nie odseparowywała się tak od ludzi.

Nadine spojrzała na nią bystro.

— Aa... Pani jest lekarką. To zmienia postać rzeczy.

— Rozumie pani, oczywiście, do czego zmierzam? — natarła znowu Sara.

Nadine — skupiona wciąż i zamyślona — twierdząco skinęła głową.

— Tak. I naturalnie ma pani słuszność. Ale istnieją pewne trudności. Moja świekra to osoba poważnie chora, cierpiąca między innymi na patologiczną odrzę w stosunku do obcych przenikających jej rodzinne kółko.

— Przecież Carol jest dorosła, pełnoletnia — obruszyła się młoda lekarka.

— Nic podobnego. Jest dorosła pod względem fizycznym, lecz nie umysłowym. Podczas rozmowy z nią musiała to pani zauważyć. Z pewnością w niebezpiecznej sytuacji zachowywałaby się jak wystraszone dziecko.

— Podejrzewa pani, że właśnie zaszło coś takiego i Carol zachowała się jak wystraszone dziecko?

— Podejrzewam, proszę pani, że moja świekra zażądała, aby ona nie rozmawiała z panią więcej.

— A Carol uległa?

— Czy wyobraża sobie pani, że mogłaby postąpić inaczej?

Spojrzały sobie w oczy i panna King odczuła, że poza osłoną zdawkowych słów rozumieją się doskonale. Jej zdaniem Nadine trafnie oceniała sytuację, lecz nie była przygotowana do rozmowy na ten temat.

Sara była zniechęcona, przykro rozczarowana. Po tej nocnej rozmowie z Carol sadziła, że w połowie wygrała bitwę. Dzięki potajemnym schadzkom natchnie dziewczynę duchem buntu... ją i jej brata, o którego los, być może, najbardziej jej chodzi. Ale w następnej rundzie została haniebnie pokonana przez to opasłe cielsko spoglądające na świat łakomymi i złymi oczyma. Carol poddała się bez walki.

— To bardzo źle! — zawołała lekarka.

Nadine nic nie odpowiedziała, ona zaś odczuła to milczenie, jak uścisk lodowatej dłoni. Pomyślała: „Ona lepiej niż ja rozumie beznadziejność tych warunków. Od lat w nich żyje!”

Z otwartych raptownie drzwi windy wyłoniła się starsza pani Boynton wsparta na lasce oraz ramieniu Raymonda. Sara wzdrygnęła się lekko. Zauważyła, że ciemne, złe oczy przeniosły się z niej na Nadine i z powrotem. Przygotowana była, że w wyrazie tych oczu dostrzeże głęboką niechęć, nawet nienawiść. Ale nie spodziewała się wyrazu, jaki zobaczyła — wyrazu złośliwego triumfu. Szybko odwróciła głowę. Równie szybko Nadine przyłączyła się do świekry i jej syna.

— Aa... Jesteś, Nadine — przemówiła starsza pani. — Chcę posiedzieć tu chwilę, odpocząć, nim wyjdę z hotelu.

Usadowiła się na krześle z wysokim, prostym oparciem. Nadine zajęła miejsce obok niej.

— Z kim rozmawiałaś, Nadine?

— Z panną King.

— Aa... To ta, co któregoś wieczora zaczepiła Raymonda. Ray! Mógłbyś z nią teraz porozmawiać. Spójrz. Siedzi sama przy tamtym biurku w rogu — powiedziała pani Boynton i z jadowitym uśmiechem spojrzała na syna.

Chłopiec zarumienił się mocno i coś wymamrotał.

— Co mówisz, synku?

— Nie chcę z nią rozmawiać.

— Tego się spodziewałam. Oczywiście. Ale nie bardzo potrafiłbyś rozmawiać, nawet gdybyś chciał. — Zaniósł się chrapliwym kaszlem. — Świetnie bawię się podczas tej podróży, Nadine. Nie zrezygnowałabym z niej za skarby świata.

— Naprawdę? — powiedziała Nadine bezbarwnym głosem.

— Ray!

— Słucham, mamo?

— Przynieś mi kartkę papieru z biurka tam w rogu. Chłopiec wstał i odszedł posłusznie, a Nadine uniosła głowę, by spojrzeć nie na niego, lecz w twarz świekry. Pani Boynton odprowadzała syna wzrokiem szyderczym, pełnym złośliwej uciechy. Ray prawie otarł się o Sarę, która popatrzyła na niego z nadzieją i spochmurniała znowu, gdy sięgnął szybko po papier i równie szybko wrócił na dawne miejsce. Był śmiertelnie blady. Czoło miał zroszone kroplami potu.

— Aa... — westchnęła cicho starsza pani i nagle dostrzegła w zwróconych ku sobie oczach synowej coś, co rozdrażniło ją najwidoczniej. — Gdzież to obraca się pan Cope? — rzuciła pytanie.

Nadine spuściła wzrok.

— Nie wiem. Nie widziałam go dzisiaj — odpowiedziała łagodnym jak zwykle tonem.

— Lubię go, bardzo lubię — podjęła świekra. — Musimy częściej się z nim widywać. Odpowiadałoby ci to, Nadine? Prawda?

— Tak. Ja też bardzo go lubię.

— Co się dzieje ostatnio z twoim mężem? Jest jakiś otępiały, milczący. Chyba nie ma nieporozumień między wami?

— Czemu miałyby być?

— Ha! Różnie bywa. W małżeństwie nie zawsze wszystko układa się gładko. Może czulibyście się lepiej we własnym domu?

Nadine milczała.

— I co? Nie odpowiada ci taki pomysł?

— Nie sędzę, by mamie odpowiadał — uśmiechnęła się synowa.

Pani Boynton zmrużyła oczy.

— Ty zawsze byłaś przeciwko mnie, Nadine — rzuciła szorstko, jadownicie.

— Przykro mi, że mama jest takiego zdania — padła spokojna odpowiedź.

Starsza pani pochyliła się, mocno oparła na lasce. Jej twarz posiniała jeszcze bardziej.

— Zapomniałam wziąć krople — podjęła innym już tonem. — Pójdiesz po nie, Nadine?

— Naturalnie.

Młoda kobieta wstała i pospieszyła w stronę windy. Stara odprowadziła ją spojrzeniem. Raymond siedział bez ruchu w fotelu: oczy miał szkliste, udreżone.

Nadine wjechała na górę i weszła do apartamentu zajmowanego przez rodzinę Boyntonów. Lennox siedział przy oknie w bawialni. Miał w ręku książkę, ale nie czytał.

— Oo... Nadine... — powiedział tak, jak gdyby się ocknął.

— Matka zapomniała wziąć krople — wyjaśniła. — Przysłała mnie po nie.

Poszła do sypialni świekry, gdzie uważnie odliczyła przepisaną dozę i kieliszek dopełniła wodą. Później, w drodze powrotnej przez bawialnię, przystanąła.

— Lennox...

Odpowiedział po dobrej chwili, jak gdyby słowo musiało odbyć długą drogę, nim trafiło do niego.

— Aha... Co powiesz? — zapytał wreszcie.

Ostrożnie postawiła na stole kieliszek z lekarstwem, aby następnie podejść i stanąć obok męża.

— Spójrz w okno, Lennox, na jasne słońce, na życie. Jakie to wszystko piękne, prawda? I my moglibyśmy być tam, nie tkwić tu i patrzeć na świat przez szyby.

— Aha... — i tym razem nie odpowiedział od razu. — Chcesz tam pójść?

— Tak! — podchwyciła żywo. — Chcę pójść z tobą, w słońce, w światło, do życia. Chcę być tylko z tobą.

Ciężko opadł na fotel.

— Nadine... moja droga... Czy jeszcze raz musimy omawiać te sprawy?

— Tak. Musimy. Odejdźmy, Lennox. Rozpocznijmy gdzieś własne życie.

— Jak? Gdzie? Przecież nie mamy pieniędzy.

— Pieniądze można zarabiać.

— Jak? Gdzie? Co moglibyśmy robić? Ja nic nie umiem, a dziś wśród bezrobotnych są tysiące fachowców. Nie. Nie poradzilibyśmy sobie.

— Ja zapracuję na nas obydwójce.

— Kochane dziecko! Nie ukończyłaś nawet kursu dla pielęgniarek. Sprawa jest beznadziejna, z góry przegrana.

— Nic podobnego! Sprawa beznadziejna i z góry przegrana to nasze terażniejsze życie.

— Sama nie wiesz, co mówisz, Nadine. Matka jest dla nas bardzo dobra. Zapewnia nam dostatek, daje wszystko...

— Wszystko z wyjątkiem wolności! — przerwała. — Zdobądź się na odwagę, Lennox. Odejdź ze mną dziś... Zaraz!

— Czy ty oszalałaś, Nadine? Coś na to wygląda...

— Nie! Jestem zdrowa i przytomna, absolutnie przytomna. Ale chcę mieć własne życie... Z tobą... Dla ciebie... Pośród słonecznego światła, nie w cieniu starej baby, która tyranizuje cię i delectuje się twoją męką.

— Mama jest, być może, apodyktyczna, ale...

— Jest obłąkana! Umysłowo chora!

— Nie, Nadine — zaprotestował miękko. — Ona ma doskonałą głowę do interesów.

— Może... Nie przeczę.

— Posłuchaj, Nadine. Ona nie może żyć wiecznie. Ma blisko sześćdziesiąt lat i jest słabego zdrowia. Po jej śmierci majątek ojca zostanie podzielony między nas, w równych częściach. Pamiętasz chyba, że czytała nam raz testament ojca?

— Po jej śmierci, Lennox, może być za późno.

— Za późno?

— Tak! Za późno na szczęście.

— Za późno na szczęście — powtórzył szeptem i wzdrygnął się nerwowo.

Nadine przysunęła się bliżej, położyła dłoń na ramieniu męża.

— Posłuchaj — zaczęła znowu. — Ja cię kocham. Między mną i twoją matką trwa walka. Po czyjej opowiesz się stronie?

— Zawsze po twojej.

— Więc postąp tak, jak mówię.

— To niemożliwe...

— Nic podobnego! Możliwe! Pomyśl, że moglibyśmy mieć dzieci.

— Matka życzy sobie, żebyśmy mieli dzieci. Nieraz to powtarzała.

— Wiem. Za to ja nie wydam na świat istoty, która miałaby żyć w cieniu, w jakim ty byłeś wychowywany. Twoja matka może wywierać wpływ na ciebie, ale nade mną nie ma władzy.

— Ty drażnisz ją, Nadine — wymamrotał Lennox. — Nierozsądnie postępujesz.

— Nie ja ją drażnię, Lennox. Czasami bywa zła, lecz przede wszystkim dlatego, że nie potrafi mi narzucić swojej woli.

— Rzeczywiście... Zawsze odnosisz się do matki tak łagodnie, uprzejmie. Cudowna jesteś, Nadine. Zbyt doskonała dla mnie. Od początku byłaś taka. Jak powiedziałaś, że godzisz się wyjść za mnie, myślałem, że to jakiś fantastyczny sen.

— Popełniłam błąd, wychodząc za ciebie — powiedziała spokojnie.

— Tak... Popełniłaś błąd — przyznał bezradnie.

— Nic nie rozumiesz. Chodzi o to, że usłuchałbyś mnie niezawodnie, gdybym wyjechała wtedy i zażądała, abyś i ty wyjechał. Tak! Usłuchałbyś z całą pewnością... Ale wtedy nie byłam wystarczająco mądra, by zrozumieć twoją matkę, odgadnąć, czego sobie życzy. — Zamilkła na chwilę. — Nie chcesz odejść? Odrzucasz moją propozycję? Trudno! Nie potrafię cię zmusić. Ale ja jestem wolna i mogę... muszę odejść. Odejdę!

Popatrzył na nią z niedowierzaniem i po raz pierwszy odpowiedział szybko, jak gdyby ospały nurt jego myśli uległ nagłemu przyspieszeniu.

— Jak to? To wykluczone. Matka ci nie pozwoli...

— Nie może mnie zatrzymać.

— Nie masz przecież pieniędzy.

— Pieniądze da się pożyczyć, wyzebrać, ukraść! Zrozum wreszcie, Lennox, że twoja matka nie ma władzy nade mną! Mogę odejść czy zostać; postąpić tak, jak sama postanowię. Sądzę, że dostatecznie długo znosiłam to życie.

— Nie opuszczaj mnie, Nadine... Nie porzucaj... — westchnął bezradnie jak dziecko.

Nadine spojrzała nart i na moment odwróciła głowę, aby nie dostrzegł bólu w jej oczach. Później uklękła obok męża.

— Więc odejdz ze mną. Odejdz! Potrafisz się na to zdobyć, jeżeli naprawdę zechcesz!

Odsunął się od niej.

— Nie! Nie będę mógł, Nadine... Zabraknie mi... Mój Boże! Zabraknie mi odwagi....

ROZDZIAŁ VIII

Doktor Gerarad wszedł do agencji turystycznej i zastał tam Sarę King.

— Oo! Dzień dobry — przywitała go. — Omawiam właśnie wycieczkę do Petry i dowiedziałam się, że pan też się zdecydował.

— Tak. Jakoś pomieszczę się w czasie.

— Jak to miło.

— Dużo osób jedzie?

— Tylko jakies dwie panie, pan i ja. Zmieścimy się w jednym aucie.

— To wspaniale — powiedział Francuz z szarmanckim ukłonem i począł załatwiać własną sprawę.

Nie trwało to długo i po chwili, gdy wyszedł z kantoru, trzymając swoją pocztę w ręku, spotkał na chodniku młodą lekarkę. Dzieli był rześki, słoneczny, cokolwiek chłodny.

— Co nowego u naszych przyjaciół Boyntonów? — zapytał. — Byłem na trzydniowej wycieczce. Zwiedziłem Betlejem, Nazaret i inne miejscowości.

Z ociąganiem, niechętnie Sara zdała relację z daremnych starali zmierzających do nawiązania stosunków.

— Jak pan widzi, nie powiodło mi się — zakończyła. — A oni dzisiaj wyjeżdżają.

— Dokąd?

— Nie mam pojęcia! — odpowiedziała rozdrażniona. — A pan pewno uważa, że nieźle się wygłupiłam.

— Wygłupiła się pani?

— Aha! Wtykając nos w cudze sprawy.

— To kwestia zapatrywania.

— Sądzi pan, że ingerencja w cudze sprawy jest wskazana?

— Tak.

— Serio? Rozbawiło to Francuza.

— Jeżeli pani zapyta, czy mam zwyczaj tak postępować, odpowiem prosto z mostu: Nie!

— Więc i moje zabiegi uważa pan za niedorzeczne, prawda?

— Nic podobnego! Źle mnie pani zrozumiała — zaoponował energicznie. — Kwestia jest sporna. Czy widząc, że gdzieś dzieje się źle, należy interweniować czy nie należy? Ten, kto się wtrąca, może, oczywiście, pomóc, ale może też narobić wiele szkody. Żelaznych reguł niepodobna ustalić! Jedni są utalentowani w takim kierunku, drudzy postępują nieudolnie i, rzecz jasna, winni trzymać się na uboczu. W grę wchodzi także kwestia wieku. Młodzi ludzie zazwyczaj śmiało głoszą swoje ideały, poglądy i z odwagą ich bronią, a do wielu spraw podchodzą raczej teoretycznie niż praktycznie. Nie wiedzą jeszcze z własnego doświadczenia, że często fakty stoją w sprzeczności z teoriami. Jeżeli ktoś głęboko wierzy w siebie i w słuszność własnego postępowania, może czasami uczynić wiele dobrego, czasami zaś, przy sposobności, narobić wiele szkody. Natomiast osoba w średnim wieku, doświadczona, wie i rozumie, że interwencja w cudze sprawy może bardziej zaszkodzić, niż pomóc, a więc roztropnie trzyma się z dala. Skutki są plus minus wyrównane. Rozumie pani? Młody zapaleńiec pomaga albo szkodzi w równej mierze. Ktoś bardziej doświadczony ani pomaga, ani szkodzi.

— To wszystko nie jest zbyt pomocne — westchnęła Sara.

— Czy jeden człowiek może być pomocny drugiemu? — uśmiechnął się Francuz. — Zresztą to pani problem, nie mój.

— Innymi słowy, nie zamierza pan nic robić w sprawie Boyntonów?

— Nie, bo nie widzę szans powodzenia.

— Czy, pańskim zdaniem, i ja takich szans nie mam?

- Pani może mieć.
- Dlaczego?
- Gdyż posiada pani wyjątkowe kwalifikacje: młodość i seks.
- Seks?... A, rozumiem...

— W ostatecznym rezultacie seks napotykałyśmy zawsze i wszędzie. Przyzna mi pani rację, prawda? Nie powiodło się pani z siostrą, co bynajmniej nie oznacza, że nie powiedzie się z bratem. To, co przed chwilą powiedziała mi pani na podstawie swojej rozmowy z Carol, dowodzi jasno, że absolutnej władzy starej Boynton coś naprawdę zagraża. Lennox zbuntował się pod wpływem budzącej się męskości. Wykradł się z domu, poszedł na jakąś zabawę taneczną. Pragnienie, by znaleźć sobie towarzyszkę, okazało się silniejsze niż hipnotyczny czar. Pani Boynton dobrze zdawała sobie sprawę z potęgi seksu, z którym musiała mieć do czynienia w życiu. Postąpiła nad wyraz przebiegle. Do domu sprowadziła biedną jak mysz kościelna dziewczynę, popchnęła syna do małżeństwa i dzięki temu zyskała jeszcze jedną niewolnicę.

Sara pokręciła głową.

— Nie zdaje mi się, by młoda pani Boynton była niewolnicą.

— Być może — zgodził się Gerard. — Wygląda na to, że matka rodu nie doceniła jej siły woli i charakteru, ponieważ miała do czynienia z cichą, skromną dziewczyną. Nadine była wtedy zbyt młoda, za mało doświadczona, by należycie ocenić sytuację. Obecnie wie już wszystko. Za późno!

— Myśli pan, że utraciła wszelką nadzieję? Bezradnie rozłożył ręce.

— Jeżeli ma jakieś plany, to nikt nie potrafi ich odgadnąć. Obecność Cope'a może wpłynąć na zmianę sytuacji. Mężczyzna jest stworzeniem z natury zazdrosnym, a zazdrość to potężny motyw działania, droga pani. Lennox może się jeszcze ocknąć.

— Przypuszcza pan — powiedziała Sara tonem celowo rzeczowym i chłodnym — że ja mogłabym pomóc Raymondowi?

— Tak, droga pani.

— Cóż, mogłabym popробować — westchnęła. — Ale dziś i tak już za późno... A zresztą, wcale nie podoba mi się ten pomysł.

— Dlatego, że jest pani Angielką — uśmiechnął się Gerard. — Anglicy mają uraz na punkcie seksu. Uważają, że to rzecz bardzo niestosowna.

Lekarka zaprotestowała stanowczo, co nie wywarło wrażenia na Francuzie.

— Tak, proszę pani — powiedział. — Oczywiście wiem, że jest pani na wskroś nowoczesna. Publicznie i swobodnie posługuje się pani najordynarniejszymi wyrazami, jakie można znaleźć w słowniku. Jest pani nieskrępowana i swobodna. A jednak... Stanowczo twierdę, że tkwią w pani narodowe cechy, jak w pani matce i babce. Pozostała pani skłonna do rumieńców angielską miss, chociaż nie rumieni się pani.

— Jak żyję, nie słyszałam podobnych bredni! — zawołała Sara.

Doktor Gerard zerknął na nią spod oka i podjął z całym spokojem:

— I dzięki temu jest pani czarująca.

Tym razem lekarka oniemiała, on zaś uchylił kapelusza i dodał:

— A teraz pozwoli pani, że się pożegnám, zanim zdążę usłyszeć wszystko, co pani myśli.

Umknął w stronę hotelu, a Sara podążyła za nim znacznie wolniej.

Przed hotelem panował duży ruch. Szykowano do drogi kilka samochodów załadowanych bagażami. Przy największym stali Lennox z Nadine i pan Cope. Wydawali jakieś polecenia. Otyły dragoman tłumaczył coś Carol tak szybko, że ledwie go mogła zrozumieć.

Młoda Angielka weszła do holu, gdzie pani Boynton otulona ciepłym płaszczem siedziała w fotelu, oczekując wyjazdu. Na jej widok Sara doznała dziwnego olśnienia.

Dotychczas uważała ją za postać ponurą — jak gdyby ucieleśnienie zła. Nagle uprzytomniła sobie, że to tragicznie śmieszna figura bez znaczenia. Do licha! Narodzić się z

tak nieposkromioną żądzą władzy, panowania, a osiągnąć tylko pozycję domowego tyra! Ach, gdyby jej dzieci potrafiły ocenić panią Boynton tak, jak widzi ją obecnie Sara! Gdyby dostrzegły w niej głupią, napuszoną, złośliwą starą babę!

Pod wpływem raptownego impulsu podeszła do pani Boynton.

— Żegnam — powiedziała — i pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że będzie pani miała przyjemną podróż.

Stara spojrzała na nią karcąco i nie bez zdziwienia.

— Starala się pani traktować mnie po grubiańsku — ciągnęła młoda lekarka i myślała jednocześnie: „Czy ja oszalałam? Co mnie skłoniło, żeby jej mówić takie rzeczy?” — Robiła pani wszystko, by synowi i córce przeszkodzić w nawiązaniu ze mną znajomości. Nie zdaje sobie pani sprawy, że to postępowanie śmieszne i dziecinne? Pozuje pani na swojego rodzaju demona, a tak naprawdę jest pani komiczna, pocieszna. Na pani miejscu dałabym spokój całej tej komedii. Znienawidzi mnie pani za te słowa. Wiem! Ale mówię serio i liczę, że bodaj chociaż trochę do pani trafi. Mogłaby pani znaleźć radość życia, gdyby pani rzeczywiście chciała. Naprawdę o wiele przyjemniej być osobą życzliwą ludziom i dobrą.

Starsza pani zlodowaciała w bezruchu. Oblizwała zeschnięte wargi i rozchyliła usta, lecz nie dobyła z nich głosu.

— Śmiało! — podjęła Sara. — Może pani powiedzieć mi wszystko, co pani tylko zechce. To nieważne! Ale proszę pomyśleć o tym, co przed chwilą powiedziałam.

Po długiej chwili milczenia pani Boynton odezwała się wreszcie. Głos miała zdławiony, głuchy, pełen żółci. Jej bazyliżkowe oczy zwrócone były nie ku Sarze, ale gdzieś obok niej, jak gdyby przemawiała do siebie tylko widomego ducha.

— Ja nic nie zapominam — powiedziała. — O tym trzeba pamiętać. Nigdy nic nie zapominam: sytuacji, nazwiska, twarzy.

W samych słowach nie było nic złego, ale jad, z jakim zostały rzucone, skłonił lekarkę do cofnięcia się o krok.

Wtedy pani Boynton wybuchnęła chrapliwym śmiechem, który z pewnością można by nazwać szatańskim. Sara wzruszyła ramionami.

— Niemądra, biedna staruszka! — powiedziała i odwróciła się szybko.

Przy drzwiach windy prawie zderzyła się z Raymondem i zagadnęła go — również za podszeptem nieoczekiwanego impulsu:

— Do zobaczenia. Myślę, że będzie pan miał miłą wycieczkę... I że spotkamy się jeszcze, być może.

Uśmiechnęła się ciepło, życzliwie i odeszła szybko. Raymond zamarł w bezruchu i zamyślił się tak, że niski starszy pan z bujnymi wąsami, który usiłował wyjść z windy, musiał parokrotnie powtórzyć:

— Pardon.

— Aa... Bardzo przepraszam... Strasznie się zagapiłem... Kiedy zrozumiał wreszcie, co do niego powiedziano, ustąpił z drogi i w tym momencie podeszła doń Carol.

— Ray! Sprowadź zaraz Jinny — zakomenderowała. — Wróciła do swojego pokoju, a my odjeżdżamy.

— Już po nią idę — odparł i wszedł do kabiny. Herkules Poirot stał przez chwilę, spoglądając za nim.

Brwi miał zmarszczone, głowę przechylił na bok. Odnosiło się wrażenie, że pilnie nasłuchuje. Później twierdząco kiwnął głową, jak gdyby zgodził się z samym sobą, a drepcąc przez hol, przypatrywał się Carol, która tymczasem podeszła do matki.

Skinął na starszego kelnera.

— Może pan mi powiedzieć, jak nazywają się tamte panie? — zapytał.

— Boynton, *monsieur*. To Amerykanki.

Na trzecim piętrze doktor Gerard minął Raymonda i Jinny, którzy szli w stronę oczekującej windy. W otwartych drzwiach windy Ginevra powiedziała do brata:

— Chwileczkę, Ray. Zaczekaj na mnie.

Pobiegła z powrotem i za zakrętem korytarza dopędziła Francuza.

— Bardzo przepraszam... Muszę z panem pomówić. Lekarz spojrział na nią ze zdziwieniem, ona zaś przysunęła się i chwyciła go za ramie.

— Chcą mnie stąd zabrać. Wywieźć dokądś! Może zamordować. Ja nie należę do nich. Nie nazywam się Boynton — mówiła szybko, tak że słowa się zlewały. — Zdradzę panu tajemnicę. Jestem królewskiego rodu. Naprawdę! Jestem następczynią tronu. Dlatego otaczają mnie wrogowie. Chcą mnie otruć. Pan pomoże mi w ucieczce. Pomoże pan, prawda?

Z głębi korytarza dobiegł odgłos kroków.

— Jinny!

Piękna dziewczyna w nagłym przerażeniu położyła palec na ustach, rzuciła Gerardowi błagalne spojrzenie i odwróciła się na pięcie.

— Już idę, Ray!

Gerard ruszył przed siebie. Brwi miał zmarszczone i powoli kiwał głową.

ROZDZIAŁ IX

W dzień odjazdu do Petry Sara wyszła przed hotel i zastała tam postawną damę o władczym sposobie bycia i wydatnym nosie. Widywała ją uprzednio w hotelu, obecnie zaś dama protestowała gwałtownie twierdząc, iż podstawiono zbyt mały samochód.

— Stanowczo za mały! Czworo pasażerów, prawda? I dragoman? Proszę zabrać ten wóz i dostarczyć inny, wygodniejszy.

Na próżno przedstawiciel agencji turystycznej tłumaczył, że zawsze się używa tego typu wozu. Jest idealnie wygodny, a większy nie nadawałby się do jazdy przez pustynię.

Posługując się metaforą można by rzec, że dama zmiażdżyła go, jak gdyby była parowym walcem. Później zwróciła uwagę na Sarę.

— Panna King, jeżeli się nie mylę? Jestem lady Westholme. Z pewnością zgodzi się pani ze mną, że ten samochód jest stanowczo za mały?

— Przyznaję, że w większym byłoby zapewne wygodniej — zgodziła się z rezerwą Sara.

Młody człowiek bąknął niepewnie, że większy wóz wpłynie na podwyżkę ustalonej opłaty.

— Opłata obejmuje wszelkie koszty — upierała się lady Westholme. — Żadnych ekstra obciążeń nie myślę aprobować. Wasz prospekt wspomina wyraźnie o „luksusowym samochodzie absolutnie wygodnym dla czworga pasażerów”. Należy dotrzymać warunków umowy.

Młody człowiek zrozumiał zapewne, że poniósł klęskę, gdyż bąknął, że zobaczy, co da się zrobić, i zrejterował z pola walki.

Energiczna dama spojrzała na Sarę, a na jej ogorzalej twarzy ozdobionej szczególnie wydatnym nosem malował się triumfujący uśmiech.

Lady Westholme była postacią szeroko znaną w angielskich kołach politycznych. Kiedy lord Westholme — głupawy członek Izby Lordów w średnim wieku, który interesował się w życiu wyłącznie polowaniami i wędkarstwem — wracał niegdyś z wycieczki do Stanów Zjednoczonych, jedną z jego współpasażerek była nie znana bliżej nikomu pani Vansittart. Niebawem pani Vansittart została lady Westholme, ów związek małżeński wymieniano często jako wymowny przykład niebezpieczeństw czyhających na morzu. Nowa lady Westholme uznała za swój codzienny ubiór sportowe tweedy i spodnie do konnej jazdy, zaczęła hodować psy, tyranizować wieśniaków i bez miłosierdzia zmuszać małżonka do udziału w życiu publicznym. Następnie, gdy zrozumiała, że polityka nie jest i nie będzie nigdy jego mocną stroną, zezwoliła mu łaskawie na uprawianie sportów, sama zaś wystąpiła ze swoją kandydaturą do Izby Gmin. Została wybrana znaczną większością głosów i z miejsca jąla odgrywać poczesną rolę. Niebawem jej karykatury zaczęły ukazywać się w prasie, co zawsze bywa dowodem nie lada sukcesów. W wystąpieniach opowiadała się twardo za staroświeckim stylem życia rodzinnego i obroną praw kobiet oraz miała zdecydowane poglądy na sprawy rolnictwa, urbanistyki i stopniowego likwidowania slumsów. Była ogólnie szanowana i prawie powszechnie nie lubiana. Istniały poważne szanse, że w razie objęcia władzy przez jej partię zostanie mianowana podsekretarzem stanu.

Lady Westholme spojrzała z miną pośepnie triumfującą śladem odjeżdżającego samochodu.

— Mężczyznom wydaje się zawsze, że mają prawo narzucać kobiecie swoją wolę — powiedziała.

Sara pomyślała, że tylko wyjątkowo odważny mężczyzna mógłby narzucić swoją wolę tej kobiecie, i przedstawiła doktora Gerarda, który właśnie nadszedł.

— Oczywiście znane mi jest pańskie nazwisko — zagała rozmowę lady Westholme. — Kilka dni temu rozmawiałam w Paryżu z profesorem Clemenceaux, bo ostatnio naprawdę

żywo zajmuje mnie kwestia leczenia umysłowo chorych nędzarzy. Może na lepsze auto zaczekamy w holu?

Nieśmiało wyglądająca kobieta w średnim wieku z kosmykami szpakowatych włosów na czole, która od pewnego czasu spacerowała w pobliżu, okazała się panną Amabel Pierce, czwartą uczestniczką wycieczki. Ona również została zapędzona do holu.

— Czy pani posiada wykształcenie zawodowe? — zagadnęła pannę King lady Westholme.

— Tak. W tym roku ukończyłam medycynę.

— To dobrze — zaaprobowała łaskawie. — Niech pani zapamięta moje słowa. Jeżeli coś ma być dokonane na tym świecie, dokonają tego kobiety.

Po raz pierwszy w życiu Sarze zrobiło się przykro, że przynależy do płci pięknej. Ale nic nie powiedziała i potulnie podprowadziła postawną damę do wybranego przez nią fotela. Tam lady Westholme poinformowała towarzyszy wycieczki, że odmówiła Wysokiemu Komisarzowi Brytyjskiemu, który prosił, by zamieszkała u niego na czas pobytu w Jerozolimie.

— Nie chciałam występować jako osobistość oficjalna — dodała. — Zawsze wolę oglądać pewne strony życia własnymi, prywatnymi oczyma.

— Jakie strony życia? — zapytała młoda lekarka tonem zastanowienia.

Lady Westholme mówiła dalej, że mieszka w hotelu „Salomon”, gdzie czuje się nieskrępowana, i ostatnio udzieliła dyrekcji wielu rad w kwestii bardziej sprawnego prowadzenia przedsiębiorstwa.

— Bo sprawność, proszę państwa — ciągnęła — sprawność i energia to moje hasło.

Nikt nie wątpił o tym, bo nim upłynął kwadrans, przed hotel zajechał inny wóz — rzeczywiście obszerny i wygodny. Lady Westholme wydała instrukcje, jak bagaż ma być rozmieszczony, i wycieczka do Petry wyruszyła.

Pierwszy postój wypadł nad Morzem Martwym. Po drugim śniadaniu w Jerycho lady Westholme, panna Pierce i doktor Gerard pod wodzą otylego dragomana poszli zwiedzić starożytne miasto, a Sara pozostała w hotelowym ogrodzie.

Trochę bolała ją głowa, wołała więc być sama — zwłaszcza że odczuwała przygnębienie, którego przyczyn nie potrafiła ustalić. Zniechęcona i obojętna nie miała ochoty na zwiedzanie i bez wątpienia nudzili ją towarzysze podróży. Żałowała teraz, iż zdecydowała się na tę wycieczkę — bardzo kosztowną i jak się już zapowiadało — nieudaną. Tubalny głos lady Westholme i nieustanne szczebiotanie panny Pierce okropnie działały jej na nerwy. Nie mniej drażnił ją ironiczny uśmiech doktora Gerarda, uśmiech, który zdawał się mówić, że Francuz doskonale zdaje sobie sprawę z jej nastroju.

Zastanawiała się, gdzie mogą być teraz Boyntonowie. Może pojechali do Syrii? Są w Baalbeku, czy też w Damaszku? A Raymond?... Co Raymond teraz robi? Zdziwiła się, że tak wyraźnie ma przed oczami jego skupioną, pełną nerwowego napięcia twarz.

„Do diabła! Po co myśleć o ludziach, których z pewnością nie zobaczę do końca życia? — snuła dalsze rozważania. — Ach, ta cała wczorajsza scena ze starą! Co mnie podkusiło, by podejść do niej i prawie nonsensy? Obcy ludzie musieli przecież coś z tego usłyszeć”.

Niejasno przypominała sobie, że w najbliższym sąsiedztwie widziała lady Westholme. Usiłowała dokładnie odtworzyć w myśli to, co wtedy mówiła... Jakieś niedorzeczności, historyczne brednie! Do licha! Zrobiła z siebie idiotkę! Ale nie ona ponosi winę, lecz stara Boynton. Baba ma w sobie coś, co wyprowadza z równowagi, zaciera poczucie właściwych proporcji.

Doktor Gerard nadszedł, ciężko osunął się na fotel i otarł spocone czoło.

— Uff! — jęknął. — Ktoś powinien otruć tę kobietę!

— Panią Boynton? — zdziwiła się lekarka.

— Nie! Miałem na myśli lady Westholme. Nie do wiary! Baba ma od lat męża i ten nie zrobił tego jeszcze? Kto to jest, nie wie pani?

— Taki sobie myśliwy i wędkarz — uśmiechnęła się.

— Sytuacja uzasadniona psychologicznie. Facet zaspokaja żądę mordy kosztem stworzeń, jak to się mówi, niższych.

— Sądzę — podjęła Sara — że jest dumny i szczęśliwy z racji działalności politycznej swojej małżonki.

— Bo to trzyma ją z dala od domu? Rzecz zrozumiała! — roześmiał się. — Aha! Dopiero co wspomniała pani starą Boynton, prawda? Otrucie jej to także pierwszorzędny pomysł i bez wątpienia najprostsza metoda rozwikłania licznych problemów rodzinnych. Prawdę mówiąc, warto by wy— truć mnóstwo kobiet. Wszystkie te, które stały się brzydkie i stare.

Sara wybuchnęła śmiechem.

— Ach, wy Francuzi! Uznajecie tylko kobiety młode i ładne!

— Sekret w tym, że jesteśmy bardziej szczerzy. Anglicy nie przepadają także za wiekowymi pokrakami... Z pewnością nie przepadają, droga pani!

— Życie jest smutne — westchnęła.

— Pani, *mademoiselle*, nie ma przecież powodu do żalów.

— Ale dziś jestem jakaś dziwnie przygnębiona.

— Oczywiście.

— Oczywiście? Czemu? — zdziwiła się znowu.

— Zrozumie mnie pani łatwo, jeżeli uczciwie i szczerze zbada stan swojego ducha.

— Myślę, że dojadły mi nasze towarzyszki podróży. Wstydzę się, panie doktorze, ale naprawdę nie cierpię kobiet. Do furii doprowadzają mnie niezaradne idiotki, jak panna Pierce. A zaradne — w rodzaju lady Westholme, są jeszcze gorsze.

— To było do przewidzenia, że dwie wymienione przed chwilą osoby będą panią irytować. Lady Westholme pasuje idealnie do życia, jakie prowadzi; jest zadowolona z siebie i osiąga sukces po sukcesie. Panna Pierce od lat pracowała jako opiekunka niemowląt. Później odziedziczyła niewielki spadek i dzięki temu urzeczywistniła marzenia swojego życia. Obecnie może podróżować i, jak dotąd, zabawa ta nie sprawia jej rozczarowań. To naturalne, że pani, której nie powiodło się ostatnio, musi czuć niechęć do osób zadowolonych z siebie.

— Ma pan rację — przyznała posepnie Sara. — Genialnie potrafi pan odczytywać ludzkie myśli! Próbuję oszukiwać samą siebie, a pan mi nie pozwala!

W tej chwili nadeszła reszta towarzystwa, a dragoman sprawiał wrażenie najbardziej utrudzonego. Prawie się nie odzywał do samego Ammanu.

Droga wiała się w górę Jordanu skalistym wąwozem, usianym kępami kwitnących różowo oleandrów. Do Ammanu przybyli późnym popołudniem i po krótkim spacerze do rzymskiego amfiteatru poszli niebawem spać. Następnego ranka musieli ruszyć w drogę wcześniej, bo podróż przez pustynię do Maan zajmuje cały dzień.

Wyjechali zaraz po ósmej, zamyśleni, małomówni. Dzień był gorący, duszny, a około południa, gdy zatrzymali się na zaimprovizowane drugie śniadanie, upał wzrósł niepomierne. Później działało wszystkim na nerwy wspólne zamknięcie w ciasnym, gorącym pudle samochodu.

Lady Westholme i doktor Gerard rozpoczęli zawziętą sprzeczkę na temat metod zwalczania handlu narkotykami. Do Sary docierały tylko pojedyncze słowa, lecz panna Pierce zaszczebiotała pod jej adresem:

— Podróżowanie w towarzystwie lady Westholme jest niebywale interesujące.

— Czyżby? — rzuciła cierpko Sara, lecz panna Pierce nie zwróciła uwagi na jej lodowaty ton i mówiła dalej:

— Niezliczoną ilość razy napotykałam jej nazwisko w gazetach. Jak to dobrze, że kobiety mogą teraz brać udział w życiu publicznym i dawać światu znać o sobie. Zawsze cieszę się, gdy kobieta dokona czegoś wielkiego.

— Czemu pani się cieszy? — zapytała gniewnie młoda lekarka.

Panna Pierce szeroko otworzyła usta. Później zaczęła bąkać:

— No... Bo... Proszę pani... To tak przyjemnie, że kobieta może w ogóle czegoś dokonać i... że...

— Nie zgadzam się z panią! — przerwała szorstko Sara. — Ja cieszę się, gdy człowiek potrafi dokonać godnego uwagi czynu. A czy to kobieta, czy mężczyzna, jest sprawą obojętną.

— Tak... Oczywiście... Jeżeli przyjąć... przyjąć taki punkt widzenia, to ma się rozumieć...

— Przepraszam za mój wybuch — przerwała znów Sara, tym razem łagodniejszym tonem — ale drażni mnie zawsze stwarzanie granic między jedną płcią a drugą. Mówi się: „Nowoczesna dziewczyna zajmuje rzeczową, konkretną postawę wobec życia”. Zawracanie głowy! Jedne dziewczyny są takie, drugie inne. Są mężczyźni sentymentalni i naiwni, ale są też energiczni i inteligentni. Chodzi jedynie o zróżnicowane typy umysłowości, a płęć odgrywa rolę tylko w życiu płciowym.

Panna Pierce zarumieniła się lekko, usłyszawszy o życiu płciowym i zrećźnie zmieniła temat:

— Pragnęłoby się bodaj odrobiny cienia, ale, moim zdaniem, pustynia jest cudowna. A pani się podoba?

Lekarka przytaknęła skinieniem głowy. Pomyślała, iż pustynia jest rzeczywiście cudowna, oddziałująca kojąco, pełna wzniosłego spokoju, pozbawiona ruchliwych istot ludzkich i nurtujących je problemów. W tym momencie odczuła, że wyzwoliła się wreszcie i nie zaprzęta sobie głowy losami Boyntonów, nie myśli o ludziach, których orbity życia nie stykają się w najmniejszym bodaj stopniu z jej orbitą.

Tu jest samotność, pustka, bezmiar przestrzeni — jednym słowem: SPOKÓJ!... Tylko, rzecz jasna, człowiek nie jest sam, by delektować się tym spokojem. Lady Westholme i doktor Gerard zakończyli spór na temat narkotyków i dyskutują obecnie o naiwnych dziewczętach, które wywozi się masowo do argentyńskich domów publicznych. W trakcie rozmowy Francuz popisuje się błyskotliwością, co drażni oczywiście lady Westholme odznaczającą się godnym rasowego polityka brakiem poczucia humoru.

Na godzinę przed zachodem słońca turyści znaleźli się wreszcie w Maan, gdzie samochód został wnet otoczony przez dziwnie wyglądających mężczyzn o drapieżnych twarzach. Po krótkim postoju ruszyli w dalszą drogę i Sara, spoglądając na płaski krajobraz pustynny, daremnie próbowała odgadnąć, gdzie może być skalna twierdza Petry. Na przestrzeni wielu mil nie było widać nawet niewielkich wzgórz. Czy jeszcze tak daleko do celu podróży?

Niebawem jednak w wiosce Ain Musa pozostawiono samochód, aby skorzystać z oczekujących tam nędznych chabet. Nieprzemakalna peleryna krępowała swobodę ruchów panny Pierce. Natomiast lady Westholme przezornie ubrała się w spodnie do konnej jazdy.

Przewodnicy wyprowadzili z wioski konie i powiedli je stromo schodzącą w dół ścieżką, która była usiana ruchomymi głazami. Teren opadał gwałtownie, konie szły zygzakami. Słońce zbliżało się ku zachodowi.

Po długiej i nużącej podróży samochodem Sara była cokolwiek oszołomiona i konna jazda zdawała się jej wizją z marzeń sennych. Miała wrażenie, że schodzi w piekielne czeluście, do wnętrza ziemi, wąską i krętą drogą wyciosaną pośród labiryntu szkarłatnych skał o najdziwaczniejszych kształtach.

Zapalono latarnie. Konie jeły przeciskać się ciasnymi gardzielami i nagle... Nagle rozstały się urwiska i wędrowcy zobaczyli przed sobą szeroką otwartą przestrzeń, na której z dala migotały światła.

— To obóz — wyjaśnił jeden z przewodników.

Konie przyspieszyły kroku — nieznacznie co prawda, gdyż były zagłodzone i nie miały już sił, ale tak czy inaczej ożywiły się nieco. Droga biegła obecnie wzdłuż żwirowego łożyska

potoku. Widać teraz było dwa rzędy namiotów — jeden na dnie kotliny, drugi wyżej wzdłuż półki skalnej. Jeszcze wyżej były jaskinie.

Beduini obsługujący obóz wybiegli na spotkanie turystów.

Sara zdumiała się i wzdrygnęła nerwowo. U wejścia jednej z grot ujrziała siedzącą postać. Co to? Gigantyczna rzeźba? Wyobrażenie jakiegoś bóstwa? Nie!... Drga światła nadaje zagadkowej postaci nadprzyrodzone rozmiary. Ale owa postać, nieruchoma, zapatrzona posepnie przed siebie, musi być chyba wyobrażeniem jakiegoś bóstwa!

Nagle poznała zagadkową postać i serce skoczyło jej gardła. Umknęło zrodzone wśród pustyni uczucie błęgiego spokoju, samotności, pustki. Skończyła się wolność i rozpoczęła znów niewola. Oto krętą, zdradliwą ścieżką zjechali w otchłanie ziemi, po to, by w tej kotlinie ujrzeć siedzącą u wejścia do groty niby arcykapłankę jakiegoś zapomnianego kultu... By ujrzeć panią Boynton!

ROZDZIAŁ X

Pani Boynton jest tutaj — w Petrze!

Sara odpowiadała niemal bezwiednie na zadawane pytania. Czy chce zjeść kolację zaraz — jest już gotowa — czy też najpierw woli się umyć? Czy życzy sobie spać w namiocie, czy w grocie?

Szybko wybrała namiot. Dreszcz ją przejmował na myśl o czyhającej u wejścia do jednej z grot upiornej postaci. Ta kobieta ma w sobie coś nieludzkiego!

Poszła za służącym Beduinem ubranym w mocno łatane spodnie do konnej jazdy, brudne owijacze i marynarkę stanowczo nie nadającą się do użytku. Na głowie miał keffję, której długie fałdy spływały na ramiona, umocowaną na głowie czarnym jedwabnym sznurem. Sara zwróciła uwagę na jego posuwiste i swobodne ruchy, na dumny wdzięk, z jakim trzymał głowę. Tylko europejska część ubioru Beduina była obrzydliwa, niechlujna. Pomyślała: „Nasza cywilizacja jest zła, zgubna. Gdyby nie ona, nie istniałyby takie panie Boynton. Wśród pierwotnych ludów zabijano by je z pewnością, może nawet zjadano...”

Z wrodzonym poczuciem samokrytycyzmu uprzytomniła sobie, że jest przemęczona, rozstrojona. Po umyciu się i przypudrowaniu twarzy stała się znów sobą — kobietą opanowaną i zrównoważoną, którą zawstydziła myśl o tym, że tak niedawno ogarnęło ją przerażenie.

Przeczesała grzebieniem bujne, czarne włosy, spoglądając z ukosa na własne odbicie w małym, mętnym lusterku, drgające niepewnie przy świetle oliwnej lampki. Później odsunęła brezent zasłaniający wejście do namiotu, by ruszyć w dół, ku widocznej z dala dużej markizie.

— Pani?... Tutaj?... — dobiegł ją zdławiony okrzyk pełen zdumienia i niedowierzania.

Na dźwięk niskiego, stłumionego głosu serce Sary zabiło mocniej. Poczła nagle onieśmienie, przestach, a jednocześnie zdała sobie sprawę, że jest niezmiernie szczęśliwa.

— Pani? Tutaj? — powtórzył Raymond Boynton. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Był w nich wyraz zdumienia. To prawda! Lecz było również coś, co onieśmieliło ją znowu i przepełniło lękiem — nieopisana radość. Zdawać się mogło, że nawiedziła chłopca wizja raj, a jego wzroku Sara nie zapomni chyba do końca życia!

— Tak. Ja — odpowiedziała po prostu.

Postąpił krok, oszołomiony nadal, pełen niedowierzania. Później ujął jej rękę.

— Tak — odezwał się. — To pani. Prawdziwa. W pierwszej chwili zdawało mi się, że zobaczyłem ducha, bo tak wiele myślałem o pani — umilkł na chwilę. — Kocham panią. Kocham od momentu, kiedy zobaczyłem panią w pociągu

Wiem na pewno i chcę, by pani wiedziała, że to nie ja... to coś niezależnego ode mnie sprawiło, że zachowywałem się tak ordynarnie. Widzi pani, ja nie odpowiadam za siebie w zupełności. Nie odpowiadam nawet teraz. Mogę minąć panią obojętnie. Mogę udawać, że pani nie poznałem. Ale chcę, by pani wiedziała, że nie ja... ponoszę za to winę... To nerwy... Nerwy, którym nie mogę ufać... Ona mówi, abym zrobił to czy tamto, a ja słucham jej ślepo. To nerwy... Mam nadzieję, że pani mnie zrozumie? Może pani mną gardzić, ale...

Przerwała mu cichym, nadspodziewanie pieszczotliwym głosem:

— Nie będę panem gardzić.

— Ale ja jestem godny pogardy — podjął. — Powinienem zmobilizować się jakoś i... i postępować jak mężczyzna.

Zabrzmiało to w uszach młodej lekarki niby odległe echo słów doktora Gerarda, ale odpowiedź podyktowały jej własne uczucia, które zaprawiły głos nutą nie tylko ciepłą, lecz również pełną stanowczości:

— Teraz będzie się pan tak zachowywał.

— Sądzi pani?... Naprawdę?

— Będzie pan miał odwagę. Jestem pewna. Wyprostował się, podniósł głowę.

— Będę miał odwagę? Tak! Tego mi właśnie brak. Odwagi!

Nagle schylił się, dotknął ustami dłoni Sary i oddalił się spiesźnie.

Lekarka zeszła pod markizę, gdzie zastała trójkę swoich towarzyszy podróży. Siedzieli przy stoliku i jedli, a dragoman tłumaczył, że w Petrze jest jeszcze oprócz nich tylko jedna wycieczka.

Przyjechali dwa dni temu i mają zostać do pojutra. Amerykanie. Matka bardzo tęga. Trudno było ją tu dostarczyć. Tragarze nieśli ją w lektyce. Mówią, że ciężka. Bardzo się spocili.

Sara parsknęła śmiechem. Oczywiście! Cała historia oglądana pod właściwym kątem jest naprawdę komiczna!

Otyły dragoman spojrział na nią z wdzięcznością. Nielatwe miał zajęcie. W ciągu dnia lady Westholme trzy razy miała mu coś za złe, ostatnio protestowała przeciw niewygodnemu, jej zdaniem, łóżku. Miło mu widać było, że chociaż jedna turystka jest, nie wiedzieć czemu, w dobrym humorze.

— Aha! — zabrała głos lady Westholme. — Ci ludzie mieszkali chyba w hotelu „Salomon”. Jak przyjechaliśmy tutaj, poznałam matkę. — Zwróciła się do Sary: — Zdaje mi się, że pani rozmawiała z nią w Jerozolimie?

Młoda lekarka zarumieniła się wstydliwie. Miała nadzieję, że lady Westholme nie podsłuchiwała tamtej rozmowy w całości. „Co mnie wtedy napadło?” — pomyślała zła na siebie.

Tymczasem lady Westholme wygłosiła sentencję wyroku:

— Nieciekawa rodzina — oznajmiła. — Na pewno z głębokiej prowincji.

Panna Pierce cmoknęła twierdząco i z uznaniem, a postawna dama zaczęła wyliczać znamienitych Amerykanów, których ostatnio miała sposobność poznać.

Jak na tę porę roku, upał był wyjątkowo dokuczliwy, ustalono więc, że następnego dnia trzeba wyruszyć na wycieczkę bardzo wcześnie.

Czwórka turystów spotkała się przy śniadaniu o szóstej rano. Pod markizą nie było nikogo z Boyntonów. Lady Westholme wyraziła dezaprobatę z powodu braku owoców, po czym towarzystwo zadowolilo się herbatą, mlekiem z puszki oraz jajkami smażonymi na wyjątkowo słonym bekonie.

Gdy po śniadaniu wyruszyli w drogę, lady Westholme z wielkim ferworem zaczęła wyjaśniać doktorowi Gerardowi istotne znaczenie witamin oraz potrzebę stosowania właściwego systemu odżywiania klasy robotniczej. Później ktoś zawołał ich od strony obozu, przystanęli więc, by zaczekać na piątego uczestnika wyprawy. Pan Jefferson Cope nadbiegł pod górę zasapany lekko, z twarzą zaczerwienioną z wysiłku.

— Przyłączę się do towarzystwa, jeżeli naturalnie państwo pozwolą — zaczął. — Dzień dobry pani — przywitał Sarę. — Bardzo mi miło spotkać znów pana doktora, słynnego doktora Gerarda! No i co państwo na to wszystko? — rzucił Francuzowi. Ręką zatoczył szeroki krąg obejmujący amfiteatr fantastycznie ukształtowanych czerwonych skał.

— Cudownie tu i trochę niesamowicie — odpowiedziała Sara. — Zawsze wyobrażałam sobie to szkarłatnoróżowe miasto jako romantyczne zjawisko z marzenia sennego. Ale Petra jest bardziej realna. Dziś przywodzi mi na myśl świeże mięso wołowe.

— Właśnie! — zgodził się pan Cope. — Nawet kolor ma bardzo podobny.

— Ale jest cudowna — dorzuciła lekarka.

Zaczęli piąć się pod górę w asyście dwu Beduinów. Przewodnicy — wysocy, smukli, o harmonijnych ruchach, szli pewnie i swobodnie w podkutych butach, jak gdyby śliskie i ruchome głazy wcale ich nie obchodziły. Niebawem zaczęły się kłopoty. Panna King i doktor Gerard nie odczuwali lęku przestrzeni. Jednakże lady Westholme i pan Cope nie czuli się

najlepiej, a biedną pannę Pierce trzeba było prawie przenosić nad urwiskami. Oczywiście miała zamknięte, twarz sinozieloną i powtarzała wciąż piskliwym, płaczliwym tonem:

— Ja nigdy nie mogłam patrzeć w dół. Nigdy nie mogłam!

Raz oznajmiła nawet, że chce wrócić, kiedy jednak spojrzała na zejście, pozieleniała jeszcze bardziej i doszła do wniosku, że potrafi jedynie iść naprzód.

Gerard opiekował się nią życzliwie. Szedł tuż za panną Pierce i trzymając poziomo łaskę odgradzał ją od przepaści. Pomagało to i biedaczka powiedziała szybko, że zaimprovizowana balustrada ułatwia jej przewyciężenie lęku przestrzeni.

Zdyszana trochę Sara zwróciła się do dragomana Mahmuda, który mimo otyłości nie zdradzał objawów zmęczenia:

— Czy nie miewacie czasami trudności z windowaniem tutaj turystów? Szczególnie ludzi w starszym wieku?

— Zawsze miewamy trudności — odparł z godnością Mahmud. — Zawsze!

— I zawsze zabieracie tu wszystkich? Grubas wzruszył ramionami.

— Wszyscy chcą iść na górę. Zapłacili za obejrzenie tych rzeczy. Muszą je obejrzeć. Beduini są sprawni, znają swoją robotę. Zawsze poradzą sobie jakoś.

Wreszcie znaleźli się na szczycie. Sara odetchnęła głęboko. Poniżej roztaczały się fantastyczne krwawopurpurowe skały tworzące niepowtarzalny krajobraz, jedyny w swoim rodzaju. Oto w czystym niby kryształ porannym powietrzu oni stoją wysoko i niby bogowie spoglądają na świat rozpostarty u ich stóp.

— Ołtarz ofiarny... Świątynia... — mówił dragoman, wskazując wymieniane miejsca przez wąskie szczeliny skalne.

Sara odeszła nieco. Wolą być z dala od gładkich frazesów płynących z wymownych ust Mahmuda. Usiadła na głazie, dłońmi objęła bujne, czarne włosy i zapatrzyła się w cudowny świat, który miała u stóp. Po chwili uprzytomniła sobie, że ktoś opodał przystaje, i usłyszała głos doktora:

— Tutaj rozumie się sens kuszenia według słów Nowego Testamentu. Nic dziwnego, że Szatan powiódł Chrystusa na górę, aby za pokłon złożony sobie ofiarować mu władzę nad światem rozciągającym się w dół. „Jeżeli więc Ty upadniesz i oddasz mi pokłon, wszystko będzie Twoje” — zacytował. — Świat oglądany z góry może dużo bardziej skutecznie skusić do zapanowania nad nim.

Sara przytaknęła bez przekonania i Francuz zorientował się widocznie, że jej myśli błądzą gdzie indziej.

— Głęboko zastanawia się pani nad czymś — zauważył.

— Tak... — Zwróciła ku niemu twarz. — Myślałam właśnie, że umieszczenie tutaj ołtarza ofiarnego było wyrazem głębokiej idei... Czasami ofiara wydaje się potrzebna, prawda? Na ogół przywiązujemy do życia zbyt wielką wagę... Śmierć nie jest chyba czymś aż tak ważnym, jak sądzimy.

— Jeżeli pani jest takiego zdania, niepotrzebnie obrała pani zawód lekarza. Dla nas śmierć musi być zawsze największym wrogiem.

— Zapewne ma pan słusność... Tak... Ale czasami śmierć może być rozwiązaniem problemu... Może być nawet początkiem lepszego, bardziej pełnego życia.

— „Lepiej jest dla nas, gdy jeden człowiek umrze za naród, aniżeliby zginął cały naród” — zacytował znowu Francuz.

Sara spojrzała nań ze zdziwieniem.

— Nie miałam na myśli... — urwała, gdyż zbliżał się właśnie Jefferson Cope.

— To rzeczywiście piękne miejsce. Słowo daję! — oznajmił. — Bardzo się cieszę, że go nie przegapiłem. Pani Boyn — ton to kobieta niezwykła, rzeczywiście niezwykła — ciągnął. — Podziwiam siłę charakteru, z jaką zdecydowała się na taką wyprawę. Ale muszę przyznać, że podróżowanie z nią jest mocno skomplikowane. To osoba słabego zdrowia, więc

naturalnym rzeczy porządkiem nie liczy się z innymi ludźmi. Nie przychodzi jej na myśl, że rodzina mogłaby czasami mieć ochotę na jakąś wycieczkę bez jej udziału. Tak przywykła do otoczenia dzieci, że nie rozumie nawet... — Pan Cope nie dokończył zdania, jego przyjemna, pocziwa twarz przybrała wyraz zakłopotania i troski. — Niech państwo sobie wyobrażą — podjął. — Ostatnio słyszałem o niej coś, co bardzo mnie zastanowiło.

Sara była pogrążona we własnych myślach. Głos Amerykanina szemrał uspokajająco jak odległy strumyk.

— Co pan słyszał? — zapytał Gerard.

— Informacja pochodzi od pewnej pani, którą poznałem w hotelu w Tyberiadzie. Chodzi o młodą dziewczynę, która służyła niegdyś u pani Boynton. Ta dziewczyna była... miała... — Cope zająknął się i zerknąwszy z ukosa ku Sarze, zniżył dyskretnie głos: — Spodziewała się dziecka. Pani Boynton odkryła jej stan i służącą traktowała bardzo życzliwie. Później, kilka tygodni przed rozwiązaniem, nagle wypędziła ją z domu.

Francuz zmarszczył brwi.

— Tak to było... — wtrącił tonem zastanowienia.

— Właśnie. Moja informatorka z całą pewnością przytaczała fakty. Nie wiem, jakiego zdania jest pan doktor, ale ja sądzę, że to było postępowanie okrutne i bezlitosne. Nie potrafię zrozumieć...

— Niech pan się postara — przerwał mu Francuz. — Bez wątpienia incydent z młodą służącą sprawił pani Boynton wiele skrytej uciechy.

Cope szeroko otworzył oczy.

— Nie, panie doktorze! To niemożliwe, nie do uwierzenia! — zawołał z głębokim przekonaniem.

— Drogi panie — podjął Gerard. — Lata poświęciłem badaniu rozmaitych niepojętych spraw, które dzieją się w ludzkich umysłach. To niedobrze dostrzegać tylko lepsze, jaśniejsze strony życia. Pod zewnętrzną powłoką poprawnych, utartych obyczajów dnia powszedniego można znaleźć czasami rzeczy osobliwe, na przykład zamiłowanie do zwykłego okrucieństwa. Ale po dokonaniu takiego odkrycia trafia się zwykle na coś więcej, na niepohamowane, godne ubolewania pragnienie, aby wyróżniać się, zwracać na siebie uwagę. Ktoś, kto nie potrafi zaspokoić tych pragnień, poszukuje rozmaitych metod. Stara się, by inni uznawali jej osobowość, liczyli się z nią, a to prowadzi do perwersji w przeróżnych postaciach. Skłonność do okrucieństwa, to samo jak inne skłonności, może być stale podsycana, tak; wreszcie zawładnie daną osobą...

Jefferson Cope zakasłał dyskretnie.

— Czy pan doktor nie przesadza trochę? — wtrącił i gładko zmienił temat. — Cudowne tu powietrze, prawda?

Francuz uśmiechnął się, spojrział na zadumaną Sarę. P myślał, że dziewczyna wygląda jak młodociany sędzia, który za chwilę ma ogłosić wyrok. Później odwrócił się, gdy przydreptała panna Pierce.

— Mamy już schodzić — zaszcebiotała. — Mój Boże! Musiałam, że nie zdobędę się na to, ale przewodnik powiada,; pójdziemy innym szlakiem, nieporównanie łatwiejszym. Mam nadzieję, że nie kłamie.

Droga wzdłuż strumienia usiana była co prawda niebezpiecznie ruchomymi głazami i każde stąpienie grozi skręceniem nogi, lecz nie przechodzono koło przepaści. Towarzystwo powróciło do obozu zmęczone, ale z wyborny apetytem na spóźniony lunch. Było już po drugiej.

Boyntonowie siedzieli przy dużym stole pod marki; i kończyli posiłek. Lady Westholme zwróciła się do nich łaskawie:

— Mieliliśmy rzeczywiście interesujący ranek. Petra to cudowne miejsce.

— O, tak... Istotnie... — przyznała Carol, zerknąwszy wprzód z ukosa w stronę matki.

Zapadło znów milczenie. Lady Westholme uznała z pewne, że spełniła obowiązek towarzyski, gdyż zajęła się jedzeniem. Nowo przybyli poczęli omawiać plany na popołudnie.

— Chyba odpocznę sobie do wieczora — zaczęła pani Pierce. — Myślę, że nie należy się przemęczać wrażeniami.

— Przejdę się trochę, rozejrzę dokoła — powiedziała Sara zwracając się do Gerarda. — A pan, doktorze?

— Dotrzymam pani towarzystwa.

Pani Boynton upuściła łyżkę i na głośny brzęk poruszyli się wszyscy.

— Ja pójdę pani śladem — zwróciła się lady Westholme do panny Pierce. — Poczytam trochę, zdrzemnę się godzinkę. Później może odbędzie krótką przechadzkę.

Wolno, przy pomocy Lennox, starsza pani dźwignęła się z krzesła. Przez chwilę stała bez ruchu, później przemówiła do rodziny:

— Wszyscy powinniście wybrać się na spacer.

— Bez mamy?

Widok zdumionych twarzy młodych Boyntonów był pocieszny.

— Nie będę was potrzebowała. Posiedzę sama, z książką. Jinny położy się, prześpi.

— Nie jestem zmęczona, mamu. Chciałabym pójść z nimi.

— Jesteś zmęczona! I głowa cię boli. Musisz uważać na siebie. Połóżysz się, prześpisz. Ja wiem najlepiej, co wyjdzie ci na zdrowie.

— Ale, mamu, ja... — Dziewczyna zaczęła buntowniczym tonem, z podniesioną głową; następnie zająknęła się i spuściła wzrok.

— Głuptasku — powiedziała matka. — Idź do swojego namiotu. — Podpierając się łaską wyszła spod markizy, a dzieci pospieszyły za nią.

— Mój Boże... Jacy to dziwni ludzie... — odezwała się panna Pierce. — I co za cera... Rozumie się, matki... Sinopurpurowa... Musi być chora na serce i taka wyprawa jest chyba dla niej zbyt uciążliwa.

Sara pomyślała: „Zwalnia ich na dzisiejsze popołudnie. Wie, że Raymond chciałby być ze mną. Czemu tak postępuje? Czy to pułapka?”

Podobne myśli zaprzętały ją, gdy po drugim śniadaniu poszła do namiotu, by przebrać się w świeży lniany kostium. Od poprzedniego wieczoru jej uczucie dla Raymonda uległo zmianie, przerodziło się w opiekuńczą tkliwość. Więc to jest miłość? Takie właśnie cierpienie za kogoś innego, chęć odwrócenia odeń wszelkich zmartwień... Za wszelką cenę! Tak! Ona kocha Raymonda, podobnie jak to jest w legendzie o świętym Jerzym, tylko że tym razem role są odwrócone. Ona ma zostać wybawicielką skutej łańcuchami ofiary. A stara Boynton jest smokiem — smokiem, którego nieoczekiwana łaskawość budzi najgorsze podejrzenia.

Mniej więcej kwadrans po trzeciej panna King zeszła znów pod markizę. Lady Westholme — ubrana mimo skwaru w praktyczną spódnicę z tweedu — odpoczywała na leżaku. Na kolanach miała rozłożony raport jakiejś komisji królewskiej. Doktor Gerard rozmawiał z panną Pierce, która stała przed swoim namiotem, trzymając w ręku książkę pod tytułem: W poszukiwaniu miłości, reklamowaną na obwołucie, jako „wzruszająca opowieść o ludzkich namiętnościach i wzajemnych nieporozumieniach”.

— Myślę, że to nieostrożność kłaść się spać zaraz po posiłku — mówiła panna Pierce. — Trawienie, rozumie pan, to bardzo ważna sprawa. Tutaj, w cieniu markizy, jest chłodno i przyjemnie... Mój Boże! Jaka nierozważna jest ta starsza pani. Siedzi na słońcu w taki upał.

Wszyscy spojrzeli w górę, ku skalnemu zbocz, gdzie pani Boynton — nieruchoma statua Buddy — siedziała jak poprzedniego wieczoru u wejścia do groty. Prócz niej nie było widać w pobliżu żywej duszy. Cała służba obozowa spała. Dalej w głębi doliny wędrowała grupka osób.

— Nareszcie dobra mama pozwala dzieciom bawić się samodzielnie — powiedział Gerard. — Czy to jeden z jej nowych szatańskich pomysłów?

— Nad tym się właśnie zastanawiam — podchwyciła Sara.

— Okropne podejrzenia — uśmiechnął się. — Chodźmy. Dogonimy wagarowiczów.

Odeszli, pozostawiając pannę Pierce z jej pasjonującą lekturą. Za pierwszym zakrętem parowu zrównali się z gromadką młodych Boyntonów, którzy tym razem sprawiali wrażenie pogodnych i nieskrępowanych.

Wkrótce śmieli się i rozmawiali swobodnie wszyscy — Lennox i Nadine, Carol i Raymond, Jefferson Cope z rozpromienioną twarzą, a także Sara King i doktor Gerard, którzy dołączyli do towarzystwa. Ogarnęła ich nagle wesołość, jak gdyby zdawali sobie sprawę, że przeżywają kradzione, krótkie chwile wolności. Sara i Raymond nie szukali odosobnienia. Ona szła z Carol i Lennoxem. On gawędził z doktorem. W pewnej odległości podążali za resztą towarzystwa Nadine i pan Cope.

Ogólną harmonię zakłócił Francuz, który od kilku minut zaciął się i mówił jak gdyby z wysiłkiem. Wreszcie przystanął nagle.

— Stokrotnie przepraszam, ale, niestety, będę musiał wrócić.

Sara spojrzała nań czujnie.

— Dolega coś panu?

— Tak. Mam gorączkę. Już przy drugim śniadaniu czułem, że mnie bierze...

— Malaria?

— Zgadła pani. Pamiątka z Kongo. Wrócę do namiotu, zażyję chininę. Mam nadzieję, że atak nie będzie silny.

— Może pójść z panem? — zapytała.

— Nie, nie! Mam apteczkę podręczną... Przykra historia! Ale proszę się mną nie przejmować.

Odwrócił się i szybko ruszył w kierunku obozu. Sara patrzyła za nim przez chwilę, jak gdyby z wahaniem, gdy jednak napotkała spojrzenie Raymonda, uśmiechnęła się do niego i zapomniała o Francuzie.

Z początku cała szóstka trzymała się razem. Później Sara i Raymond odłączyli się od towarzystwa. Szli teraz we dwoje, wspinali się zboczem wąwozu i wreszcie usiedli, by odpocząć na cienistej półce skalnej.

Milczeli jakiś czas, póki nie odezwał się Raymond:

— Jak pani na imię? Nazwisko znam: King. Ale imię?

— Sara.

— Sara — powtórzył. — Mogę tak mówić do pani?

— Oczywiście.

— Panno Saro... Proszę mi coś opowiedzieć o sobie.

Wsparta o prostopadłą ścianę skalną zaczęła mu opowiadać o swoim życiu w hrabstwie York, o psach i ciotce, która ją wychowywała. Później on mówił o sobie — niepewnie, urywanymi zdaniem.

Zapadła znowu cisza. Ich dłonie powędrowały ku sobie i ręka w rękę siedzieli teraz pełni dziwnej błogości.

Wreszcie, gdy słońce obniżyło się na niebie, Raymond drgnął niespokojnie.

— Muszę już wracać — powiedział. — Bez pani... Chcę być sam, bo mam coś do powiedzenia i do zrobienia. Jak to się stanie i dowiodę samemu sobie, że nie jestem tchórzem, wtedy... Wtedy nie będę wstydził się wrócić do pani, poprosić o pomoc. Będzie mi potrzebna. Myślę, że powinienem zaciągnąć pożyczkę.

— Cieszę się, że jest pan realistą — uśmiechnęła się Sara. — Może pan na mnie liczyć.

— Najpierw muszę to załatwić. Sam.

— Co?

Chłopięca twarz Raymonda przybrała poważny wyraz.

— Muszę dać dowód odwagi. Teraz lub nigdy! — rzucił i odszedł szybko.

Młoda lekarka odprowadziła go wzrokiem, zaniepokojona trochę sensem jego ostatnich słów i tonem, którym je wypowiedział. Był jakiś dziwnie skupiony w sobie, pełen napięcia... Przez moment żałowała, że z nim nie poszła. Ale stanowczo powiedział, że chce być sam i sam musi wystawić na próbę odwagę, na którą właśnie się zdobył. Wolno mu! Jednakże westchnęła pobożnie, aby mu ta odwaga dopisała...

Słońce zachodziło, gdy obóz pojawił się znowu. W świetle nadchodzącego zmierzchu Sara zobaczyła posepną, nieruchomą postać siedzącą nadal u wejścia do grotty. Wzdrygnęła się lekko i biegnącą niżej ścieżką przeszła szybko pod oświetloną markizę.

Lady Westholme miała zawieszoną na szyi pasmo niebieskiej włóczki, z której robiła na drutach sweter. Panna Pierce haftowała serwetę we wzorek z anemicznych niezapominajek i przy okazji była pouczana w kwestii reform koniecznych w prawie rozwodowym. Służba krzątała się przy nakrywaniu do obiadu. Boyntonowie siedzieli na leżakach w odległym kącie, zajęci czytaniem. Godny i otyły Mahmud pojawił się i wystąpił z żalami... Na popołudnie obmyślił bardzo atrakcyjną wycieczkę, ale w obozie nie było nikogo... Wywrócono mu cały program...

Sara odpowiedziała, że i tak wszyscy spędzili czas miło, a następnie poszła do swojego namiotu, by umyć ręce przed posiłkiem. Wracając zatrzymała się przed namiotem Gerarda i zawołała cicho:

— Panie doktorze!...

Nie otrzymała odpowiedzi, więc zajrzała i zobaczyła, że Francuz leży bez ruchu, zapewne śpi, jak osądziła. Wycofała się bezszelestnie.

Jeden ze służących wskazał gestem ręki markizę, dając zapewne znać, iż obiad gotowy. Zeszła tam i przy stołach zastała całe towarzystwo z wyjątkiem doktora oraz pani Boynton. Po starszą panią zaraz wyprawiono służącego. Później nastąpiło zamieszanie. Dwaj Beduini wbiegli pod markizę i szybko zaczęli mówić coś po arabsku do Mahmuda.

Ten niespokojnie rozejrzał się dokoła i wyszedł prędko. Pod wpływem nagłego impulsu Sara wybiegła za nim.

— Co się stało? — zapytała.

— Abdul powiada, że starsza pani chora. Nie może się poruszać.

Lekarka przyśpieszyła kroku.

— Pójdę tam. Sprawdzę.

Wspięła się za Mahmudem skalną ścieżką aż do grotty, przed którą siedziała nieruchoma postać. Ujęła jej nabrzmiałą dłoń, wprawnie poszukała tętna.

Kiedy wyprostowała się, była bardzo blada. Co tchu wróciła pod markizę i przystanąwszy u wejścia, spojrzała na Boyntonów. Po chwili odezwała się głosem, którego ton zabrzmiał w jej ustach szorstko, bardzo nienaturalnie:

— Z przykrością muszę zawiadomić pana — zmusiła się, by słowa skierować do Lennox, głowy rodziny — że pańska matka nie żyje.

Z ciekawością, jak gdyby ze znacznej odległości, przebiegła wzrokiem twarze pięciu osób, którym ta wiadomość przynosiła wyzwolenie.

ROZDZIAŁ XI

Pułkownik Carbury uśmiechnął się przez stół do swojego gościa i podniósł szklanke.

— Niech żyje zbrodnia!

Oczy Herkulesa Poirot zabłyśły wesoło. Spodobał mu się toast. Do Ammanu przyjechał z listem polecającym od pułkownika Race'a, a pułkownik Carbury ciekaw był detektywa o światowej sławie, którego pod niebiosa wynosił pułkownik Race, jego dawny kolega i współpracownik Intelligence Service. „Najczystszej wody psychologiczna dedukcja!” Tak Race pisał o rozwikłaniu przez małego Belga zagadki morderstwa w Szaitana.

— Postaram się pokazać panu wszystko, co w tym kraju warto zwiedzić — mówił pułkownik, szarpiąc nie najstaranniej utrzymanego wąsa.

Ów krępy, łysiejący mężczyzna, o mętnych, jasnoblękitnych oczach, był ubrany dość niechlujnie i bynajmniej nie sprawiał wrażenia żołnierza-służbisty. Nie wyglądał nawet na człowieka szczególnie bystrego, lecz w Transjordanii był potęgą.*

— Na przykład Dżerasz — ciągnął. — Interesują pana takie rzeczy?

— Mnie interesuje wszystko.

— Oto słuszna postawa życiowa — powiedział Carbury i zawiesił głos na chwilę. — Niech no pan powie, czy trafia się czasami, że pański zawód ściga pana?

— *Pardon?*

— Innymi słowy, czy nie zdarza się, że przyjeżdża pan dokądś, aby wypocząć, oderwać się od zbrodni, a tam, na miejscu, trup zagradza panu drogę?

— Tak... To zdarzało się nieraz.

Pułkownik zrobił minę jeszcze bardziej roztargnioną.

— Aha... — Podniósł się raptownie. — Widzi pan, mamy tutaj trupa, który wcale mi się nie podoba.

— Naprawdę?

— Tak. Tu. W Ammanie. Stara Amerykanka. Wybrała się z rodziną do Petry. Rozumie pan? Męcząca podróż, upał, niezwykły o tej porze roku, choroba serca i trudy większe, niż mogła przewidywać. Atak serca, no i wykitowała.

— Tu, w Ammanie?

— Nie. W Petrze. Zwłoki dziś przywieziono.

— Rozumiem.

— Śmierć naturalna, idealnie łatwa do uzasadnienia. Niby wszystko w porządku, tylko...

— Tylko co?

Pułkownik podrapał się w łysinę.

— Tylko wbiłem sobie do głowy, że wykończyła ją rodzina.

— Aa... Czemu pan tak sądzi? Carbury nie odpowiedział wprost.

— Paskudna baba — podjął. — Żadna strata. Wykitowała i wygląda na to, że wszyscy są zadowoleni. Ale, widzi pan, diablo trudno zdobyć dowód, jeżeli rodzina jest solidarna i w razie potrzeby kłamie zgodnie, jak najęta. Rzecz jasna, nie trzeba nam kłopotów, jakichś międzynarodowych zadrażnień. Najłatwiej puścić sprawę płazem. Właściwie nie ma żadnych podstaw, by wszcząć śledztwo. W swoim czasie znałem jednego lekarza. Często, jak powiadał, miewał podejrzenia, że taki czy inny jego pacjent został przedwcześnie wyprawiony z tego świata. Twierdził, że w takim przypadku najrozumniej siedzieć cicho, jeżeli nie ma się w rękę czegoś naprawdę murowanego. Inaczej robi się swąd, śledztwo umorzone i solidny, ciężko pracujący lekarz ma już zababraną opinię. To, oczywiście, nie ma

* Międzywojenna Transjordanja (część obecnej Jordanii) była całkowicie uzależniona od wpływów brytyjskich. (Przyp. tłum.).

sensu. Ale mimo wszystko... — Pułkownik podrapał się znów w łysinę. — Ja tam lubię porządek.

Pułkownik Carbury miał krawat pod lewym uchem, skarpetki w obwarzankach, wyplamioną i podartą tu i ówdzie bluzę. Ale Poirot przyjął jego ostatnie zdanie bez uśmiechu.

Należycie oceniał systematyczność i powściągliwość Anglika w wydawaniu własnych sądów.

— Tak. Ja tam lubię porządek — powtórzył Carbury. — Nie znoszę bałaganu.

Mały Belg poważnie skinął głową. Rozumiał i podzielał takie stanowisko.

— Nie było tam lekarza?

— Było ich nawet dwoje: jeden leżał chory na malarię, drugi to młoda dziewczyna, świeżo po studiach, ale zna się chyba na swoim fachu. Ten zgon nie budził żadnych wątpliwości. Stara kobieta o słabym sercu. Od dawna przyjmowała środki nasercowe. Zmęczenie. Upał. Atak. Nagła śmierć.

— A więc co pana dręczy, przyjacielu? — zapytał Poirot. Tamten zwrócił ku niemu mętne, jasnoblękitne oczy.

— Słyszał pan o Francuzie nazwiskiem Teodor Gerard?

— Naturalnie. To znakomitość w swojej dziedzinie.

— Czyste brednie. Na przykład, ktoś kochał się w pomywaczce jako czterolatek i dlatego w trzydziestym ósmym roku życia twierdzi, że jest arcybiskupem Canterbury. Nie widzę w tym sensu i nie widziałem nigdy, ale tacy faceci gładko łączą jedno z drugim.

— Doktor Gerard to z pewnością autorytet w zakresie pewnych głęboko zakorzenionych zmian psychopatycznych — uśmiechnął się Poirot. — Czy, że się tak wyrażę, po takiej Unii rozumowania relacjonuje wydarzenia w Petrze?

— Nie, nie! — zaprzeczył żywo pułkownik. — Nie zawracałbym sobie głowy tymi wydarzeniami, gdyby tak było. Chociaż nie twierdzę, że taka linia rozumowania jest wierutnym kłamstwem. To coś, czego nie mogę zrozumieć, jak na przykład jednego z moich służących Beduinów, który potrafi wysiąść z samochodu pośrodku płaskiej pustyni, dotknąć ręką ziemi i określić z dokładnością do paru mil, gdzie się znajduje. Nie jest to magia, ale na magię zakrawa. Nie! Relacja doktora Gerarda jest całkiem prosta. Fakty i tyle. Chyba interesuje to pana? Na pewno interesuje!

— Tak. Oczywiście.

— To dobrze. Zatelefonuję po Gerarda, sprowadzę go tu i na własne uszy usłyszy pan wszystko.

Niebawem pułkownik wyprawił wóz po Francuza, a Poirot zapytał:

— Z ilu osób składa się ta rodzina?

— Nazywają się Boynton. Jest dwu synów. Jeden żonaty. Żona ładna, młoda. Robi wrażenie spokojnej i z głową na karku. Są też dwie córki. Obie ładne. Całkiem do siebie niepodobne. Młodsza strasznie nerwowa, ale to może być szok.

— Nazywają się Boynton... — Mały Belg uniósł brwi z zastanowieniem. — Ciekawe... Bardzo ciekawe.

Carbury rzucił mu pytające spojrzenie spod oka, lecz Poirot nie dodał nic więcej, więc mówił dalej:

— Matka była cholerną jędzą. Kazała wszystkim tańczyć dokoła siebie na dwu łapkach. No i trzymała w garści całą forszę. Żadne z dzieci nie miało własnego pensa.

— Bardzo interesujące. Wie pan może, jak rozporządziła majątkiem?

— Aha. Zapytałem o to tak, niby, od niechcienia. Majątek ma być podzielony między nich w równych częściach.

— Rozumiem. Jest pan zdania, że wszyscy byli w zмовie?

— Nie wiem. W tym cały kłopot. Nie wiem, czy to zmowa, czy nagły wspaniały pomysł kogoś z rodziny. A może nic takiego nie było. Chciałbym wysłuchać pańskiej fachowej opinii i... O! Jest doktor Gerard.

Francuz wszedł pewnym, szybkim krokiem. Uścisnął dłoń gospodarza i z zaciekawieniem spojrzął na słynnego detektywa.

— To pan Herkules Poirot — przedstawił Carbury. — Mój gość. Rozmawialiśmy o tej historii w Petrze.

— Rozumiem... — Gerard ponownie zerknął na małego Belga. — Zainteresowała pana sprawa?

Poirot rozłożył ręce bezradnym gestem.

— Niestety! — westchnął. — Człowieka interesują zawsze sprawy związane z jego zawodem.

— To racja — przyznał Gerard.

— Napije się pan doktor?

Carbury nalał whisky i wody sodowej do szklanki, którą postawił przed Francuzem. Później, z karafką w rękę, spojrzął pytająco na Poirota, lecz ten przecząco pokręcił głową.

— No i na czym stało? — podjął pułkownik, sadowiac się wygodniej na krześle.

— Wygląda na to — zwrócił się Poirot do Gerarda — że nasz gospodarz nie jest zadowolony.

— I to z mojej winy! — podchwycił Francuz. — Oczywiście, mogę się mylić. Proszę pamiętać, panie pułkowniku, że mogę się mylić.

— Niech pan zapozna Poirota z faktami — burknął Carbury.

Doktor zaczął od zwięzłego streszczenia wydarzeń poprzedzających wyjazd do Petry. Scharakteryzował członków rodziny Boyntonów i wspominał, rzecz jasna, o ich stanie napięcia nerwowego. Poirot słuchał z wielką uwagą.

Następnie Francuz opisał pierwszy dzień pobytu w Petrze i ciągnął mówiąc o swoim powrocie do obozu:

— Rozłożył mnie ciężki atak malarii, więc chciałem zastosować dożylny zastrzyk chininy.

Poirot skinął głową z całym zrozumieniem.

— Byłem w fatalnym stanie. Z trudnością trafiłem do namiotu, a tam nie mogłem znaleźć mojej apteczki podróźnej, którą ktoś gdzieś przełożył. Kiedy ją wreszcie odszukałem, nie znalazłem strzykawki, więc dałem za wygraną i dużą dozę chininy przyjąłem doustnie. Później się położyłem.

Gerard zrobił krótką pauzę, po czym mówił dalej:

— Śmierć pani Boynton stwierdzono dopiero po zachodzie słońca. Siedziała na fotelu podparta tak, że jej pozycja nie uległa zmianie. Odkrycia dokonał służący, który o pół do siódmej poszedł tam, by ją poprosić na obiad.

Francuz opisał szczegółowo położenie groty i określił jej odległość od markizy.

— Panna King — ciągnął — która w tym roku ukończyła medycynę, dokonała oględzin. Mnie nie wzywała, bo wiedziała, że jestem chory. Z całą pewnością nic nie można było zrobić. Pani Boynton nie żyła i to od pewnego czasu.

— Od jakiego dokładnie? — wtrącił Poirot.

— Nie zdaje mi się, by panna King zwróciła szczególną uwagę na tę kwestię. Nie przywiązywała do niej znaczenia.

— Ale dało się chyba ustalić, kiedy po raz ostatni widziano panią Boynton żywą? — zapytał detektyw.

Pułkownik odchrząknął i sięgnął po wyglądający urzędowo dokument.

— Krótko po czwartej — zaczął — rozmawiały z panią Boynton dwie osoby: lady Westholme i panna Pierce. Lennox Boynton rozmawiał z matką około pół do piątej. Jego żona mniej więcej w pięć minut później. Carol Boynton zamieniła z matką kilka słów w

porze, której nie potrafi bliżej określić. Według innych zeznań musiało to mieć miejsce jakieś dziesięć po piątej. Jefferson Cope, Amerykanin zaprzyjaźniony z Boyntonami, widział denatkę, jak sądził, pogrążoną we śnie, kiedy wracał do obozu z lady Westholme i panną Pierce. Nie odezwał się do niej. Była wtedy mniej więcej za dwadzieścia szósta. Należy sądzić, że młodszy syn, Raymond, ostatni widział matkę przy życiu. Po powrocie ze spaceru podszedł do niej o rozmawiali przez chwilę tak plus minus za dziesięć szósta. O pół do siódmej służący poszedł przypomnieć pani Boynton o obiedzie i zastał ją nieżywą.

— Czy między wizytą Raymonda a szóstą trzydzieści nikt nie był blisko pani Boynton? — zapytał Poirot.

— Na to wygląda.

— Ale ktoś mógł tam pójść, prawda? — natarł detektyw.

— Nie sądzę. Od szóstej służba krzątała się po obozie. Rozmaite osoby wychodziły ze swoich namiotów lub do nich wchodziły. Nikt nie widział, żeby ktoś był blisko pani Boynton.

— A zatem Raymond ostatni widział matkę żywą. Z całą pewnością, prawda? — zapytał mały Belg.

Gerard i Carbury wymienili szybkie spojrzenia. Pułkownik zabębnił palcami po stole.

— Tu właśnie zaczyna się mętlik — powiedział. — Słuchamy dalej, panie doktorze. Dziś pański benefis.

— Jak już wspomniałem, panna King zbadła panią Boynton, lecz nie sądziła, że dokładne ustalenie pory zgonu miało istotną wagę. Powiedziała tylko, że śmierć nastąpiła „Jakiś czas temu”. Ale następnego ranka, kiedy starałem się o dokładniejsze określenie przebiegu wydarzeń i powiedziałem, że Raymond ostatni widział matkę żywą krótko przed szóstą, panna King oznajmiła, że to niemożliwe, bo przed szóstą pani Boynton musiała już nie żyć.

Poirot z zastanowieniem zmarszczył czoło.

— Dziwna historia! Bardzo dziwna... A co powiada pan Raymond Boynton?

— Zaklina się, że matka żyła wtedy — podchwycił żywo pułkownik. — Podszedł do niej i powiedział, że już wrócił i ma nadzieję, że ona przyjemnie spędziła popołudnie. Jak twierdzi, odburknęła: „Wszystko w porządku”, a on odszedł zaraz do swojego namiotu.

— To ciekawe... Nad wyraz ciekawe — wymamrotał Poirot i zagadnął Gerarda zupełnie innym już tonem: — Panie doktorze, czy był już zmierzch?

— Słońce właśnie zachodziło.

— Ciekawe... A pan, doktorze, kiedy badał zwłoki?

— Następnego dnia rano. O dziewiątej.

— I jak określił pan porę zgonu? Francuz wzruszył ramionami.

— Po tak długim czasie trudno o dokładność. Oczywiście musi być margines kilku godzin. Pod przysięgą mógłbym zeznać tylko, że denatka nie żyła z pewnością od dwunastu godzin, lecz nie więcej niż od osiemnastu. Jak panowie widzą, na nic się to nie przyda.

— Słuchamy dalej, doktorze — wtrącił Carbury. — Niech Poirot dowie się wszystkiego.

— Kiedy wstałem z rana, znalazłem strzykawkę pośród buteleczek w apteczce stojącej na stoliku. Wolno panom twierdzić, że przegapiłem ją poprzedniego dnia. Byłem w fatalnym stanie. Miałem okropne dreszcze i wysoką temperaturę. Przecież czasami ktoś zupełnie zdrowy może szukać i nie znajdować tego, co leży na widocznym miejscu. Ale stanowczo twierdzą, że poprzedniego wieczoru strzykawki tam nie było.

— To jeszcze nie wszystko — wtrącił gospodarz.

— Dwa fakty są niepośledniej wagi. Na przegubie ręki nieboszczka miała ślad jak gdyby po zastrzyku. Jej córka tłumaczy, że to było ukłucie szpilką i...

— Która córka? — podchwycił Poirot.

— Carol.

— Słuchamy dalej.

— I jeszcze jeden ważny fakt. Kiedy przejrzałem moją podróżną apteczkę, zauważyłem, że zmniejszył się wyraźnie zapas digitoxyny.

— Digitoxyna, o ile mi wiadomo, to silna trucizna paraliżująca serce?

— Tak. Dostarcza jej *digitalis purpurea*, naparstnica pospolita. Cztery odmiany czynnego związku są obecne w liściach naparstnicy: digitalina, digitonina, digitaleina i digitoxyna. Z tych digitoxyna jest najbardziej aktywna. Według doświadczeń Koppa działa sześć do dziesięciu razy silniej niż pozostałe odmiany. Digitoxyna figuruje w farmakopei francuskiej, ale w brytyjskiej jej nie ma.

— A duża jej dawka?... — wtrącił pytająco Poirot.

— Duża jej dawka — powtórzył Francuz — w zastrzyku dożylnym powoduje natychmiastową śmierć skutkiem paraliżu serca. Ustalono, że cztery miligramy to doza śmiertelna dla dorosłego człowieka.

— A pani Boynton cierpiała na dolegliwości sercowe?

— Tak. I ostatnio przyjmowała stale lek zawierający *digitalis*.

— To bardzo interesujące — mruknął mały Belg.

— Chce pan powiedzieć, że jej śmierć można byłoby przypisać przedawkowaniu tego leku? — zapytał go Carbury.

— Z całą pewnością. Ale miałem na myśli coś więcej.

— Preparaty *digitalis* — ciągnął Gerard — mają pewne właściwości kumulacyjne. Ponadto, w przypadku sekcji zwłok, można nie wykryć śladu tych aktywnych związków, chociaż zgon został przez nie spowodowany.

Poirot z uznaniem pokiwał głową.

— Czysta robota — powiedział — wyjątkowo sprytna. Nie dałoby się dowieść niczego przed sądem. To niemożliwe... Prawie niemożliwe. Tak, proszę panów! Jeżeli to morderstwo, można powiedzieć, że jest wyjątkowo dobrze obmyślane. Strzykawka podrzucona na dawne miejsce. Ofiara zażywała truciznę, którą się posłużono. Ile tu możliwości przypadku lub omyłki! Oho, ho! Morderca ma głowę na karku! Jest w tym logika, umiejętność przewidywania, polot!

Przez dobrą chwilę Herkules Poirot siedział zamyślony. Później wyprostował się nagle.

— A przecież jedno zbija mnie z tropu — podjął.

— Co?

— Kradzież strzykawki.

— Ktoś ją zabrał — powiedział żywo doktor Gerard.

— Właśnie! Zabrał i zwrócił.

— Tak!

— Dziwne... Bardzo dziwne — bąknął detektyw. — Inaczej wszystko pasowałoby świetnie jedno do drugiego.

Pułkownik popatrzył na niego bez zdziwienia.

— I co? Jak wygląda pańska fachowa opinia? Czy w grę wchodzi morderstwo?

— Momencik! — Poirot uniósł rękę. — Nie doszliśmy aż tak daleko. Trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedną okoliczność.

— Jaką? Zapoznaliśmy pana ze wszystkimi.

— Nie! Jest coś, o czym panowie dowiedzą się ode mnie. Od Herkulesa Poirot! — Z uśmiechem przebiegł spojrzeniem dwie zdumione twarze. — Zabawne, co? Panowie zrelacjonowali mi całą sprawę, a ja mogę dorzucić zeznanie, o którym panom nie wiadomo. A było to tak. Pewnego wieczora w hotelu „Salomon” podszedłem do okna, żeby sprawdzić, czy jest zamknięte i...

— Zamknięte? — zdziwił się Carbury. — Chyba otwarte?

— Zamknięte! — powtórzył stanowczo mały Belg. — Naturalnie było otwarte, więc postanowiłem je zamknąć, ale na moment przystanąłem z ręką na ryglu. Wtedy dobiegł mnie

głos, przyjemny niski głos, w którym brzmiało silne zdenerwowanie. Pomyślałem, że ten głos poznałbym z pewnością, gdybym go drugi raz złowił uchem. I co usłyszałem? „Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić”. — Poirot zrobił efektowną pauzę, nim zaczął mówić dalej: — Rzecz oczywista, że nie skojarzyłem wówczas podsłuchanego zdania z morderstwem. Myślałem, że wypowiedział je jakiś pisarz lub autor scenariusza filmowego. Ale dziś jestem tego mniej pewien. Lub raczej jestem pewien, że się wtedy myliłem.

Nastąpiła kolejna efektowna pauza.

— Proszę panów! — podjął detektyw. — Twierdzą według mojej najlepszej wiedzy, że przytoczone przeze mnie słowa wypowiedział młody człowiek, którego później widziałem i słyszałem w holu hotelu „Salomon”. Ten młody człowiek, jak mnie poinformowała służba, nazywa się Raymond Boynton.

ROZDZIAŁ XII

— Raymond Boynton! — zawołał Francuz.

— Uważa pan, że to zbyt nieprawdopodobne z psychologicznego punktu widzenia? — zapytał spokojnie Poirot.

— Nie. Tego bym nie powiedział. Jestem zdziwiony, zaskoczony. Przyznaję. Wie pan dlaczego? Ponieważ Raymond Boynton wydaje się najbardziej z nich wszystkich podejrzany.

Pułkownik Carbury westchnął tak, jak gdyby chciał powiedzieć: Ach, ci faceci od psychologii!

— Sęk w tym — odezwał się — jak z całej historii wybrniemy?

Gerard wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, jak pan wybrnie — powiedział. — Trudno będzie o niezbity dowód. Może pan być przekonany, że to było morderstwo, lecz może pan mieć trudności z udowodnieniem tego w sądzie.

— Aha! — obruszył się Carbury. — Podejrzewamy, że to było morderstwo. I co? Mamy siedzieć z założonymi rękami! Wcale mi się to nie podoba! — zawołał i dorzucił starą formułkę. — Ja tam lubię porządek.

— Wiem. Rozumiem! — podchwycił detektyw. — Chciałby pan całą rzecz uporządkować, dowiedzieć się dokładnie, co i jak zaszło. A pan, panie doktorze? Powiedział pan, zapewne słusznie, że trudno będzie o niezbity dowód. Ale czy, pańskim zdaniem, należy tak zostawić sprawę?

— Pani Boynton — odparł niepewnie Francuz — była u schyłku życia, w każdym razie mogła umrzeć wkrótce, za tydzień... za miesiąc... rok.

— Więc należy tak zostawić sprawę?

— Nie ulega wątpliwości — ciągnął doktor — że... jak by to sformułować?... Ta śmierć jest korzystna ze społecznego punktu widzenia. Przyniosła wolność dzieciom pani Boynton, ludziom inteligentnym i uczciwym, którzy teraz będą mogli rozwijać się normalnie, zostać przydatnymi członkami społeczeństwa. Innymi słowy skutki tej śmierci mogą być jedynie dobroczynne.

— A zatem, pańskim zdaniem, należy tak zostawić sprawę? — powtórzył dobitnie Herkules Poirot.

— Nie! — Francuz nieoczekiwanie uderzył pięścią w blat stołu. — Nie jestem zdania, jak się pan wyraził, że tak należy zostawić sprawę. Uczciwość zawodowa każe mi chronić życie. Dlatego mogę powtarzać świadomie, że ta śmierć to wydarzenie korzystne, lecz moja podświadomość buntuje się przeciwko takiemu twierdzeniu. Niedobrze, proszę panów, jeżeli człowiek umiera przed swoim czasem.

Poirot uśmiechnął się dyskretnie. Był kontent z odpowiedzi, którą tak cierpliwie prowokował.

— Pan nie pochwała morderstwa. Słusznie! Ja również — powiedział chłodno gospodarz. Wstał i ponieważ szklanki gości były wciąż pełne, dolał whisky z wodą sodową tylko sobie. — A teraz wróćmy do sedna sprawy. Co z tym fantem zrobić? Pigułka nam nie smakuje. Zgoda. Ale, być może, przyjdzie nam ją przełknąć. Nie opłaci się robić zamieszania, z którego nic nie wyjdzie.

Poirot milczał przez pewien czas. Systematycznie wyrównał na stole dwie popielniczki, ułożył zgrabnie stosik z wypalonych zapalek.

— Chce się pan dowiedzieć, pułkowniku, kto zabił panią Boynton? — przemówił wreszcie. — Ma się rozumieć, jeżeli została zabita, a nie umarła naturalną śmiercią. Chce pan zbadać dokładnie, jak i kiedy zginęła, albo, innymi słowy, poznać całą prawdę?

— Aha. Na tym zależałoby mi bardzo.

— Nie widzę powodu — podjął z wolna mały Belg — dla którego nie miałby pan poznać całej prawdy.

Doktor spojrział na detektywa z niedowierzaniem. Carbury zachował spokój.

— Aha... Nie widzi pan powodu! To ciekawe... Jaką drogą myśli pan podejść do sprawy?

— Drogą metodycznego przesiewania zeznań i logicznego rozumowania.

— To mi odpowiada! — wtrącił gospodarz.

— A także drogą studiowania psychologicznych prawdopodobieństw — dorzucił Poirot.

— To chyba odpowiada doktorowi Gerardowi. A później co? Metodycznie przesieje pan zeznania, upora się z logicznym rozumowaniem, nie pominię psychologicznych kawałków... I co? *Voilà!* Wyciągnie pan królika z cylindra?

— Byłbym szczerze zdziwiony, gdyby mi się to nie powiodło — odparł mały Belg z całym spokojem.

Pułkownik zerknął znad szklanki. Jego oczy nie były teraz mętne; na moment stały się bystre, szacujące. Mruknął coś i odstawił szklankę.

— Co pan na to, doktorze?

— Przyznaję, że do sukcesu odnoszę się sceptycznie. Ale pan Poirot to potęga!

— Tak. Jestem utalentowany — zgodził się skromnie detektyw.

Gospodarz przestał mu się przyglądać i zakasłał dyskretnie.

— Przede wszystkim należy ustalić, czy Boyntonowie wspólnie przygotowali i wykonali zbrodnię, czy też działano tu w pojedynkę. W drugim przypadku trzeba będzie rozstrzygnąć, kto może być najbardziej prawdopodobnym sprawcą.

— Na podstawie pańskiego zeznania — zabrał głos Gerard — Raymond Boynton jest chyba pierwszym podejrzanym.

— Słusznie! — przyznał detektyw. — Na to miejsce kwalifikują go słowa, które podsłuchałem, a także rozbieżność między twierdzeniami jego i tej młodej lekarki. On ostatni widział ofiarę przy życiu. Tak sam powiada. Sara King przeczy temu kategorycznie. Proszę powiedzieć, doktorze, czy... jak by to wyrazić... czy ta para jest sobą nawzajem zajęta?

— Z całą pewnością — przytaknęła Francuz.

— Czy panna King to brunetka z włosami szczesanymi z czoła i dużymi piwnymi oczyma? Młoda osoba o bardzo energicznym sposobie bycia?

Gerard zrobił zdziwioną minę.

— Tak. Opis jest dokładny.

— Zdaje mi się, że widziałem ją w hotelu „Salomon”. Rozmawiała z Raymondem, który później utknął przed wyjściem z windy, jak gdyby zapadł w sen na jawie. Trzy razy musiałem powtórzyć: Pardon, nim usłyszał i ustąpił z drogi. — Poirot zamyślił się na chwilę i podjął: — A zatem orzeczenie lekarskie musimy przyjąć z pewną rezerwą. Panna King jest stroną zainteresowaną. Panie doktorze, czy Raymond to, pańskim zdaniem, typ psychologiczny, który łatwo potrafiłby się zdobyć na morderstwo?

— Ma pan na myśli morderstwo z premedytacją? — zapytał wolno Francuz. — Tak. Uważam to za prawdopodobne, ale tylko w warunkach silnego napięcia nerwowego.

— Takie warunki istniały.

— Niewątpliwie. Podróż zwiększyła pobudliwość emocjonalną młodych Boyntonów. Kontrast między ich życiem a życiem innych ludzi zarysował się wyraźniej. To oczywiście. Jeżeli zaś chodzi o Raymonda...

— Słucham pana, doktorze.

— Sprawę komplikuje tym bardziej jego zainteresowanie Sara King.

— Mamy dodatkowy motyw i dodatkową podniętę, co?

— O to chodzi!

Pułkownik odkaslnął raz jeszcze.

— Za pozwoleniem panów wtrączę się na moment — powiedział. — Zdanie: „Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić” musiało być do kogoś adresowane.

— Trafna uwaga! — zawołał Poirot. — Nie zapomniałem o tym. Do kogo zwracał się Raymond? Niewątpliwie do kogoś z rodziny. Mógłby nam pan coś powiedzieć, doktorze, o stanie emocjonalnym reszty młodych Boyntonów?

— Carol — odpowiedział spiesznie Francuz — była wyczerpana nerwowo i tak jak Raymond bliska buntu. Ale jej zachowanie pozbawione było podnieć erotycznych. Lennox miał już za sobą okres buntowniczy. Pograżył się w apatię. Wydaje mi się, że z trudnością potrafiłby się zdobyć na koncentrację myśli. Na to, co się działo wokół niego, reagował zamykając się w sobie coraz bardziej. Stanowczo twierdzą, że to introwertyk.

— A jego żona?

— Była zmęczona życiem i nieszczęśliwa, ale z pewnością nie zdradzała objawów zaburzeń nerwowych czy psychicznych. Sądzą, że wahała się w podjęciu stanowczej decyzji.

— Jakiej?

— Opuścić męża czy nie opuścić — powiedział Francuz i przytoczył rozmowę, jaką odbył z Jeffersonem Cope'em.

Poirot pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Co pan powie o młodszej córce? Na imię jej Ginevra, prawda?

Twarz lekarza przybrała wyraz bardzo poważny.

— Z mojego punktu widzenia jej stan budzi najwięcej obaw. Ginevra Boynton zaczyna zdradzać objawy schizofrenii. Nie mogła znieść ich codziennego życia, więc schroniła się w świat fantazji. Cierpi na daleko posuniętą manię prześladowczą. Utrzymuje, że jest osobą królewskiego rodu... w niebezpieczeństwie... otoczoną wrogami... Bardzo charakterystyczne objawy.

— Czy bardzo groźne?

— Ma się rozumieć. Taki stan prowadzi często do maniackich skłonności morderczych. Chory zabija nie z chęci zabójstwa, lecz działając w obronie własnej. Morduje, by nie być zamordowanym, a więc w swoim mniemaniu postępuje najzupełniej logicznie.

— Sądzi pan zatem, że Ginevra mogłaby zabić matkę?

— Tak. Wątpię jednak, czy zasól) wiadomości pozwoliłyby jej na wykonanie planu tak, jak został wykonany. Przebiegłość chorych na tego rodzaju chorobę bywa zazwyczaj bardzo naiwna i łatwo widoczna. Jestem prawie pewien, że Ginevra wybrałaby zupełnie inną technikę.

— Ale niewykluczone, że tak mogło być? — zauważył Poirot.

— Tak — przyznał Francuz.

— A później, kiedy morderstwo popełniono?... Myśli pan, że reszta rodziny wiedziała, kto jest mordercą?

— Oni wiedzieli i wiedzą! — zawołał nieoczekiwanie pułkownik. — Coś ukrywają! Wszyscy! To pewne!

— Chciałbym wiedzieć, co mają do powiedzenia — zabrał głos mały Belg. — To się załatwi.

— Formalne przesłuchanie? — zaniepokoił się Anglik.

— Nie, zwyczajne rozmowy — wyjaśnił Poirot. — Ogólnie biorąc, proszę panów, ludzie mówią prawdę. Prawda jest łatwiejsza niż kłamstwo, nie wymaga pomysłowości. Można skłamać raz, dwa, trzy, cztery razy, ale nie od początku do końca. No, i w ostatecznym rezultacie prawda na wierzch wypływa.

— W tym coś jest! — przyznał gospodarz. — Wspomniał pan, że chciałby pan wiedzieć, co mają do powiedzenia. To znaczy, że poprowadzi pan sprawę?

— Tak, ale umówmy się wyraźnie. Pan żąda, abym wykrył prawdę, a ja podejmuję się to zrobić. Ale proszę pamiętać, że prawda to jeszcze nie dowód, który wystarczyłby sądowi. Rozumie pan, pułkowniku?

— Doskonale! Pan dostarczy prawdę, a do mnie będzie należała decyzja, czy podjąć dalsze kroki, pamiętając o bardzo możliwych w tym przypadku komplikacjach międzynarodowych. Ale tak czy inaczej historia zostanie wyjaśniona. Nie będzie bałaganu!

Mały Bieg uśmiechnął się pod wąsem.

— I jeszcze jedno — podjął Carbury. — Nie dam panu wiele czasu. Nie mogę w nieskończoność trzymać tych ludzi w Ammanie.

— Może ich pan zatrzymać na dwadzieścia cztery godziny — odparł chłodno detektyw. — Prawdę będzie pan znał jutro wieczorem.

Pułkownik zmierzył go bystrym spojrzeniem.

— Jest pan pewien?

— Znam własne możliwości — odpowiedział Poirot niemal szeptem.

Carbury, zbity z tropu tak bardzo niebrytyjską chępliwością, podkreślił wąsa.

— Ha! Pańska sprawa — zakończył rozmowę.

ROZDZIAŁ XIII

Sara King przyjrzała się bacznie detektywowi. Oszacowała wzrokiem głowę jajowatego kształtu, olbrzymie wąsy, powierzchowność dandysa t mocno podejrzaną czerń włosów. Jej oczy przybrały wyraz powątpiewania.

— I co, *mademoiselle*? Spodobałem się pani? Zarumieniła się pod ironicznym spojrzeniem małego

Belga.

— Bardzo przepraszam — bąknęła niezręcznie.

— Nie ma za co. Ale, trzeba przyznać, przeprowadziła pani drobiazgowo oględziny.

— Mógłby pan odwzajemnić się mi tym samym — uśmiechnęła się blade.

— Oczywiście. I nie omieszkałem tak postąpić.

Spojrzała na niego bystro. Coś w tonie ostatniego zdania... Ale Poirot pieszczotliwie gładził wąsy, więc pomyślała (już po raz drugi): „To błazen!” Odzyskała nieco pewności siebie i wyprostowawszy się na krześle, powiedziała:

— Nie bardzo rozumiem cel naszej rozmowy.

— Nie wyjaśnił pani tego zacny doktor Gerard?

— Nie rozumiem też doktora Gerarda. Myśli, jak mi się zdaje, że...

— Że coś się psuje w państwie duńskim — podchwycił Poirot. — Widzi pani, że wasz Szekspir nie jest mi obcy.

Sara zlekceważyła Szekspira.

— O co właściwie chodzi? — zapytała.

— O co chodzi? Chciałbym, proszę pani, wydobyć prawdę z tej sprawy.

— Mówi pan o śmierci pani Boynton?

— Tak.

— Czy to nie sztuka dla sztuki? Pan jest specjalistą. Oczywiście. Rzecz zrozumiała...

— Rzecz zrozumiała — dokończył za nią zdanie — że podejrzewam zbrodnię wszędzie, gdzie istnieje po temu bodaj błahy pretekst. To pani miała na myśli?

— Coś w tym sensie.

— Śmierć pani Boynton nie budzi pani wątpliwości? Wzruszyła ramionami.

— Doprawdy, proszę pana! Gdyby pan był w Petrze, zdawałby pan sobie sprawę, że to podróż uciążliwa dla osoby w podeszłym wieku i chorej na serce.

— Wiec wszystko wydaje się pani proste?

— Naturalnie. Nie potrafię zrozumieć stanowiska doktora. Nic nie widział. Miał atak malarii. Uznaję wyższość jego wiedzy medycznej. To jasne. Ale w danym przypadku nie widzę żadnych podstaw do wszczęcia śledztwa. Zapewne władze policyjne mogą zażądać przeprowadzenia sekcji zwłok w Jerozolimie, jeżeli zechcą... Jeżeli nie zadowala ich moja opinia.

Poirot umilkł na moment.

— Pewien fakt — podjął — jest pani jeszcze nie znany. Doktor Gerard nie wspomniał pani o nim.

— Jaki fakt?

— Z jego apteczki podróżnej zginęła spora dawka digitoxyny.

— Oo!... — Panna King w lot zrozumiała w czym rzecz i szybko zaatakowała jedyny słaby punkt: — Czy doktor Gerard jest absolutnie pewien?

Mały Belg wzruszył ramionami.

— Niewątpliwie wiadomo pani, że lekarz jest zazwyczaj ostrożny w formułowaniu zeznań.

— Oczywiście. To nie wymaga komentarzy. Ale doktor Gerard miał wtedy atak malarii.

— Naturalnie. Miał atak malarii.

— Czy potrafi określić, kiedy digitoxyna zginęła?

— Wieczorem, po przybyciu do Petry, przeglądał swoją apteczkę. Bolała go głowa, więc sięgnął po fenacetynę. Następnego dnia rano włożył fiolkę na miejsce i zamknął apteczkę. Jest prawie pewien, że wszystko było wtedy na miejscu.

— Prawie pewien!

— Ma wątpliwości. To zrozumiałe. Wątpliwości, jakie musi w takich przypadkach żywić każdy uczciwy człowiek.

— Rozumiem. Ludzie nazbyt pewni swego nie budzą zaufania — zgodziła się. — Ale to nie jest niezbity dowód. Wydaje mi się...

— Wydaje się pani, że moje dochodzenie jest zbyteczne — Poirot jeszcze raz dokończył za nią zdanie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Otwarcie mówiąc, tak! Nie sądzi pan, że to szukanie wiatru w polu?

— Aha... Rodzina przeżyła wstrząs, tryb ich życia został zakłócony, a ten Poirot z własnej ciekawości chce się zabawić w śledztwo? To pani ma na myśli.

— Nie chciałabym być nieuprzejma, lecz jest pan bliski prawdy.

— To znaczy, *mademoiselle*, że stoi pani po stronie Boyntonów?

— Zapewne. Ci ludzie dosyć już wycierpieli. Nie należy dręczyć ich więcej.

— A mamusia była despotyczna, nieprzyjemna, uciążliwa? Martwa jest lepsza niż żywa, prawda?

— Skoro pan tak to sformułował... — urwała, zarumieniła się lekko. — Takich czynników nie wolno brać pod uwagę.

— Ale bierze sieje czasami. To znaczy: pani je bierze, ja nie. Mnie wszystko jedno! Ofiara może być świętym pańskim albo wcieleniem wszelkich nieprawości. Fakt pozostaje faktem. Człowieka pozbawiono życia. Zawsze powtarzam, że nie pochwalam morderstwa.

— Morderstwa! — podchwyciła Sara zdławionym głosem. — Gdzie na to dowód? Ledwie znikoma poszlaka! Sam doktor Gerard nie może być pewien swego!

— Istnieje jeszcze jedna poszlaka, *mademoiselle*! — powiedział Poirot spokojnie.

— Jaka?

— Ślad po zastrzyku na rękę ofiary. I jeszcze jedno: słowa, które podsłuchałem w Jerozolimie pewnej pogodnej nocy, kiedy zamykałem okno swojego pokoju w hotelu. Chce pani wiedzieć, jakie to były słowa? Raymond Boynton powiedział: „Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić” — zakończył Poirot i zauważył, że krew odpływa z twarzy panny King.

— Słyszał pan to? — zapytała.

— Tak.

Przez chwilę tępo patrzyła przed siebie, nim się znów odezwała:

— Akurat pan?

— Akurat ja. Zdarzają się takie rzeczy. Rozumie pani teraz, dlaczego sądzę, że dochodzenie jest wskazane.

— Tak. Ma pan słuszność — przyznała spokojnie i rzeczowo.

— I pomoże mi pani?

— Oczywiście.

— Dziękuję, *mademoiselle* — podjął z ukłonem. — Poproszę teraz, by zechciała pani opowiedzieć własnymi słowami o wydarzeniach tamtego dnia.

Milczała przez chwilę.

— Zaraz... Niech się zastanowię. Z rana byłam na wycieczce, w której nie brał udziału nikt z Boyntonów. Zobaczyłam ich dopiero podczas drugiego śniadania. Pani Boynton była w niezwykle dobrym humorze.

— O ile mi wiadomo, nie należała do osób pogodnych i przystępnych?

— Daleko jej było do tego! — Sara skrzywiła się z niesmakiem, następnie zaś odpowiedziała, w jaki sposób starsza pani zwolniła rodzinę z obowiązków.

— To też było niezwykle, prawda?

— Ma się rozumieć. Stale trzymała dzieci przy sobie.

— Sądzi pani, że zrobiło się jej przykro?... Że może miała przebłysk dobrego humoru?

— Nic podobnego! — zaprzeczyła zdecydowanie.

— Co pani wtedy pomyślała?

— Byłam zaskoczona. Podejrzewałam, że bawi się nimi jak kot myszką.

— Proszę to bliżej wyjaśnić, *mademoiselle*.

— Kot, widzi pan, rad puszcza mysz, by złowić ją znowu. Pani Boynton postępowała podobnie. Podejrzewałam wtedy, że wpadła na jakiś nowy szatański pomysł.

— Co działo się dalej?

— Boyntonowie wyszli z obozu...

— Wszyscy?

— Nie. Najmłodsza, Ginevra, została. Matka kazała jej pójść spać.

— Chętnie to zrobiła?

— Nie. Ale nie miała wyboru. Reszta rodziny wyszła z obozu, a doktor i ja pośpieszyliśmy...

— O której godzinie? — podchwycił Poirot.

— Koło pół do czwartej.

— Gdzie była wtedy pani Boynton?

— Nadine... synowa usadowiła ją w fotelu przed wejściem do grotty.

— Proszę mówić. Słucham.

— Za zakrętem parowu doktor Gerard i ja dogoniliśmy tamtych. Dalej szliśmy razem. Wkrótce doktor wrócił. Wyglądał bardzo dziwnie. Od razu było widać, że ma wysoką temperaturę. Zaproponowałam, że będę mu towarzyszyć, ale odmówił stanowczo.

— Która była wtedy godzina?

— Czy ja wiem? Chyba dochodziła czwarta.

— A reszta towarzystwa?

— Poszliśmy trochę dalej.

— Wszyscy razem?

— Z początku tak, ale rozdzieliliśmy się później — odparła Sara i ciągnęła szybko, jak gdyby z góry przewidywała kolejne pytanie: — Nadine Boynton i pan Cope poszli jedną ścieżką, drugą Carol, Lennox, Raymond i ja.

— Tak było przez cały czas?

— Nie... Raymond i ja odłączyliśmy się wkrótce. Usiedliśmy na głazie, by podziwiać piękno dzikiego krajobrazu. Później on odszedł, a ja przez chwilę zostałam na miejscu. O pół do szóstej spojrzałam na zegarek i zorientowałam się, że pora wracać. W obozie byłam o szóstej.

— Przechodziła pani niedaleko pani Boynton?

— Tak. Zauważyłam, że nadal siedzi w fotelu.

— Nie zdziwiła się pani, że siedzi bez ruchu?

— Nie. Tak samo siedziała poprzedniego wieczora.

— Rozumiem i słucham dalej.

— Zajrzałam pod markizę, gdzie byli już wszyscy prócz doktora Gerarda. Poszłam do swojego namiotu, aby się umyć, i wróciłam wkrótce. Podawano właśnie obiad i jeden ze służących wyszedł poprosić do stołu panią Boynton. Wrócił szybko i powiedział, że starsza pani jest chora. Pośpieszyłam za nim na miejsce. Nadal siedziała w fotelu, ale wystarczyło jej dotknąć, by stwierdzić, że nie żyje.

— Nie podejrzewała pani wtedy, że nie zmarła śmiercią naturalną?

— Absolutnie. Słyszałam nieraz, że cierpi na dolegliwości sercowe, których nikt nigdy nie określił bliżej w mojej obecności.

— Sądziła pani, że umarła, siedząc w fotelu?

— Tak!

— I nie wzywała pomocy?

— Nie. To się nieraz zdarza. Mogła nawet zdrzemnąć się i umrzeć we śnie. Zresztą w obozie spali wszyscy prawie całe popołudnie. Nikt nie usłyszałby jej nawet, gdyby wołała o pomoc.

— Czy ustaliła pani, jak dawno śmierć mogła nastąpić?

— Niewiele zastanawiałam się nad tym. Nie miałam jednak wątpliwości, że pani Boynton nie żyje od jakiegoś czasu.

— Co to znaczy „od jakiegoś czasu”?

— Powiedzmy od godziny. Ale zgon mógł nastąpić znacznie wcześniej. Nagrzane skały przeciwdziałały szybkiemu stygnięciu ciała.

— Sądziła pani wtedy, że śmierć nastąpiła przed godziną lub wcześniej? A czy wiadomo pani, że pan Raymond Boynton rozmawiał z matką krótko przed szóstą i że, ma się rozumieć, była wówczas żywa?

Sara King odwróciła wzrok, lecz zaprzeczyła stanowczym ruchem głowy.

— Myli się niewątpliwie. To musiało być znacznie wcześniej.

— Nie, *mademoiselle*. On się nie myli.

Sara spojrzała znowu prosto w oczy detektywa, który zwrócił uwagę na dziwnie stanowczy wyraz jej ust.

— Jestem młodą lekarką — powiedziała — i nie mam dużego doświadczenia w kwestii badania zwłok. Ale wiem tyle, ile trzeba, by stwierdzić z całą pewnością, że w chwili, kiedy badałam ciało, pani Boynton nie żyła co najmniej od godziny.

— I przy takim zeznaniu będzie pani obstawać! — zawołał Herkules Poirot.

— Bo to prawda — zapewniła go raz jeszcze Sara.

— Czy w takim razie potrafi pani wytłumaczyć, czemu pan Boynton mówi, że jego matka żyła, skoro naprawdę była martwa?

— Nie mam pojęcia. Wszyscy Boyntonowie są wyczerpani nerwowo. Być może ściśle określenie czasu jest dla nich trudne.

— Czy miała pani dużo okazji, aby rozmawiać z nimi? Umilkła na chwilę. Z namysłem zmarszczyła czoło.

— Te okazje mogę dokładnie wyliczyć — podjęła. — Po drodze do Jerozolimy rozmawiałam z Raymondem w korytarzu wagonu sypialnego. Odbyłam dwie rozmowy z Carol: jedną na dziedzińcu meczetu Omara, drugą późnym wieczorem w moim pokoju. Następnego ranka zamieniłam też kilka słów z panią Nadine Boynton. Tak było aż do popołudnia spędzonego w Petrze, kiedy pani Boynton została w obozie, a my poszliśmy na spacer.

— A z samą panią Boynton nie rozmawiała pani? Zarumieniła się wstydliwie.

— Tak... Rozmawiałam z nią przez chwilę, tuż przed jej odjazdem *z Jerozolimy. — Urwała, by dodać niepewnie: — I strasznie się wtedy wygłupiłam.

— Czyżby?

Sara nie miała wątpliwości, że jest przesłuchiwana, więc nieporadnie, sucho zdała relację z rozmowy w hotelowym holu. Poirot był żywo zainteresowany. Nie szczędził uzupełniających pytań.

— Mentalność pani Boynton ma w tej sprawie pierwszorzędną wagę — wyjaśnił. — Pani jest osobą postronną, obiektywnym obserwatorem. Dlatego pani opinie o nieboszczce są dla nas bardzo istotne.

Sara nie odpowiedziała. Na wspomnienie tamtej rozmowy poczuła się znów głupio i nieswojo.

— Dziękuję, *mademoiselle* — powiedział detektyw. — Teraz spróbuję porozmawiać z innymi świadkami.

Sara podniosła się z krzesła.

— Wybacz pan, ale pozwoliłabym sobie na pewną sugestię...

— Oczywiście... Słucham?

— Może lepiej byłoby odłożyć wszystko do czasu, kiedy po sekcji zwłok dowie się pan, czy podejrzenia mają jakąś podstawę.

Mały Belg uniósł dłoń.

— Hercules Poirot ma swoje metody! — oznajmił. Panna King przygryzła wargi i wyszła szybko.

ROZDZIAŁ XIV

Lady Westholme wpłynęła do pokoju majestatycznie — niby okręt liniowy zawijający do basenu portowego.

Panna Amabel Pierce — jednostka nieporównanie niższej klasyfikacji — wsunęła się śladem pancernika i zajęła krzesło na dalszym planie.

— Oczywiście, panie Poirot! — zagrzmiała postawna dama. — Z całą przyjemnością pomogę panu, ile tylko zdołam. Zawsze byłam zdania, że w podobnych sprawach obowiązek obywatelski nakazuje...

Obowiązek obywatelski lady Westholme opuścił scenę po paru minutach, gdy Poirot zdołał zreć z trącić pytanie.

— Tak! — padła odpowiedź. — Najdokładniej pamiętam tamto popołudnie. Panna Pierce i ja chętnie będziemy służyć panu pomocą.

— O, tak! — westchnęła panna Pierce bliska ekstazy. — Taka tragedia!... Śmierć w mgnieniu oka!

— Zechce pani, *madame*, streścić przebieg wydarzeń — zwrócił się mały Belg do lady Westholme.

— Oczywiście! Po drugim śniadaniu zdecydowałam się na krótką sjęstę. Poranna wycieczka była trochę uciążliwa. Nie znaczy to, że odczuwałam zmęczenie. Rzadko je odczuwam, a nie poddaję się nigdy! Ktoś, kto bierze czynny udział w życiu politycznym, ma obowiązek, bez względu na stan...

Słówko rzucone w porę przyszło znów z pomocą detektywowi.

— Jak już wspomniałam — podjęła lady Westholme — opowiedziałam się za sjęstą. Panna Pierce podzieliła moje zdanie.

— O, tak! — westchnęła panna Pierce. — Przedpołudniowa wycieczka znużyła mnie potwornie. Niebezpieczna wspinaczka, bardzo niebezpieczna! Niezmiernie to ciekawe, ale wyczerpujące... Niestety, nie jestem tak silna, jak lady Westholme.

— A więc po drugim śniadaniu poszły panie do swoich namiotów? — wtrącił znów mały Belg.

— Tak.

— Pani Boynton siedziała wtedy u wejścia do groty, którą zajmowała?

— Tak. Synowa usadowiła ją tam, zanim wybrała się na spacer.

— Obie panie ją widziały?

— Tak! — zdążyła wtrącić panna Pierce. — Miałyśmy ją dokładnie naprzeciwko nas, tylko, ma się rozumieć, trochę w bok i znacznie wyżej.

Lady Westholme sprecyzowała to określenie:

— Groty mają wyjścia wiodące na półkę skalną. Poniżej stoi kilka namiotów nad korytem potoku, a za nim, jeszcze niżej, jest markiza i inne namioty. Panna Pierce i ja zajmowałyśmy namioty obok markizy: ona po prawej stronie, ja po lewej. Wejścia do namiotów są zwrócone w kierunku j półki skalnej, ale to dosyć daleko.

— Podobno prawie dwieście jardów — rzucił mały Belg. [

— Być może.

— Mam tu plan, który naszkicowałem przy pomocy dragomana Mahmuda.

Lady Westholme zaopiniowała, iż ów plan jest na pewno niedokładny.

— Ten człowiek — ciągnęła — jest wyjątkowo nieakuratny. Konfrontowałam jego informacje z Baedekerem i kilkanaście razy stwierdziłam, że są absolutnie błędne.

— Według mojego szkicu — podjął detektyw — grootę sąsiadującą z grocią pani Boynton zajmował jej syn Lennox z żoną. Raymond, Carol i Ginevra mieszkali w namiotach stojących niżej i nieco w prawą stronę, prawie na wprost markizy. Namiot położony na prawo od

namiotu Ginevry zajmował doktor Gerard. W sąsiednim ulokowano Sarę King. W lewo od markizy były namioty pani, *madame*, i pana Cope'a. Panna Pierce, jak wspomniała pani, dostała namiot na prawo od markizy. Czy to się zgadza?

Lady Westholme odburknęła niechętnie, że zgadza się, o ile jej wiadomo.

— Dziękuję. Wszystko jest zupełnie jasne. Słucham dalej, *madame*?

Uśmiechnęła się łaskawie.

— Mniej więcej kwadrans do czwartej wstąpiłam do panny Pierce, aby sprawdzić, czy nie śpi i ma ochotę na mały spacer. Siedziała u wejścia do namiotu zajęta lekturą. Uzgodniłyśmy, że na przechadzkę wybierzemy się za pół godziny, kiedy słońce będzie mniej palić. Wróciłam do siebie i czytałam przez jakieś dwadzieścia pięć minut. Następnie poszłam znowu do panny Pierce, która już była gotowa, więc wyruszyłyśmy zaraz. Wyglądało na to, że cały obóz śpi, bo nikogo nie było widać. Kiedy przechodziłyśmy w pobliżu pani Boynton, zaproponowałam, aby zapytać, czy możemy jej w czymś pomóc.

— Tak, takt Zaproponowała pani. Pomyślałam wtedy, że pani taka dbała o ludzi! — zaszemrała panna Pierce.

— Poczytywałam to za swój obowiązek — oznajmiła postawna dama.

— A ona potraktowała nas po grubiańsku! — zawołała panna Pierce.

Mały Belg spojrział na nią pytająco, lecz z wyjaśnieniem pośpieszyła lady Westholme.

— Nasza ścieżka prowadzi tuż pod półką skalną. Głośno zwróciłam się do pani Boynton, mówiąc, że idziemy na spacer. Zapytałam też, czy mogłybyśmy jej w czymś pomóc. I wie pan co? Odpowiedziała tylko niechętnym pomrukiem! A spojrzała na nas tak... tak jak na śmiecie!

— Obrzydliwie się zachowała! — krzyknęła panna Pierce i oblała się rumieńcem.

— Muszę przyznać — podjęła postawna dama — że rzuci— wtedy raczej nieestosowną uwagę.

— Jaką, *madame*? — zapytał Poirot.

— Powiedziałałam pannie Pierce, że baba jest pewno pijana. Jej zachowanie było naprawdę dziwne! Prawdę mówiąc, od początku była jakaś dziwna, więc przyszło mi na myśl, że mogą to być skutki nadużywania alkoholu, który...

Mały Belg zręcznie skierował rozmowę na inny temat:

— Czy tamtego dnia — wtrącił szybko — zachowanie pani Boynton odbiegało od normalnego? Na przykład podczas drugiego śniadania?

— Nie... Nie sądzę — odparła lady Westholme po zastanowieniu. — Pani Boynton zachowywała się w sposób naturalny... Jak na Amerykankę jej pozycji towarzyskiej, aby wyrazić się ściśle.

— Bardzo grubiańsko potraktowała służącego — dorzuciła panna Pierce.

— O, tak! Teraz sobie przypominam — podchwyciła lady Westholme. — Służący strasznie czymś ją zirytował. Oczywiście służba, która nie mówi słowa po angielsku, musi być irytująca, ale w podróży należy wiele tolerować.

— O jakim służącym panie mówią? — zapytał detektyw.

— O Beduinie z obozowej służby, który wspinał się na półkę skalną i podszedł do tej kobiety. Pewno posłała go po coś, a on przyniósł nie to, co trzeba. Nie znam szczegółów, ale pani Boynton była bardzo zła. Biedak uciekał co tchu, a ona wygrażała mu laską i coś wykrzykiwała.

— Co?

— Byłyśmy za daleko, żeby słyszeć. W każdym razie ja nic nie zrozumiałam. A pani? — zwróciła się do panny Pierce.

— Ja również. Myślę, że posłała go po coś do namiotu młodszej córki... Bo ja wiem? Może rozgniewała się, że w ogóle wchodził do tamtego namiotu. Trudno odgadnąć.

— Jak ten służący wyglądał?

Panna Pierce bezradnie rozpostarła ręce.

— Doprawdy nie potrafiłabym go opisać... Był daleko, a dla mnie wszyscy Beduini wyglądają tak samo.

— To mężczyzna więcej niż średniego wzrostu — podchwyciła lady Westholme. — Na głowie nosił szal, jak oni wszyscy. Był ubrany w spodnie do konnej jazdy, podarte i w wielu miejscach łatane... Coś obrzydliwego! A niedbale okrecone owijacze opadały mu na łydkach.

— Poznałaby pani tego człowieka?

— Wątpię. Nie widziałyśmy twarzy. Był zbyt daleko. A panna Pierce powiada, że wszyscy Beduini są do siebie podobni.

— Ciekawe... Bardzo ciekawe — zauważył Poirot tonem zastanowienia — czym mógł tak zirytować panią Boynton?

— Ci ludzie są na ogół irytujący — podjęła lady Westholme. — Jeden wziął moje trzewiki do wyczyszczenia, chociaż powiedziałam mu wyraźnie... Ma się rozumieć na migi! Powiedziałam, że zawsze robię to sama.

Tym razem udało jej się odwieść od tematu małego Belga.

— Ja również! — zawołał. — Wszędzie wożę ze sobą przybory do czyszczenia obuwia! No cóż... — zreflektował się nagle. — Od tego człowieka dowiemy się łatwo, czym naraził się pani Boynton. Zechce pani mówić dalej...

— Powoli szłyśmy ścieżką i wkrótce spotkałyśmy doktora Gerarda. Chwiał się na nogach. Sprawiał wrażenie ciężko chorego. Zorientowałam się zaraz, że ma gorączkę.

— Cały dygotał — uzupełniła relację panna Pierce.

— Byłam pewna, że nadchodzi atak malarii — ciągnęła postawna dama. — Zaproponowałam, że z nim wrócę i dam mu chininę. Ale powiedział, że ma własny zapas leków.

— Biedaczek! — westchnęła panna Pierce. — Widok chorego lekarza zawsze napawa mnie przerażeniem.

— Poszłyśmy trochę dalej i usiadłyśmy na głazie...

— Strasznie byłam zmęczona — zaszczebotała znowu panna Pierce — po przedpołudniowej wyprawie... Taka uciążliwa droga!

— Ja nie wiem, co to zmęczenie — podchwyciła lady Westholme — ale nie było po co iść dalej. Z tamtego miejsca miałyśmy doskonały widok...

— Widziały panie obóz? — wtrącił detektyw.

— Tak. Obóz miałyśmy prosto przed sobą.

— Romantyczny obraz! — zaszemrała panna Pierce. — Obóz tkwiący pośrodku pustkowiecia okolonego purpurowymi urwiskami!

— Ten obóz mógłby być znacznie sprawniej prowadzony — odeszła od tematu lady Westholme. — Już ja poruszę tę sprawę w agencji turystycznej! Wcale nie jestem pewna, czy wodę do picia filtruje się i podaje przegotowaną. O tym trzeba pomówić.

Poirot zdławił w zarodku kwestię wody do picia.

— Spotkały panie kogoś z turystów? — zapytał szybko.

— Tak. Starszy pan Boynton i jego żona minęli nas, kiedy wracali do obozu.

— Razem?

— Nie. Pierwszy szedł pan Boynton. Wyglądał tak, jak gdyby doznał lekkiego porażenia słonecznego. Szedł niepewnie. Nawet się trochę zataczał.

— Co robił po powrocie do obozu?

Tym razem panna Pierce zdołała wyprzedzić lady Westholme:

— Zaraz podszedł do matki, ale został przy niej króciutko.

— Ile czasu?

— Minutę, może dwie.

— Powiedziałyby, nieco dłużej niż minutę — podchwyciła lady Westholme. — Później wrócił do swojej groty i zaraz wszedł pod markizę.

— A jego żona?

— Minęła nas mniej więcej kwadrans później. Przystanąła i zwróciła się do mnie nad wyraz uprzejmie.

— To bardzo przyjemna osoba — wtrąciła panna Pierce.

— Nie jest aż tak nieznośna, jak reszta rodziny — sprecyzowała opinię lady Westholme.

— Obserwowały panie jej powrót do obozu?

— Tak. Podeszła do pani Boynton, a po chwili przyniosła krzesło ze swojej groty i usiadła przy świeczce. Rozmawiały przez jakieś dziesięć minut.

— A potem?

— Potem odniosła krzesło z powrotem i zeszła pod markizę, gdzie był jej mąż.

— Co działo się dalej?

— Nadszedł ten bardzo dziwny Amerykanin, Cope, jeżeli właściwie zapamiętałam nazwisko. Powiedział, że tuż za zakrętem jest bardzo ciekawy relikw architekturze typowej dla Petry, który warto zobaczyć. Wobec tego poszliśmy za zakręt.

— Bardzo to było interesujące! — zawtórowała znowu panna Pierce.

— Do obozu wróciłyśmy jakieś za dwadzieścia szóstą — ciągnęła postawna dama.

— Pani Boynton siedziała nadal tam, gdzie ją panie ostatni raz widziały?

— Tak.

— Rozmawiały z nią panie?

— Nie. Prawdę mówiąc, ledwie na nią spojrzałam.

— A później?

— Weszłam do namiotu, żeby zmienić obuwie i wziąć chińską herbatę, którą stale pijam. Pod markizą zastałam przewodnika i poleciłam mu naparzyć herbatę dla mnie i panny Pierce i dopilnować, by woda była wrząca. Powiedział, że obiad podadzą za pół godziny i służba nakrywa już do stołu, a ja na to, że herbatę i tak wypijemy.

— Był ktoś więcej pod markizą?

— Naturalnie! Pan Lennox Boynton z żoną i jego siostra Carol. Czytali w odległym kącie.

— A pan Cope?

— Pił z nami herbatę — pośpieszyła z odpowiedzią panna Pierce. — Ale mówił, że popołudniowa herbata nie jest zwyczajem amerykańskim.

Lady Westholme zakasłała.

— Obawiałam się trochę, że pan Cope będzie uciążliwy i, jak to się mówi, przyczepi się do mnie. Często podczas moich podróży miewam trudności z trzymaniem ludzi na dystans. Niektórzy potrafią być natrętni. Zwłaszcza Amerykanie.

— Jestem przekonany, *madame* — podchwycił Poirot — że pani potrafi sprostać każdej sytuacji.

— Przeważnie radzę sobie jakoś — uśmiechnęła się dama, która nie dostrzegła figlarnego błysku w oczach detektywa.

— Zechce pani dokończyć opowieści o wydarzeniach tamtego dnia?

— Oczywiście. O ile sobie przypominam, Raymond Boynton i ta ruda dziewczyna nadeszli rychło po mnie. Zjawiła się też panna King. Obiad był gotów. Dragoman wyprawił służącego po panią Boynton. Wkrótce służący przybiegł z drugim Beduinem. Był bardzo poruszony i zaczął coś mówić do dragomana po arabsku. Ktoś powiedział, że pani Boynton zasłabła i panna King zaoferowała swoje usługi. Wyszła z dragomanem, aby niebawem wrócić i zawiadomić Boyntonów o nieszczęściu.

— Jak przyjęli wiadomość?

Po raz pierwszy zdawać się mogło, że obie panie są nieco zbite z tropu. Dopiero po chwili lady Westholme odpowiedziała głosem mniej pewnym niż dotychczas:

— Jak przyjęli wiadomość... Czy ja wiem?... Chyba bardzo spokojnie.

— Oszłomiła ich — dodała jej satelitka w formie raczej domysłu niż stwierdzenia faktu.

— Wszyscy wyszli za panną King — podjęła lady Westholme — a panna Pierce i ja przezornie zostałyśmy na miejscu. — (W oczach panny Pierce pojawił się wyraz lekkiego rozczarowania.) — Nienawidzę wulgarnego wścibstwa!

Rozczarowanie malujące się w oczach panny Pierce stawało się coraz to bardziej widoczne.

— Wkrótce — ciągnęła postawna dama — wrócili panna King i dragoman. Doradziłam, aby nam podano niezwłocznie obiad, gdyż w ten sposób Boyntonowie, którzy zjedzą później, unikną krepującego towarzystwa ludzi obcych. Propozycję moją przyjęto, a ja zaraz po posiłku udałam się do swojego namiotu. Tak samo postąpiły panna King i panna Pierce. Pan Cope, o ile sobie przypominam, został pod markizą. To przyjaciel Boyntonów. Myślał zapewne, że może być im w czymś pomocny. To wszystko, proszę pana, co mi wiadomo.

— Panna King zawiadomiła rodzinę o katastrofie. Czy wszyscy Boyntonowie wyszli wtedy spod markizy?

— Tak... Nie! Teraz, kiedy pan podniósł tę kwestię, wydaje mi się, że na miejscu została ta ruda dziewczyna. Nie pamięta pani? — zwróciła się do panny Pierce.

— Tak... Chyba jestem prawie pewna, że została.

— I co robiła? — zapytał Poirot. Lady Westholme spojrzała nań tępo.

— Co robiła?... Nic, o ile sobie przypominam.

— Może szyla... czytała... zdradzała zaniepokojenie?... Czy nic nie powiedziała?

— Czy ja wiem?... — Z namysłem zmarszczyła czoło. — Nie! Jestem prawie pewna, że po prostu siedziała.

— I wyłamywała palce! — podchwyciła nagle panna Pierce. — Pamiętam, bo pomyślałam wtedy: „Biedulka, bardzo to przeżyła”. Nie, rozumie pan, żeby jej twarz coś wyrażała! Nic podobnego. Tylko spletała i wyłamywała palce. Przypominam sobie — ciągnęła narracyjnym tonem — że kiedyś w podobny sposób podarłam banknot jednofuntowy. Nic a nic nie wiedziałam wtedy, co robię. Medytowałam: „Jechać czy nie jechać pierwszym pociągiem, jaki złapie?” Bo, proszę państwa, dostałam właśnie wiadomość, że moja cioteczna babcia ciężko zachorowała. Nie mogłam się zdecydować. A potem spojrzałam na swoje dłonie i zobaczyłam, że zamiast telegramu podarłam na kawałki banknot jednofuntowy.

Lady Westholme, niezadowolona widocznie z popisowego numeru swojej satelitki, zwróciła się do małego Belga:

— Czym więcej mogłybyśmy panu służyć?

Poirot drgnął, jakby wyrwała go z głębokiej zadumy.

— To chyba wszystko... Tak. Wydarzenia opisała pani przejrzyście i wyczerpująco.

— Mam niezawodną pamięć — rzekła skromnie.

— Aha... Jeszcze jeden drobiazg! Proszę, *madame*, siedzieć bez ruchu i nie rozglądać się dokoła. Czy zechciałaby pani powiedzieć dokładnie, co panna Pierce ma w tej chwili na sobie?... Jeżeli, oczywiście, panna Pierce nie zgłosi sprzeciwu.

— Nie. Skąd znowu — zaszczebotała radośnie zagadnięta.

— Doprawdy, proszę pana, czy jakiś cel...

— Będzie pani łaskawa zastosować się do mojej prośby. Postawna dama wzruszyła ramionami i zaczęła recytować urażonym tonem:

— Panna Pierce ma na sobie kretonową suknię w brązowe i białe paski, ściśniętą w talii sudańskim paskiem z czerwonej, beżowej i niebieskiej skórki. Na nogach ma jedwabne pończochy beż (w lewej poleciało oczko) i wyglansowane sandały z brązowej skóry. Nosi dwa naszyjniki: jeden z jasnoszafirowych szklanych paciorków, drugi z krwawników. Ma też broszkę w kształcie motyla z masy perłowej i na środkowym palcu prawej dłoni pierścionek z

imitacją skarabeusza. Na głowie nosi kapelusz z różowego i brązowego filcu. — Zrobiła krótką pauzę i zapytała chłodno: — Może coś pominęłam?

— Nic, *madame!* — Herkules Poirot podniósł ręce wymownym gestem. — Wyrazy podziwu i uznania dla pani talentu obserwacyjnego!

— Rzadko umykają mi szczegóły.

Lady Westholme wstała i skłoniwszy się sztywno, opuściła pokój. Panna Pierce spojrzała z niesmakiem na swoją lewą łydkę i też zaczęła się podnosić, lecz Poirot odezwał się żywo:

— Momencik, *mademoiselle*, jeżeli pani łaskawa.

— Czym mogę służyć?

— Widzi pani bukiet kwiatków na tamtym stole?

— Widzę — odpowiedziała nie bez zdziwienia.

— A zauważyła pani, że zaraz po przyjsciu pań kichnąłem parę razy?

— Tak.

— Czy przypomina pani sobie, że te kwiaty wąchałem?

— Bo ja... Nie... Tego sobie nie przypominam.

— Ale pamięta pani, że parę razy kichnąłem?

— O, tak! Naturalnie!

— Chciałem sprawdzić, *mademoiselle*, czy te kwiaty wywołują katar sienny. Zresztą to nieważne.

— Katar sienny! — zawołała panna Pierce. — Jedna moja kuzynka była istną męczennicą kataru siennego. Mówiła zawsze, że codzienne przepłukiwanie nosa roztworem kwasu bornego...

Nie bez trudności Poirot sprowadził pannę Pierce z toru zabiegów laryngologicznych i wyprawił z pokoju. Zamknąwszy za nią drzwi, wrócił na miejsce głęboko zamyślony.

— Ale ja nie kichnąłem — mruknął do siebie. — W tym sęk! Ani razu nie kichnąłem.

ROZDZIAŁ XV

Lennox Boynton wszedł do pokoju pewnym, szybkim krokiem. Gdyby doktor Gerard był obecny, zdziwiłby się zmianie, jaka zaszła w tym młodym człowieku. Zniknęła jego apatia i obecnie był czujny i ożywiony, jakkolwiek bez wątpienia zdenerwowany.

Herkules Poirot wstał i złożył ceremonialny ukłon, na który Lennox odpowiedział dość nieporadnie.

— Dzień dobry panu — rozpoczął detektyw. — Bardzo jestem wdzięczny, że zgodził się pan na rozmowę.

— Pułkownik Carbury mówił, że... tak będzie najlepiej... Zalecał tę rozmowę.

— Zechce pan usiąść — powiedział Poirot i podjął, kiedy Lennox zajął krzesło zwolnione niedawno przez lady Westholme. — Niewątpliwie przeżyli państwo gwałtowny i nagły wstrząs.

— Tak... Oczywiście... Może nie tak nagły, bo od dawna wiedzieliśmy, że matka cierpi na serce.

— Czy w takim razie należałoby pozwolić jej na uciążliwą wyprawę do Petry? Czy to było rozsądne?

— Moja matka sama decydowała zawsze o wszystkim — odparł Boynton z nutą smutnej godności. — Skoro postanowiła coś, na nic nie zdawały się perswazje.

— Tak, tak... — przyznał Poirot. — Panie w pewnym wieku często bywają uparte.

— Pułkownik wspominał o... o pewnych formalnościach — podjął Lennox z rozdrażnieniem. — Czy są konieczne? Jaki jest ich cel?

— Prawdopodobnie nie wie pan, że w przypadku nagiej i niewytłumaczonej śmierci pewne formalności są nieodzowne.

— Czemu tę śmierć nazywa pan „niewytłumaczoną”? Mały Belg wzruszył ramionami.

— Zawsze w podobnych przypadkach nasuwa się pytanie: Czy to zgon naturalny, czy może samobójstwo?

— Samobójstwo? — zdumiał się Lennox.

— Ma się rozumieć — podchwycił swobodnie Poirot — pan wie najlepiej, czy to prawdopodobne. Pułkownik Carbury nie jest zorientowany w sytuacji. A on musi zdecydować, czy nakazać dochodzenie, sekcję zwłok... takie różne formalności. Ponieważ ja jestem na miejscu i mam rozległe doświadczenie w tego rodzaju sprawach, pułkownik poprosił mnie o przeprowadzenie kilku rozmów, po których mógłbym mu udzielić rady, jak należy postąpić. Oczywiście nie chcę stwarzać państwu żadnych trudności, jeżeli da się tego uniknąć.

— Zadepeszę do naszego konsulatu w Jerozolimie — rzucił szorstko Lennox.

— To panu zawsze wolno.

Nastąpiła chwila ciszy. Później Poirot rozłożył ręce bezradnym gestem.

— Jeżeli nie życzy pan sobie odpowiadać na moje pytania...

— Skąd znowu! — przerwał szybko tamten. — Tylko... To wszystko wydaje mi się zbyteczne.

— Rozumiem pana. Ale chodzi jedynie o prostą, jak to się mówi, proceduralną sprawę. O ile mi wiadomo, w dniu śmierci pani Boynton opuścił pan po południu obóz w Petrze, by udać się na spacer. Czy to się zgadza?

— Tak. Wszyscy poszliśmy na spacer... Wszyscy z wyjątkiem mojej matki i młodszej siostry.

— Pani Boynton siedziała u wejścia do swojej groty?

— Tak. Spędziła tam całe popołudnie.

— Wiem. A państwo kiedy wyruszyli?

- Chyba wkrótce po trzeciej.
- O której wrócił pan z przechadzki?
- Trudno mi to określić... Mogła być wtedy czwarta... Może piąta.
- Innymi słowy spacer trwał godzinę lub dwie?
- Coś koło tego... Tak.
- Czy w drodze powrotnej minął pan kogoś?
- Kogoś minąłem?
- Aha... Dwie panie, które siedziały na gładzie?
- Nie przypo... Tak! Widziałem je chyba.
- Był pan zbyt pogrążony w myślach, by zwracać uwagę na drobiazgi?
- Rzeczywiście, proszę pana.
- A po powrocie rozmawiał pan z matką?
- Rozmawiałem.
- Nie mówiła, że źle się czuje?
- Nie. Odniosłem wrażenie, że jest zupełnie zdrowa.
- Wolno zapytać o przebieg rozmowy? Lennox milczał. Następnie podjął:
- Matka powiedziała, że wcześniej wróciłem, a ja przyznałem jej rację. — Znów przerwał.
- Powiedziałem też, że jest bardzo upalnie. Później zapytała o godzinę i dodała, że jej zegarek stanął. Wziąłem od niej zegarek, nastawiłem, nakręciłem i założyłem jej na rękę.
- Która wtedy była? — zapytał detektyw.
- Co?
- Na którą godzinę nastawił pan zegarek pani Boynton?
- Aa... Na czwartą trzydzieści pięć.
- A zatem wie pan dokładnie, o której wrócił pan do obozu? — podjął z całym spokojem Poirot.
- Boynton zarumienił się lekko.
- Naturalnie, proszę pana! Gdzie ja mam głowę? Bardzo przepraszam, ale pogubiłem się jakoś. Jestem rozstrojony. Rozumie pan?
- Rozumiem doskonale! Ma pan powód. Co dalej, proszę pana?
- Zapytałem matkę, czy miałaby ochotę napić się czegoś... kawy... herbaty. Odpowiedziała, że nic jej nie potrzeba, więc poszedłem pod markizę. Nie było tam służby, ale sam znalazłem wodę sodową i ugasiłem pragnienie. Później usiadłem i zacząłem czytać starą gazetę.
- Czy pańska żona przyszła też pod markizę?
- Tak. Wkrótce po mnie.
- A matki nie widział pan więcej przy życiu?
- Nie widziałem.
- Podczas rozmowy z nią nie odniósł pan wrażenia, że jest przygnębiona lub zdenerwowana?
- Nie. Była taka, jak zawsze.
- Nie wspomniała o nieporozumieniu z jakimś służącym?
- Lennox zdziwił się znowu.
- Z jakim służącym? Nie, proszę pana.
- I to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia?
- Tak sędzę.
- Bardzo panu dziękuję.
- Lekko skłonił głowę. Rozmowa była skończona. Jednakże przy drzwiach Lennox zawahał się i przystanął.
- Nie ma pan innych pytań?

— Nie. Może będzie pan łaskaw poprosić małżonkę. Lennox Boynton wyszedł powoli, a gdy zamknął za sobą drzwi, mały Belg skreślił szybko na leżącym przed nim bloku: „L.B. 4.35”.

ROZDZIAŁ XVI

Detektyw spojrział ciekawie na wysoką, pełną godności młodą kobietę, która weszła do pokoju. Podniósł się i uklonił szarmancko.

— Pani Nadine Boynton? Herkules Poirot, do usług. Usiadła, spojrzała prosto w twarz detektywa.

— Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani za złe, iż niepokoję panią w dniach żałoby?

Przyglądała mu się uważnie, śmiała, lecz nie odpowiedziała od razu.

— Sądzę, że najlepiej postąpię, jeżeli będę z panem zupełnie szczerą — zaczęła po chwili.

— Z całą pewnością, proszę pani.

— Wspomniał pan o moich dniach żałoby. Takich dni nie przeżywam i wszelkie udawanie poczytywałabym za bezcelowe. Nie kochałam świekry i otwarcie mówiąc, nie boleję z powodu jej śmierci.

— Dziękuję pani za szczerą i zaufanie.

— Nie myślę udawać żalu, mimo to odczuwam wyrzuty sumienia.

— Wyrzuty sumienia? — powtórzył ze zdziwieniem.

— Tak, proszę pana. Ja za jej śmierć odpowiadam i z tego powodu poczuwam się do winy.

— Mówi pani serio?

— Zupełnie serio. To ja spowodowałam śmierć mojej świekry. Działalam w dobrej wierze, lecz skutki okazały się fatalne. Zabiłam ją.

— Zechce pani wyjaśnić to w sposób bardziej zrozumiały? — Poirot wyprostował się na krześle.

— Oczywiście. — Pochyliła głowę. — Do tego właśnie zmierzam. Początkowo chciałam nie wyjawiać moich osobistych spraw, lecz po zastanowieniu doszłam do wniosku, że lepiej będzie wyznać prawdę. Z pewnością słuchał pan nieraz intymnych zwierzeń?

— Naturalnie, *madame*.

— Więc po prostu i szczerze opowiem panu, co zaszło. Nasze pożycie małżeńskie układało się nie najlepiej. Winy nie przypisuję mężowi, lecz niefortunnym wpływom jego matki. Ale tak czy inaczej od pewnego czasu zdawałam sobie sprawę, że długo nie wytrzymam. — Umilkła na chwilę. — Ostateczną decyzję powzięłam po południu w dzień śmierci mojej świekry. Mam przyjaciela, bardzo bliskiego przyjaciela, który niejednokrotnie nalegał, abym swój los oddała w jego ręce. Tamtego popołudnia przyjąłem jego propozycję.

— Postanowiła pani rozstać się z mężem?

— Tak.

— Słucham dalej, *madame!* Nadine zniżyła nieco głos.

— Kiedy zdobyłam się na decyzję, chciałam niezwłocznie postawić sprawę jasno. Sama wróciłam do obozu. Moja świekra siedziała na dawnym miejscu. W pobliżu nie było nikogo. Postanowiłam zaraz wyznać jej prawdę. Przyniosłam krzesło, usiadłam obok i powiedziałam, co miałam do powiedzenia.

— Była zaskoczona?

— Tak. Wydaje mi się, że doznała nie lada wstrząsu. Była zdziwiona i zła. Bardzo zła, bliska gwałtownego wybuchu! Powiedziałam, że ta kwestia nie podlega dyskusji. Wstałam i odeszłam. — Zająknęła się lekko. — Później nie widziałam jej żywej.

Poirot ze zrozumieniem skinął głową.

— Aha... Pojmuję... Sądzi pani, że wstrząs był przyczyną zgonu?

— Jestem prawie pewna. Uciążliwa podróż do Petry nadszarpnęła siły mojej świekry. Reszty dokonała niespodziewana wiadomość i wzburzenie. Moja wina jest tym większa, że szkoliłam się na pielęgniarkę, a więc lepiej niż ktokolwiek inny powinnam zdawać sobie sprawę, że coś takiego może się zdarzyć.

Detektyw milczał przez dobrą chwilę. Później zapytał:

— Co zrobiła pani po rozstaniu się z panią Boynton? Proszę o wszystkie szczegóły.

— Odniosłam krzesło do groty i zesłam pod markizę, gdzie był mój mąż.

— Czy wtedy zawiadomiła go pani o swoim postanowieniu, czy też był już o nim poinformowany? — zapytał Poirot, obserwując ją bacznie.

Odpowiedziała po ledwie uchwytnym wahaniu:

— Wtedy zawiadomiłam Lennox.

— Jak zareagował?

— Był kompletnie wytrącony z równowagi — odparła szybko.

— Czy nalegał, by pani zmieniła decyzję? Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Niewiele mówił... Widzi pan, od pewnego czasu obydwójce zdawaliśmy sobie sprawę, że coś takiego może nastąpić.

— Wybacz pani niedyskretne pytanie — podjął mały Belg. — Ten przyjaciel to, oczywiście, pan Jefferson Cope?

Przytaknęła skinieniem głowy.

— Oczywiście.

Po dość długiej chwili detektyw zapytał, nie zmieniając tonu:

— Czy pani ma strzykawkę?

— Tak... Nie!

Poirot zrobił zdziwioną minę, więc podjęła spiesznie:

— Mam starą strzykawkę w podróźnej apteczce, która z całym naszym ciężkim bagażem została w Jerozolimie.

— Rozumiem.

Znowu nastąpiła cisza. Później Nadine podjęła z pewnym przymusem:

— Czemu pan o to pyta?

Nie odpowiedział wprost. Zadał następne pytanie:

— Pani Boynton zażywała miksturę zawierającą digitalis. Nie myłę się, prawda?

— Tak — przyznała tonem, który świadczył, że obecnie Nadine zaczyna się mieć na baczności.

— Zażywała tę miksturę z powodu dolegliwości sercowych?

— Tak.

— Digitalis to lek, który posiada pewne właściwości kumulacyjne. Wiadomo pani o tym?

— Tak mi się przynajmniej zdaje. Zakres moich wiadomości na ten temat jest niewielki.

— Jeżeli pani Boynton znacznie przedozowała digitalis... — zaczął detektyw, lecz przerwała mu szybko.

— To wykluczone! Zawsze była bardzo uważna. Ja także, jeżeli podawałam jej lekarstwo.

— Być może omylił się aptekarz i przygotował tym razem dużo silniejszą miksturę.

— To mało prawdopodobne — odrzekła spokojnie.

— Cóż. Analiza wyświeśli sprawę.

— Niestety, buteleczka została stłuczona — powiedziała Nadine.

— Naprawdę? Kto ją stłukł? — zapytał, spoglądając bystro w jej oczy.

— Nie wiadomo. Pewno jeden ze służących. Kiedy zwłoki wniesiono do groty, powstało zamieszanie; światło było bardzo słabe. Ktoś przewrócił stolik.

— To zastanawiające — bąknął Poirot, nie odrywając od niej wzroku. — Naprawdę zastanawiające.

Nadine niespokojnie poruszyła się na krześle.

— Czy pan sugeruje, że moja świekra umarła nie na atak serca, lecz skutkiem przedozowania digitalisu? — spytała, by dodać po chwili: — To zupełnie nieprawdopodobne.

Mały Belg pochylił się do przodu.

— Nie zmieni pani zdania, gdy powiem, że doktor Gerard, francuski lekarz, który był wówczas w obozie, stwierdził w apteczce podróźnej brak znacznej dawki digitoxyny?

Milczała. Zbladła wyraźnie i spuściła wzrok. Zacisnęła ręce.

— Słucham, *madame*? Co teraz ma pani do powiedzenia? Mijały sekundy. Wreszcie uniosła głowę i detektyw zdziwił się wyrazem jej oczu.

— Proszę pana — zaczęła. — Ja jej nie zabiłam. To pan wie niewątpliwie. Była żywa i zdrowa, kiedy się z nią rozstawałam. Potwierdzić to może kilka osób. Mam prawo zaapelować do pana, nie poczuwając się do winy. Czy musi pan mieszać się do tej sprawy? Czy zaniecha pan dochodzenia, jeżeli zaręcę honorem, przysięgnę, że tylko sprawiedliwości stało się zadość? Wiele było cierpień, o których pan nie wie. Czy teraz, kiedy nastał spokój i rysują się możliwości szczęścia, musi pan niszczyć to wszystko?

— Postawmy kwestię jasno — powiedział Poirot. — Czego żąda pani ode mnie?

— Twierdzę, że świewkra umarła naturalną śmiercią i proszę, by przyjął pan moje twierdzenie.

— Sformułujmy to inaczej. Jest pani przekonana, że ktoś zabił ją z premedytacją i prosi pani, abym morderstwo puścił płazem!

— Proszę pana o litość!

— Tak... Dla kogoś, kto nie miał litości.

— Pan nie rozumie... To nie tak było...

— Czy to pani popełniła zbrodnię, że wie wszystko tak dobrze?

— Nie! — zaprzeczyła stanowczo. — Ona żyła, kiedy się z nią rozstawałam.

— Więc co się stało? Wie pani czy tylko podejrzewa?

— Słyszałam, proszę pana — podjęła z przekonaniem — że raz w sprawie Orient-Expressu przyjął pan bez zastrzeżeń oficjalną wersję wydarzeń.

Poirot zerknął na nią spod oka.

— Ciekaw jestem, od kogo wie pani o tym?

— Czy to prawda?

— Cóż... Tamta sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej, więc...

— Nie! — przerwała. — Sprawa nie przedstawiała się inaczej. Zabity został człowiek zły... — głos Nadine załamał się. — Ona była zła!

— Charakter ofiary nie ma nic do rzeczy! Jednostka, która przypisuje sobie uprawnienia wymiaru sprawiedliwości i odbiera człowiekowi życie, jest groźna dla społeczeństwa.

— Bardzo pan nieustępliwy!

— Tak, *madame*! W pewnych kwestiach jestem nieustępliwy. Nie puszczę płazem morderstwa! Herkules Poirot powiedział swoje ostatnie słowo!

Nadine wstała. W jej oczach pojawiły się nagle błyski.

— Dobrze! Niech pan robi swoje! Niech pan niszczy niewinnych ludzi! Nie mam już nic do powiedzenia.

— Ależ ma pani. Bardzo dużo!

— Nie, proszę pana. Nic więcej.

— Powtarzam: Bardzo dużo! Co działo się po pani rozstaniu z panią Boynton? W czasie, kiedy pani razem z mężem była pod markizą?

Nadine wzruszyła ramionami.

— Skąd ja miałabym wiedzieć?

— Wie pani czy tylko podejrzewa? Spojrzała mu prosto w oczy.

— Ja nic nie wiem, proszę pana. Odwróciła się i wyszła.

ROZDZIAŁ XVII

Poirot zrobił notatkę: „N. B. 4.40”. Następnie uchylił drzwi, zawołał ordynansa, którego przydzielił mu pułkownik Carbury, i kazał wezwać pannę Carol Boynton.

Gdy weszła, spojrział nie bez uznania na kasztanowe włosy, głowę osadzoną pięknie na długiej szyi, smukłe i kształtne dłonie.

— Zechce pani usiąść, *mademoiselle* — rozpoczął i zdawkowo wyraził współczucie, co dziewczyna skwitowała nie mniej zdawkowo, następnie zaś podjął, nie zmieniając tonu: — Czy będzie pani łaskawa opowiedzieć mi, jak spędziła popołudnie krytycznego dnia?

Carol zaczęła tak gładko, jak gdyby odbyła niejedną próbę:

— Po drugim śniadaniu poszliśmy na spacer. Do obozu wróciłam...

— Momencik, *mademoiselle*. Czy przez cały czas wszyscy byliście razem? — przerwał detektyw.

— Nie. Prawie cały czas byli ze mną mój brat Raymond i panna King. Później odeszłam trochę. Byłam sama.

— Dziękuję. A więc wróciła pani do obozu. Plus minus o której?

— Myślę, że dziesięć po piątej. Poirot zanotował: „C. B. 5.10”.

— Co dalej?

— Matka siedziała wciąż na dawnym miejscu. Porozmawiałam z nią i weszłam do swojego namiotu.

— Przypomina sobie pani treść tej rozmowy?

— Tak. Powiedziała, że jest straszny upał i chce poleżeć trochę w namiocie. Ona na to, że pozostanie na miejscu. To wszystko.

— Czy coś niezwykłego w jej wyglądzie zwróciło pani uwagę?

— Nie... Chyba... — Carol urwała, pytająco spojrziała na detektywa.

— W moich oczach nie wyczyta pani odpowiedzi — wtrącił zachęcająco.

Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

— Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz, po zastanowieniu...

— Po zastanowieniu, *mademoiselle*?

— Tak!... Matka miała jakąś dziwną cerę... Twarz bardziej czerwoną niż zwykle.

— Może coś ją wzburzyło? — zasugerował Poirot. — Doznała wstrząsu?

— Wstrząsu? — znowu spojrziała pytająco.

— Mogła, dajmy na to, zirytować się na kogoś z obozowej służby...

— Aha... To bardzo możliwe.

— Ale nie wspomniała pani o tym? Nic na ten temat nie mówiła?

— Nie... Ani słówka.

— Co robiła pani po rozmowie z panią Boynton?

— W swoim namiocie położyłam się na jakieś pół godziny. Później zeszłam pod markizę. Byli już tam mój brat i jego żona. Obydwoje czytali.

— A pani?

— Ja? Miałam coś do zeszyca. Później sięgnęłam po jakieś stare czasopismo.

— Czy wracając pod markizę, rozmawiała pani z panią Boynton?

— Nie. Chyba nie spojrzalam nawet w jej stronę. Zeszłam od razu na dół.

— Co dalej?

— Byłam pod markizą do czasu, kiedy... kiedy panna King zawiadomiła nas, że ona nie żyje.

— To wszystko, co pani wiadomo?

— Tak.

Mały Belg pochylił się do przodu, ale nie zmienił swobodnego tonu:

— A co pani odczuła?

— Co odczułam?

— Tak. Pytam, co pani odczuła, dowiedziawszy się, że matka... Pardon... Była pani macochą, prawda? Co pani odczuła, dowiedziawszy się, że ona nie żyje?

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

— Sądzę, że rozumie pani doskonale.

— To był wstrząs... — odpowiedziała niepewnie. — Zaskoczenie...

— Naprawdę?

Dziewczyna pobladła. Tym razem spojrzała na detektywa bezradnie, jak gdyby z przestrawieniem.

— Czy to naprawdę było zaskoczenie? Mimo rozmowy z bratem Raymondem pewnego wieczoru w Jerozolimie?

Cios okazał się trafny. Twarz Carol spopieliała.

— Pan o tym wie? — szepnęła.

— Tak, *mademoiselle*. Wiem.

— Jak?... Skąd?

— Część rozmowy państwa została podsłuchana.

Dziewczyna zakryła twarz rękami, wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Poirot zaczął chwilę. Później podjął z całym spokojem:

— Wspólnie planowaliście wtedy zabójstwo matki.

— Tamtego wieczoru byliśmy... Byliśmy opętani... Szaleni!

— Być może.

— Pan nie zrozumie nigdy stanu, w jakim znajdowaliśmy się wtedy. To niemożliwe! — Carol wyprostowała się, odgarnęła włosy z twarzy. — Pewno pan nie uwierzy, ale... Ale w Ameryce było jeszcze znośniej. Dopiero podróż wszystko nam objawiła!

— Co objawiła? — zapytał cicho, tonem współczucia.

— Że tak różni się od innych ludzi. To było straszne. No i Jinny...

— Jinny?

— Tak. Nasza siostra. Pan nie widział jej jeszcze. Ostatnio była jakaś dziwna... coraz bardziej dziwna. A matka pogarszała sprawę... Może nieświadomie. Czy ja wiem? W każdym razie Raymond i ja obawialiśmy się, że Jinny rzeczywiście dostanie pomieszania zmysłów. Wiedzieliśmy też, że Nadine podziela nasze zdanie.

— Rozumiem. Co więcej?

— Tamtego wieczoru, w Jerozolimie, nastąpiło przesilenie. Raymond był bliski szaleństwa, a ja... Ja miałam nerwy tak rozstrojone, że... Proszę pana! Nasz plan wydawał się nam wtedy słuszny, sprawiedliwy! Uwierzyliśmy, że matka jest obłąkana. Nie wiem, co pan na to powie, ale mnie się zdaje, że... że zgładzenie kogoś może czasem wydawać się dobrym uczynkiem!

Detektyw twierdząco skinął głową.

— Istotnie. Zgładzenie kogoś może czasem wydawać się dobrym uczynkiem. Dowodzi tego cała historia ludzkości.

— Tamtego wieczora tak się nam wydawało... Mojemu bratu i mnie. — Nieoczekiwanie uderzyła otwartą dłonią w blat stołu. — Ale nie zrobiliśmy tego! Naprawdę! Z rana przyszło opamiętanie. Plan uznaliśmy za niedorzeczny, melodramatyczny... I zbrodniczy! Matka umarła śmiercią naturalną, na udar serca. Ani Raymond, ani ja nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

— Przysięgnie pani na zbawienie duszy — odezwał się spokojnie — że nie podjęła pani żadnych kroków, aby spowodować zgon pani Boynton?

Carol podniosła głowę. Odpowiedziała głosem spokojnym i opanowanym:

— Przysięgam na zbawienie duszy, że ja jej nie skrzywdziłam.

Poirot wygodniej rozsiadł się na krześle.

— Tak, o to mi chodziło — powiedział i dodał zaraz, nie zmieniając tonu: — Jak właściwie przedstawiał się wasz plan?

— Plan?

— Właśnie. Przecież musieliście mieć jakiś plan. Pani i Raymond.

Detektyw czekał. W myśli liczył sekundy. Jedna, dwie, trzy...

— Nie mieliśmy żadnego planu — wyjaśniła wreszcie. — Sprawa nie posunęła się aż tak daleko.

— To wszystko, *mademoiselle*. — Podniósł się z krzesła. — Zechce pani poprosić do mnie brata?

Carol wstała. Wahała się przez dobrą chwilę.

— Proszę pana... Pan uwierzył mi?

— Czy powiedziałem, że nie uwierzyłem pani?

— Nie powiedział pan, ale... — urwała nieporadnie.

— Zechce pani poprosić do mnie brata?

— Tak... Naturalnie.

Z wahaniem ruszyła w stronę drzwi, lecz zatrzymała się w ostatniej chwili, odwróciła raptownie.

— Powiedziałam prawdę! Całą prawdę! — zawołała z pasją.

Herkules Poirot milczał, więc odwróciła się znów i wolno wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ XVIII

Poirot spojrział bystro na Raymonda Boyntona i zauważył podobieństwo między siostrą a bratem.

Młodzieniec miał twarz poważną, skupioną. Nie był, jak się zdawało, zdenerwowany ani przestraszony. Usiadł. Zmierzył wzrokiem detektywa i rzucił krótko:

— Słucham?

— Siostra rozmawiała z panem zapewne? — odezwał się łagodnie Poirot.

Przytaknął skinieniem głowy.

— Tak. Kiedy przyszła po mnie. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że pańskie podejrzenia są uzasadnione. Skoro nasza rozmowa, tamtego wieczoru w Jerozolimie, została podsłuchana, zastanawiająca musi wydawać się nagłą i tak rychłą śmierć macochy. Ale mogę pana zapewnić, że ta rozmowa była... była tylko chwilowym szaleństwem. Znajdowaliśmy się wtedy w stanie bliskim rozstroju nerwowego, a fantastyczny plan zabójstwa... Jak by to sformułować? Aha! W pewnej mierze rozładował atmosferę.

— To bardzo prawdopodobne — wtrącił mały Belg.

— Z rana cała historia wydała nam się absurdem! Przysięgam panu! Ani razu nie pomyślałem później o tym!

Detektyw milczał.

— Wiem. Łatwo tak mówić. Za to trudno wymagać, by mi pan uwierzył na słowo! Ale proszę wziąć pod rozwagę fakty. Z macochą rozmawiałem krótko przed szóstą. Z całą pewnością była wtedy żywa i zdrowa. Później wstąpiłem do swojego namiotu, umyłem się i zszedłem pod markizę, gdzie było kilka osób. A więc wynika z tego, że wszyscy widzieli mnie. Widzieli też Carol. Chyba rozumie pan, proszę pana, że macocha umarła naturalną śmiercią?

— Wiadomo panu — zaczął spokojnie Poirot — jakiego zdania jest panna King? Utrzymuje, że przy oględzinach zwłok o pół do siódmej stwierdziła zgon, który nastąpił co najmniej półtorej godziny wcześniej, być może nawet dwie godziny.

Raymond spojrział z powątpiewaniem.

— Tak mówi Sara?

Detektyw twierdząco skinął głową.

— I co pan teraz powie? — zapytał.

— To niemożliwe!

— Tak brzmi orzeczenie lekarskie panny King. Tymczasem pan powiedział, że pani Boynton była żywa i zdrowa jeszcze czterdzieści minut przed zbadaniem jej zwłok przez pannę King.

— Powiedziałem prawdę!

— Proszę uważać na to, co pan mówi.

— Sara omyliła się niezawodnie. Musiała nie wziąć pod uwagę jakiegoś istotnego czynnika.

Mały Belg milczał. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony. Raymond pochylił się do przodu i podjął żywo, z przekonaniem:

— Wiem, zdaję sobie sprawę, jak sytuacja może wyglądać w pańskich oczach. Ale proszę rozpatrzyć ją chłodno, jako strona niezainteresowana. Rzecz zrozumiała, że... — urwał na moment. — Pan żyje w specyficznym klimacie. Każdy nagły zgon musi pan rozpatrywać pod kątem prawdopodobnej zbrodni. W takich warunkach trudno o obiektywizm. Ale każdego dnia ludzie umierają nagle. Zwłaszcza ludzie o słabym sercu.

— Czy zamierza pan uczyć mnie fachu? — westchnął Poirot.

— Nie. Skąd znowu! Sądzę jednak, że jest pan uprzedzony z powodu tamtej niefortunnej rozmowy. Tylko ta nieszczęsna historyczna rozmowa pomiędzy mną a Carol nasuwa podejrzenia!

— Myli się pan. Jest coś więcej. Z podróżnej apteczki doktora Gerarda zginęła duża dawka trucizny.

— Trucizny? — Raymond uniósł się lekko na krzesło; najwidoczniej był zaskoczony, zdumiony. — Trucizny? Pan podejrzewa otrucie?

Detektyw odczekał dobrą chwilę. Następnie zapytał chłodnym, rzeczowym tonem:

— Czy pański plan przedstawiał się inaczej?

— Naturalnie! — odpowiedział Raymond bez zastanowienia; zająknął się zmieszany. — To... To zmienia postać rzeczy... Zupełnie! Trudno mi zebrać myśli...

— Jaki był wasz plan?

— Nasz plan? Myśleliśmy... — urwał raptownie, spojrzął na małego Belga niespokojnie z nagle obudzoną czujnością. — Nic więcej nie powiem — rzucił i wstał z krzesła.

— Jak pan sobie życzy.

Wzrokiem odprowadził do drzwi Raymonda. Wreszcie sięgnął po blok i zrobił ostatnią notatkę: „R. B. 5.55”. Później zabrał się do pisania na dużym arkuszu papieru, a gdy skończył, wygodnie usadowił się na krzesło, głowę przekrzywił na bok i z uznaniem objął wzrokiem swoje dzieło.

Boyntonowie i Jefferson Cope wychodzą z obozu (w przybl.)	3.05
Doktor Gerard i Sara King wychodzą z obozu (w przybl.)	3.15
Lady Westholme i panna Pierce wychodzą z obozu	4.15
Doktor Gerard wraca do obozu (w przybl.)	4.20
Lennox Boynton wraca do obozu	4.35
Nadine Boynton wraca do obozu i rozmawia z panią Boynton	4.40
Nadine Boynton rozstaje się ze świekrą i wraca pod markizę (w przybl.)	4.50
Carol Boynton wraca do obozu	5.10
Lady Westholme, panna Pierce i Jefferson Cope wracają do obozu	5.40
Raymond Boynton wraca do obozu	5.50
Sara King wraca do obozu	6.00
Znalezienie zwłok	6.30

— To ciekawe... — mruknął do siebie; złożył zapisany arkusz i uchyliwszy drzwi, kazał wezwać Mahmuda.

Otyły dragoman był wymowny. Słowa płynęły z jego ust wartkim strumieniem.

— Zawsze ja jestem winien — mówił. — Zawsze. Ile razy stanie się coś, zawsze wszystko na mnie! Takie już mam szczęście w życiu.

Wreszcie detektyw zdołał zahamować potok jego wymowy i w przerwie rzucić pytanie, na które grubas odpowiedział:

— O wpół do szóstej, powiada pan? Nie... o wpół do szóstej nikogo ze służby nie było pod markizą. Drugie śniadanie podajemy dopiero o drugiej. Później trzeba posprzątać. Po tym posiłku cała służba śpi. Amerykanie, panie inspektorze, nie pijają popołudniowej herbaty. O wpół do czwartej wszyscy poszliśmy spać. O piątej wstałem. Ja jeden zawsze jestem czujny i dbam, aby panie i panowie o każdej porze mieli wszystko, co trzeba. Wiedziałem, że angielskie panie powinny wtedy przyjść na herbatę. Ale nikt się nie zjawił. Wszyscy poszli na spacer. Pomyślałem, że to dobrze, lepiej niż zwykle; przynajmniej położę się znowu. Za kwadrans szósta zaczęły się kłopoty. Tęga angielska pani, bardzo wielka pani, przyszła i zażądała herbaty, chociaż służący już nakrywali do obiadu. Robiła wiele zamętu. Mówiła, że

woda musi być gotująca i że ja, osobiście, mam tego dopilnować. Ach, panie inspektorze! Co to za życie! Robię, co mogę, a i tak zawsze wszystko na mnie, bo...

— Jeszcze jedna sprawa — przerwał mu Poirot. — Pani, która tamtego wieczoru umarła, gniewała się na jednego ze służących. Wiesz, kto to był i o co poszło?

— Ja? Skąd miałbym wiedzieć? Starsza pani na nic mi się nie skarżyła.

— A mógłbyś się dowiedzieć?

— Nie, panie inspektorze! To niemożliwe! Za nic nie przyzna się żaden służący. Starsza pani gniewała się? Tak pan inspektor powiada? Tym bardziej nikt nie przyzna się do niczego. Abdul powie, że to Mahomet, Mahomet, że Aziz, Aziz, że Aissa i tak dokoła. To prości ludzie. Nic nie rozumieją, panie inspektorze.

Mały Belg odprawił gadatliwego dragomana i ze świeżo zapisanym arkuszem poszedł do pułkownika.

Na jego widok Carbury przesunął węzeł krawata jeszcze bardziej w lewo.

— Ma pan coś? — zapytał. Poirot usiadł.

— Życzy pan sobie poznać moją teorię?

— Jeżeli panu na tym zależy — westchnął pułkownik.

— Moja teoria głosi, że kryminalistyka to najłatwiejsza pod słońcem gałąź wiedzy! Należy tylko pozwolić wygadać się przestępcy. Prędzej czy później musi powiedzieć, co trzeba.

— Coś podobnego słyszałem już od pana. Kto powiedział panu, co trzeba?

— Wszyscy! — zawołał i pobieżnie streścił przeprowadzone rozmowy.

— Hm... Widzę w tym parę wskazówek... Zapewne... Szkoda, że każda wskazuje inny kierunek. Ma pan podstawę do zarządzenia śledztwa?

— Nie.

— Tego się obawiałem — westchnął Anglik.

— Ale wieczorem będzie pan znał prawdę.

— To mi pan obiecał. Wątpię jednak, czy pan coś uzyska... Jest pan pewien?

— Najzupełniej.

— Miłe musi być takie uczucie!

Poirot nie dostrzegł ironicznego błysku, który prawdopodobnie pojawił się w oczach tamtego. Pokazał mu swoje dzieło.

— Schludna robota, solidna — pochwalił Carbury i schylił się nad zapisanym arkuszem; po chwili podjął: — Wie pan, co ja myślę?

— Nie. Ale dowiem się z całą przyjemnością.

— Raymond Boynton jest czysty.

— Tak pan sądzi?

— Ma się rozumieć. Czysty jak łąza. Od razu widać, co on myślał. A my powinniśmy wiedzieć z góry, że jest czysty, bo, jak to bywa w powieściach kryminalnych, sprawia wrażenie najbardziej podejrzanego. Pan podsłuchał, że chłopiec chce wykończyć starą. I co? Od razu powinniśmy wiedzieć, że musi być niewinny.

— Pan czytuje powieści kryminalne?

— Tysiącami! — zawołał pułkownik i dodał szybko tonem psotnego uczniaka: — Przypuszczam, że pan potrafi robić wszystkie te cuda, jak detektyw z powieści kryminalnej? Sporządzić listę wydarzeń na pozór drobnych, lecz o kapitalnym znaczeniu!

— Aha! Lubi pan powieści kryminalne w takim stylu? Chętnie zrobię panu tę przyjemność — uśmiechnął się Poirot i sięgnąwszy po arkusz papieru, zaczął pisać szybko i czytelnie:

1. Pani Boynton przyjmowała miksturę zawierającą digitalis.

2. Doktorowi Gerardowi zginęła strzykawka.

3. Pani Boynton pilnowała, by jej dzieci nie nawiązywały kontaktów towarzyskich z osobami postronnymi.

4. Krytycznego popołudnia pani Boynton wyprawiała na spacer całą rodzinę.

5. Pani Boynton miała skłonności do moralnego znęcania się nad otoczeniem.

6. Odległość pomiędzy markizą a miejscem, na którym siedziała pani Boynton, wynosi mniej więcej sto osiemdziesiąt metrów.

7. Lennox Boynton twierdził początkowo, że nie wie, o której godzinie wrócił do obozu. Następnie przyznał, że nastawiał zegarek pani Boynton.

8. Doktor Gerard i Ginevra Boynton zajmują sąsiadujące namioty.

9. O wpół do siódmej, kiedy obiad był gotów, wyprawiono służącego po panią Boynton.

Carbury odczytał listę wydarzeń z całą satysfakcją.

— Kapitalne dzieło! — zawołał. — Akurat, jak trzeba! Utrudnia pan rozwikłanie sytuacji, przytaczając fakty pozornie błahe! Cudownie! Jak w autentycznej powieści kryminalnej! Nawiasem mówiąc, jest tu kilka bardzo widocznych opuszczeń. Sądzę, że na tym właśnie ma polegać pański popisowy numer!

Poirot zerknął z ukosa na pułkownika, ale nic nie powiedział.

— Na przykład, punkt drugi — ciągnął tamten. — „Doktorowi Gerardowi zginęła strzykawka”. Naturalnie! Ale zginął mu również jakiś preparat o zawartości digitalis, czy coś takiego.

— To nie jest aż tak ważne, jak brak strzykawki — wyjaśnił detektyw.

— Doskonale! — uśmiechnął się pułkownik. — Nic nie rozumiem. Osobiście uważałbym, że digitalis ma znaczenie o wiele większe niż strzykawka! A co będzie z powtarzającymi się stale epizodami ze służbą? Kiedy obiad był gotów, wyprawiono służącego po panią Boynton. Przedtem pani Boynton była zła na jakiegoś służącego. Wykrzykiwała coś. Groziła mu laską. Nie powie pan chyba, że babę wykończył któryś z moich tępaków z pustyni? Nie powie pan, bo to byłoby nieuczciwe — zakończył Carbury energicznie i stanowczo.

Poirot uśmiechnął się, lecz nic nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ XIX

Na szczycie wzgórza Sara King zbierała kwiaty; doktor Gerard siedział opodal na murku z nieciosanych kamieni.

— Czemu zaczaj pan wszystko? — zapytała nagle gniewnym tonem. — Gdyby nie pan...

— Jest pani zdania, że powinienem milczeć?

— Tak.

— Chociaż wiem tyle?

— Nic pan nie wie!

— Wiem — westchnął Francuz. — Ale muszę przyznać, że nikt nie może być nigdy absolutnie pewien.

— Owszem. Czasami może! — zaprotestowała gorąco.

— Na przykład pani! — Wzruszył ramionami.

— Pan miał wtedy atak malarii, wysoką temperaturę... Nie orientował się pan jasno w sytuacji. Strzykawka mogła przez cały czas leżeć tam, gdzie ją pan później znalazł. Z digitoxiną mogła też zajść omyłka albo jakiś służący dobrał się do pańskiej apteczki.

— Niech się pani nie martwi. Śledztwo nie dostarczy niezbitych dowodów. Zobaczy pani, że jej przyjaciele Boyntonowie wykręcą się sianem.

— Takie rozwiązanie też mi nie odpowiada.

— Zdumiewający brak logiki! — zaopiniował, kiwając głową wymownie.

— Czy to nie pan — podjęła Sara — mówił w Jerozolimie, aby nie wtrącać się w cudze sprawy?

— Nie wtrącam się. Jedynie powiedziałem to, co wiedziałem.

— A ja powtarzam: Nic pan nie wie!... Mój Boże! — westchnęła. — Wracamy do punktu wyjścia. Zamknęłam kółko!

— Przykro mi, droga pani — bąknął pojednawczo Francuz.

— Widzi pan — zaczęła po chwili stłumionym głosem — Boyntonowie nie wyzwolili się od niczego. Żadne z nich! Ona jest z nimi. Nawet z grobu potrafi panować, rządzić.

Wydaje mi się, że... że sprawia jej to nie lada radość! — Sara urwała raptownie, by podjąć zaraz całkiem innym tonem: — Nasz mały detektyw wspina się pod górę.

Umilkła i posępnym wzrokiem obserwowała wspinaczkę Herkulesa Poirot. Gdy nadszedł wrzescie, odsapnął i otarł zroszone potem czoło. Później spojrzął żałośnie na swoje lakierki.

— Cóż to za kamienisty kraj! — westchnął. — Moje biedne trzewiki!

— Od lady Westholme będzie pan mógł pożyczyć podróżny komplet do czyszczenia obuwia — rzuciła cierpko Sara. — Ona nigdy się z nim nie rozstaje.

— Przybory do czyszczenia obuwia nie usuną zadrapań, *mademoiselle*.

— Zapewne. Ale czemu, u licha, nosi pan lakierki w tak kamienistym kraju?

Mały Belg przekrzywił głowę na bok.

— *Mademoiselle*. Zawsze staram się być ubrany starannie.

— Na pustyni zrezygnowałabym z podobnych aspiracji.

— Właśnie. Kobiety nie najlepiej prezentują się na pustyni! — wtrącił trochę znudzonym tonem doktor Gerard. — Nie mówię o tu obecnej pannie King, która zawsze wygląda świeżo i szykownie. Za to lady Westholme w spódnicach i żakietach z grubego tweedu albo w tych okropnych spodniach do konnej jazdy! I biedna panna Pierce... Jej stroje wyglądają już od samego rana jak zwiędłe liście kapusty, nie mówiąc nawet o paciorkach, którymi wciąż pobrząkuje! Niepodobna nazwać osobą szykowną nawet tak ładnej i pełnej wdzięku kobiety, jak młoda pani Boynton. Ona też ubiera się nieciekawie.

— Sądzę, że pan Poirot wspiął się tak wysoko nie po to, by rozmawiać o kobiecych strojach — powiedziała Sara.

— Słusznie! — potwierdził detektyw. — Przyszedłem, by zasięgnąć opinii doktora Gerarda... I pani, *mademoiselle*. Pani jest młoda, więc zna się niewątpliwie na nowoczesnej psychologii. Pragnąłbym usłyszeć wszystko, co państwo mogą mi powiedzieć o nieboszczce.

— Czyżby pan nie znał już na pamięć wszystkiego, co da się o niej powiedzieć? — obruszyła się młoda lekarka.

— Nie. Mam wrażenie... Raczej mam pewność, że stan umysłowości pani Boynton jest w tej sprawie czynnikiem najważniejszym. Podobne typy znane są bez wątpienia panu doktorowi Gerardowi.

— Z mojego punktu widzenia — oświadczył Francuz — pani Boynton stanowiła bezsprzecznie ciekawy przedmiot obserwacji.

— Zechce pan coś powiedzieć na ten temat.

Doktor rozpoczął od wrażenia, jakie wywarła na nim rodzina Boyntonów. Później streścił swoją rozmowę z Jeffersonem Cope'em, który zupełnie nie orientował się w sytuacji.

— To osobnik sentymentalny, prawda? — wtrącił mały Belg.

— W najwyższym stopniu! Hołduje określonym poglądom wypływającym z jego zamiłowania do lenistwa. Widzieć ludzką naturę z najlepszej strony i poczytywać ten świat za miłe miejsce zamieszkania to niewątpliwie najłatwiejsza droga życia. Stąd Jefferson Cope nie ma najmniejszego pojęcia, jacy naprawdę są ludzie.

— To czasami bywa niebezpieczne — wtrącił znów Poirot.

— W tym, co można by nazwać „kompleksem Boyntonów”, z uporem dostrzega tylko zgubne skutki nadmiernej i niewłaściwie pojmowanej troskliwości. Nie ma wyobrażenia, że pod pozorami kryje się całe piekło: nienawiść, bunt, serwilizm, męka.

— To czysta głupota — skomentował Poirot.

— Mimo wszystko — ciągnął Francuz — najbardziej nieinteligentny i niepoprawny sentymentalny optymista nie może być zupełnie ślepy. Moim zdaniem, pan Cope przejrzał cokolwiek podczas wyprawy do Petry — zaopiniował i przytoczył rozmowę, którą odbył z Amerykaninem rano, w dniu śmierci pani Boynton.

— Zaciekawia mnie incydent z tą młodą służącą — podjął detektyw tonem zastanowienia. — Rzuca znamienne światło na metody stosowane przez starszą panią.

— Ogólnie biorąc — mówił Gerard — był to niezwykle poranek. Pan nie zna Petry, prawda? Stanowczo warto tam odbyć mozolną drogę do „Ołtarza ofiarnego”. Bardzo to panu radzę... Jest tam... Jak by się wyrazić?... Specyficzna atmosfera... — Ze szczegółami opisał poranną scenę i rozprawiał dalej: — Panna King zasiadała tam jak młody sędzia. Mówiła o ofierze jednostki dla dobra ogółu. Przypomina sobie pani, *mademoiselle*?

Sara wzdrygnęła się nerwowo.

— Niech pan nie wraca do tamtego dnia! Bardzo proszę...

— To zbędne — podchwycił Poirot. — Mnie zaciekawia bardziej to, co wydarzyło się przedtem, a szczególnie mi zależy na zdaniu doktora Gerarda o umysłowości pani Boynton. Jednego nie potrafię zrozumieć. Czemu podporządkowawszy sobie rodzinę bez reszty, pani Boynton zorganizowała wielką zagraniczną podróż? Przecież w zmienionych warunkach musiała istnieć groźba kontaktów towarzyskich, co w rezultacie mogłoby osłabić jej autorytet.

— W tym rzecz! — podchwycił żywo doktor Gerard. — Starsze panie bywają takie same, jak świat długi i szeroki. Nudzą się. Lubią stawiać pasjanse, często miewają dosyć tego, który znają już zbyt dobrze. Chcą nauczyć się nowego. Coś w tym rodzaju może przytrafić się starszej pani, której rozrywka (dziwnie brzmi to określenie) polega na tyranizowaniu i dręczeniu bliźnich. Pani Boynton obłąskawiła swoje tygrysy. Zapewne znajdowała jakieś emocje w okresie ich młodości. Wielką przygodę stanowiło małżeństwo Lennox. Później wszystko spowszedniało. Lennox pograżył się w apatii. Nic już nie było w stanie urazić go lub zranić. Raymond i Carol nie zdradzali skłonności do buntu. Ginevra... Biedna Ginevra! Z punktu widzenia matki była najmniej ciekawą zabawką! Potrafiła znaleźć ucieczkę: z

rzeczywistości w świat fantazji. Im bardziej dokuczała jej matka, tym łatwiej znajdowała pociechę grając rolę prześladowanej heroiny. Dla pani Boynton wszystko to stawało się zabójczo nudne. Jak Aleksander Wielki zaczęła szukać nowych światów do podboju. Dlatego właśnie obmyśliła tę podróż. Liczyła na groźbę buntu oswojonych bestii, spodziewała się, że znajdzie sposobność do zadawania nowych tortur. Zapewne brzmi to niedorzecznie, ale tak było! Pani Boynton łaknęła świeżych wzruszeń. Mały Belg odetchnął głęboko.

— Doskonały obraz, doktorze! Rozumiem, co pan ma na myśli. Tak było! Wszystko pasuje do siebie. Dobra mama Boynton wybrała pełne niebezpieczeństw życie i ciężko za to zapłaciła.

Sara King pochyliła się do przodu. Na jej zamyślanej twarzy malowała się powaga.

— Chce pan powiedzieć — odezwała się — że zbyt dokuczyła swoim ofiarom, a one zwróciły się przeciwko niej... Być może, tylko jedna z ofiar?

Detektyw przytaknął ruchem głowy.

— Która? — zapytała zdławionym głosem.

Poirot popatrzył na nią. Nic nie odpowiedział, albo raczej został zwolniony z odpowiedzi, gdyż doktor Gerard dotknął jego ramienia.

— Proszę tam spojrzeć — szepnął.

Zboczem wzgórza szła dziewczyna, z dziwnym, rytmicznym wdziękiem, co sprawiało wrażenie, iż nie jest zupełnie realna. Jej złocistorude włosy połyskiwały w słonecznym blasku, a niezwykle, zagadkowy uśmiech igrał w kącikach kształtnych ust.

I tym razem mały Belg odetchnął głęboko.

— Jaka piękna! — zachwycił się. — Cudownie, wzruszająco piękna! Tak właśnie należałoby grać Ofelię! Młoda boginka, która zabłądziła do nas z innego świata, szczęśliwa, gdyż oswoiła się od ludzkich trosk i radości.

— Tak. Ma pan rację! — potwierdził żywo Gerard. — To twarz z marzeń sennych, prawda? Ja widziałem ją we śnie. Kiedy leżałem chory, podniosłem raz powieki i zobaczyłem tę twarz ze słodkim, nieziemskim uśmiechem. Cudowny sen! Żał mi było, że się obudziłem... — westchnął i po chwili podjął normalnym tonem: — To Ginevra Boynton.

Dziewczyna zbliżyła się do nich i Francuz dokonał prezentacji:

— Pan Herkules Poirot, panna Boynton.

— Oo...

Spojrzała podejrzliwie na małego Belga. Splotła palce, zaczęła je wyłamywać nerwowo. Zaczarowana nimfa wróciła z kraju baśni. Stała się zwyczajną, nieporadną młodą osobą, onieśmieloną i zdenerwowaną.

— Dopisało mi szczęście — odezwał się Poirot — że tu spotkałem panią przypadkowo. Chciałem, *mademoiselle*, pomówić z panią w hotelu.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się blade.

— Zechce pani przejść się ze mną trochę? — zapytał.

Jak gdyby gotowa zastosować się łaskawie do jego kaprysu, postąpiła kilka kroków i zapytała szybko, nieoczekiwanie:

— Pan jest detektywem, prawda?

— Tak, *mademoiselle*.

— I przybył pan tutaj, aby mnie bronić? — wyszeptwała. Poirot pogładził wąsy.

— Grozi coś pani? — spytał z nutą zastanowienia.

— O, tak! — Lęklonie rozejrzała się dokoła. — W Jerozolimie powiedziałam o tym doktorowi Gerardowi. To mądry człowiek. Milczał wtedy, ale pośpieszył za mną do tego okropnego miejsca między czerwonymi skałami. — Wstrząsnął nią dreszcz. — Chcieli mnie tam zabić. Muszę mieć się na baczności. Wciąż! Nieustannie!

Detektyw z łagodnym pobłażaniem pokiwał głową.

— On jest dobry, życzliwy — podjęła Ginevra. — I kocha się we mnie.

— Naprawdę?

— O, tak! We śnie powtarza moje imię. — Twarz jej złagodniała, rozjaśniła się nieziemskim pięknem. — Widziałam, jak leżał, dygocząc w ataku febry i powtarzał moje imię... Cofnęłam się cicho. Uciekłam. — Zamilkła na chwilę. — Myślałam, że może on wezwał pana? Mam wrogów, strasznie dużo wrogów. Pan wie o nich, prawda? Okrążają mnie zewsząd... Czasem są przebrani...

— Tak... Rozumiem... Ale tutaj jest pani bezpieczna pośród własnej rodziny.

Dumnie podniosła głowę.

— To nie moja rodzina! Z tymi ludźmi nie mam nic wspólnego! Nie powiem panu... nie mogę powiedzieć, kim jestem naprawdę... To tajemnica!

— Czy śmierć matki była dla pani wielkim wstrząsem? — zapytał łagodnie Poirot.

Wyprostowała się, tupnęła gniewnie.

— Słyszał pan, że to nie moja matka! Moi wrogowie płacili jej. Dlatego udawała matkę, pilnowała mnie, abym się nie wymknęła.

— Gdzie była pani po południu w dniu jej śmierci?

— W namiocie... Gorąco tam było, ale nie śmiałam wyjść... Bałam się, że oni mogą mnie pochwyć. — Wzdrygnęła się lekliwie. — Jeden zajrzał do mojego namiotu. Był w przebraniu, ale mnie nie zmylił. Szejk go przysłał. Pan wie, naturalnie, że szejk chce mnie porwać?

Detektyw przeszedł w milczeniu kilkanaście kroków. Następnie podjął mniej kojącym tonem:

— Ładne bajeczki opowiada pani.

— To prawda!... Wszystko prawda! — zawołała i odwróciwszy się zbiegła szybko stokiem wzgórza.

Poirot stał przez chwilę nieruchomo. Spoglądał za uciekającą dziewczyną. Później usłyszał znajomy głos:

— Co pan jej powiedział?

Odwrócił się i zobaczył zdyszanego cokolwiek doktora Gerarda. Sara nadchodziła również, lecz najwidoczniej było jej mniej pilno.

— Powiedziałem, że na własny użytek wymyśla śliczne opowiadki.

— I rozgniewała się na pana? — Doktor pokręcił głową. — To dobry znak. Biedaczka nie przekroczyła jeszcze fatalnego progu. Zdaje sobie sprawę, że mówi nieprawdę. Wyleczę ją na pewno.

— Myśli pan o kuracji?

— Tak. Omówiłem już wszystko z młodą panią Boynton i jej mężem. W Paryżu umieszczę Ginevrę w jednej z moich klinik. Później będzie mogła studiować. Chce zostać aktorką.

— Aktorką?

— Tak. Scena może jej dobrze zrobić. To wskazane dla niej. Konieczne! Ona jest w pewnym stopniu podobna do matki. Przypomina ją wieloma zasadniczymi cechami charakteru.

— Nie! — zaprotestowała gwałtownie Sara.

— Może mi pani nie wierzyć — podjął Gerard — ale tak jest. Obydwie przyszły na świat z niepohamowaną żądzą sławy, chęcią olśniewania ludzi. Biedna Ginevra była krępowana na każdym kroku. Nie znajdowała ujścia dla wygórowanych ambicji, miłości życia, dla swojej bujnej, romantycznej osobowości. — Roześmiał się cicho. — Zmienimy to rychło — powiedział i dodał z ukłonem: — Państwo wybaczą...

Odszedł szybko za dziewczyną.

— Doktor Gerard odnosi się do swojej pracy z zapalem — zauważyła Sara.

— Właśnie! — przyznał Poirot. — Zwróciłem uwagę na ten zapal.

Zmarszczyła brwi.

— Mimo wszystko jednak nie mogę zgodzić się, że porównuje Ginevrę do tej ohydnej baby. Chociaż... Chociaż raz jeden sama też współczułam starej Boynton.

— Kiedy, *mademoiselle*?

— W dzień ich odjazdu z Jerozolimy. Wspominałam panu o tym. Czasami tak się zdarza, że przez chwilę człowiek widzi wszystko na opak. Zna pan to uczucie? Wtedy coś mnie napadło, wściekłam się i kapitalnie wygłupiałam.

— Nie! Skąd znowu!

Sara zarumieniała się lekko — jak zawsze, gdy wspominała niefortunną rozmowę z panią Boynton.

— Uniosłam się wtedy — podjęła — jak gdybym miała szczytną misję do spełnienia! Ale później, kiedy lady Westholme przyjrzała mi się badawczo, mówiąc, że widziała, jak rozmawiałam z tamtą babą, pomyślałam, że słyszała naszą rozmowę. Wtedy wydałam się sobie skończoną idiotką!

— Co właściwie powiedziała pani wówczas stara pani Boynton? — zapytał detektyw. — Mogłaby pani powtórzyć słowo po słowie?

— Sądzę, że tak. Jej tyrada zrobiła na mnie wrażenie. Powiedziała: „Ja nic nie zapominam. O tym trzeba pamiętać. Nigdy nic nie zapominam: sytuacji, nazwiska, twarzy”. — Wzdrygnęła się nerwowo. — Rzuciła to złośliwie, wrogo... I nawet nie patrzyła na mnie... Zdaje mi się, że... że i w tej chwili słyszę jej głos.

— Czy to aż panią wstrząsnęło?

— Aha. Nie jestem lękliwa, ale jej słowa słyszę czasami we śnie i widzę jej twarz złą i triumfującą. Okropność! — Wzdrygnęła się znowu i nieoczekiwanie zwróciła się do detektywa: — Nie powinnam zapewne pytać o to, ale... Proszę pana! Czy odkrył pan coś?

— Tak.

— Co? — Wargi Sary drżały, gdy zadawała to pytanie.

— Wiem, z kim rozmawiał Raymond tamtego wieczoru w Jerozolimie. Ze swoją siostrą.

— Z Carol?... Naturalnie! Czy powiedział panu?... Czy pan go pytał?... — Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Spojrzał na nią poważnie, ze współczuciem.

— Tak wiele znaczy to dla pani?

— Wszystko od tego zależy. Wszystko! — zawołała i wyprostowała ramiona. — Ale muszę wiedzieć!

— Raymond powiedział — zaczął cicho detektyw — że tamtej nocy on i jego siostra ulegli hysterii. Byli do cna wyczerpani nerwowo. Z rana, jak twierdzi, obydwójce zdali sobie sprawę z absurdalności takiego pomysłu.

— Aa... Rozumiem.

— Panno Saro — podjął łagodnie Poirot. — Może mi pani powiedzieć, czego obawia się pani tak bardzo?

Zwróciła ku niemu twarz pobladłą, pełną rozpacz.

— Tamtego popołudnia byliśmy... byliśmy razem... On wcześniej poszedł do obozu, ale przedtem... Przedtem powiedział, że musi coś zrobić. Zaraz! Dopóki mu nie zabraknie odwagi! Myślałam, że chce... chce jej powiedzieć, ale... Jeżeli rzeczywiście chciał... — ponownie głos odmówił jej posłuszeństwa i Sara stała sztywno, starając się opanować.

ROZDZIAŁ XX

Nadine Boynton wyszła z hotelu i przystanąła, rozglądając się niepewnie. W tej chwili obok niej zjawił się pan Cope — rycerz skory zawsze do służenia swojej damie.

— Może pójdziemy w tę stronę — zaproponował. — Sądzę, że tam będzie najprzyjemniej.

Szli obok siebie, a pan Cope mówił. Słowa płynęły z jego ust gładko, chociaż trochę monotoniennie. Nie wiadomo, czy zdawał sobie sprawę, że Nadine nie słucha.

Przerwała mu raptownie, gdy skręcili na kamienisty, usiany kwiatami stok wzgórze.

— Jefferson, muszę z tobą pomówić. Twarz miała bardzo bladą.

— Oczywiście, kochana! Naturalnie. Nie krepuj się. Mnie możesz wszystko powiedzieć.

— Bystrzejszy jesteś, niż sądziłam... Wiesz, co mam ci do powiedzenia, prawda?

— Nowe warunki tworzą nowe sytuacje — odparł Amerykanin. — To pewne. Odnoszę wrażenie, bardzo wyraźne wrażenie, że w obecnych warunkach trzeba rozważyć ponownie naszą decyzję. Musisz, Nadine, postąpić tak, jak to uważasz za słuszne.

— Jaki ty jesteś dobry, Jefferson! — zawołała do głębi wzruszona. — Jaki wyrozumiały! Żle cię potraktowałam. Powiedziałabym nawet, haniebnie.

— Słuchaj, Nadine. Postawmy sprawę jasno i uczciwie. Od początku rozumiałem dobrze, na ile mogę sobie z tobą pozwolić. Od początku miałem dla ciebie szacunek i serdeczne przywiązanie. Pragnąłem tylko twojego szczęścia, nic więcej. Później bywałem bliski szaleństwa, bo widziałem, że jesteś nieszczęśliwa. Przyznaję otwarcie, że winiłem za to Lennox. Sądziłem, że nie zasługuje na ciebie, ponieważ wygląda na to, że nie zależy mu na twoim szczęściu.

Umilkł na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Później mówił dalej:

— Dziś, po wycieczce do Petry, zdaję sobie sprawę, że Lennox nie był zapewne aż tak winien, jak sądziłem. Nie chciałbym mówić źle o zmarłej, ale podejrzewam, że twoja świekra była osobą niezwykle trudną we współżyciu.

— Tak. Twoje podejrzenia są uzasadnione — przyznała cicho.

— W każdym razie — ciągnął — wczoraj po południu oznajmiłaś mi, że ostatecznie postanowiłaś zerwać z Lennoxem. Pochwaliłem tę decyzję. Nie powinnaś, Nadine, godzić się na takie życie. Wobec mnie byłaś uczciwa. Nie udawałaś, że mogę liczyć na coś więcej niż sympatię i przywiązanie. Pragnąłem tylko opiekować się tobą, traktować cię tak, jak na to zasługujesz. Powiem otwarcie, że tamto popołudnie zaliczani do najszcześniejszych w moim życiu.

— Tak mi przykro, Jefferson! — zawołała. — Przepraszam!... Bardzo przepraszam!

— Nie ma za co, Nadine. Przez cały czas miałem wrażenie, że to wszystko jest tylko ułudą, że następnego rana musisz zmienić zamiar. Obecnie sprawa przedstawia się inaczej. Ty i Lennox możecie mieć własne życie.

— Tak. Nie mogę go porzucić. Wybacz mi, proszę.

— Nie mam nic do wybaczenia — powiedział z przekonaniem. — Będziemy znowu przyjaciółmi, a o tamtym popołudniu zapomnimy i koniec!

Nadine dotknęła delikatnie jego ramienia.

— Jefferson... Dziękuję ci, mój drogi — szepnęła. — Teraz pójdę poszukać Lennox.

Odwróciła się szybko, a gdy odeszła, Cope powędrował dalej samotnie.

Nadine łatwo znalazła męża. Siedział na szczycie ruin rzymskiego teatru i zauważył ją dopiero wtedy, gdy zdyszana zajęła miejsce obok niego.

— Lennox.

Drgnął i odwrócił się w jej stronę.

— Dotąd nie mieliśmy czasu porozmawiać — zaczęła. — Ale i tak wiesz, że od ciebie nie odejdę? Wiesz, prawda?

— Na serio miałaś taki zamiar?

— Tak. Byłam zdania, że to jedyna możliwa droga ucieczki. Miałam nadzieję, że pójdziesz za mną... Biedny Jefferson! Jak podle go potraktowałam!

Lennox niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

— Nic podobnego, Nadine! Ludzie tak pozbawieni egoizmu jak Cope lubią, by ich szlachetność wystawiać na próbę. I miałaś rację. Kiedy powiedziałaś mi, że z nim odejdziesz, doznałem wstrząsu, ożyłem. Słowo daję, zrozumiałem, że ostatnio chyba dostałem fioła. Czemu, u diabła, nie machnąłem ręką na matkę, nie odszedłem z tobą, skoro sobie tego życzyłaś?

— Nie mogłeś, kochany — szepnęła.

— Tak!... Matka miała charakter... — podjął tonem zastanowienia. — Myślę, że wszyscy byliśmy w pewnym sensie hipnotyzowani.

— Niewątpliwie — przyznała.

Lennox siedział przez chwilę zamyślony. Później odezwał się:

— Kiedy tamtego popołudnia powiedziałaś mi, że odejdziesz, dostałem pałką w łeb! Do obozu szedłem półprzytomny i nagle zrozumiałem jasno, jaki był ze mnie dureń! Uświadomiłem sobie, że tylko jedno mogę zrobić, by nie utracić ciebie — ciągnął posepnie. — Postanowiłem...

— Dosyc! — przerwała mu nagle. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Postanowiłem rozmówić się z matką — ciągnął zupełnie innym, beznamietnym już tonem, starannie dobierając słów. — Powiedziałem, że muszę zrobić wybór pomiędzy nią a tobą i, oczywiście, wybrałem ciebie.

Umilkł na moment, by podjąć z dziwną nutą uznania dla samego siebie:

— Tak! To właśnie jej powiedziałem.

ROZDZIAŁ XXI

W drodze powrotnej do hotelu Herkules Poirot spotkał dwie osoby. Pierwszą z nich był Jefferson Cope.

— Pan Poirot? — zapytał. — Nazywam się Jefferson Cope. Uścisnęli sobie ręce i ruszyli dalej ramię w ramię.

— Usłyszałem — wyjaśnił po drodze Amerykanin — że prowadzi pan formalne śledztwo w sprawie zgonu mojej starej znajomej, pani Boynton. Tragiczna historia, nieprawdaż? Osoba w tym wieku stanowczo nie powinna ryzykować tak uciążliwej podróży. Ale uparta była, proszę pana. Rodzina nie miała na nią najmniejszego wpływu. Istny tyran domowy! Jak powiedziała, tak musiało być.

Nastąpiła krótka pauza.

— Chciałbym poinformować pana — podjął Amerykanin

— że jestem starym przyjacielem rodziny Boyntonów. Ma się rozumieć, wszyscy przeżyli ciężki wstrząs, a w ogóle to ludzie nerwowi, bardzo wrażliwi, niezaradni. Jeżeli, rozumie pan, trzeba czymś się zająć, załatwić formalności związane z pogrzebem lub przewozem zwłok do Jerozolimy, chętnie zrobię, co w mojej mocy, żeby im trochę ulżyć. Proszę mi tylko powiedzieć, a będę do usług.

— Rodzina Boyntonów z pewnością będzie panu wdzięczna za tę propozycję — powiedział detektyw i dodał zaraz:

— O ile mi wiadomo, jest pan szczególnie bliskim przyjacielem młodej pani Boynton?

Cope zarumienił się lekko.

— Tego tematu nie warto już poruszać. Słyszałem, że dziś rano rozmawiał pan z panią Nadine Boynton. Zapewne powiedziała panu, jak wyglądała sytuacja pomiędzy nią i mną. Ale to skończone, proszę pana. Skończone! Pani Nadine to osoba nieprzeciętnej wartości. Czuje, że przede wszystkim ma obowiązki wobec męża pogrążonego obecnie w ciężkiej żałobie.

Poirot skwitował tę wypowiedź lekkim pochyleniem głowy.

— Pułkownik Carbury — podjął — pragnie mieć jasny obraz sytuacji, w jakiej umarła pani Boynton. Zechce pan opowiedzieć mi o tamtym popołudniu?

— Naturalnie, proszę pana! Po drugim śniadaniu i krótkim odpoczynku wybraliśmy się na spacer. Chcieliśmy iść sami, bez tego nieznośnego dragomana! Właśnie wtedy odbyłem rozmowę z Nadine, która później odeszła, bo chciała znaleźć męża i wobec niego jasno postawić sprawę. Ja także samotnie wracałem do obozu i w połowie drogi spotkałem dwie Angielki, które były z nami na porannej wycieczce. Jedna z nich to podobno wielka dama, angielska hrabina, czy coś takiego.

Mały Belg potwierdził, że tak jest rzeczywiście.

— Kobieta na poziomie. Inteligentna, proszę pana, i taka wykształcona! Druga wygląda raczej na kogoś skromniejszego, no i była okropnie zmęczona. Nasza poranna wycieczka to ciężka próba dla osoby w starszym wieku, zwłaszcza jeżeli cierpi na lęk przestrzeni. A więc spotkałem te dwie panie i powiedziałem im to i owo o Nabatejczykach i ich cywilizacji. Wróciliśmy nawet kawalek, żeby obejrzeć jedne ruiny. Później we troje poszliśmy do obozu. Byliśmy tam około szóstej. Lady Westholme zażądała herbaty, w której picciu miałem zaszczyt uczestniczyć. Herbata była słaba, ale miała przyjemny, chociaż dziwny aromat. Tymczasem służący nakryli do stołu i jednego z nich wyprawiono po starszą panią Boynton. Znalazł ją w fotelu, nieżywą.

— A wracając do obozu, widział pan panią Boynton?

— Widziałem. Siedziała przed swoją grota, jak przez całe popołudnie, więc nie zwróciłem na nią szczególnej uwagi. Właśnie tłumaczyłem lady Westholme przyczyny naszego

obecnego kryzysu gospodarczego. Musiałem też uważać na pannę Pierce. Była taka zmęczona, że potykała się raz po raz.

— Bardzo panu dziękuję — powiedział detektyw — i pozwolę sobie na niedyskretne pytanie. Czy pani Boynton zostawiła znaczny majątek?

— Bardzo znaczny! Ale, wyrażając się ściśle, nie był to jej majątek. Korzystała tylko z dożywocia, a po jej śmierci wszystko miało być podzielone w równych częściach między dzieci nieboszczyka Elmera Boyntona. Obecnie to ludzie bogaci.

— Pieniądze wiele mogą — mruknął Poirot. — Ileż to zbrodni popełniono dla pieniędzy!

— Tak... Naturalnie... — przyznał tamten nie bez zdziwienia.

Mały Belg uśmiechnął się smętnie.

— Ale istnieją setki innych motywów, prawda?... Dziękuję panu za cenne informacje.

— Nie ma za co, proszę pana... Miło mi było się przysłużyć... Oo! Tam siedzi panna King. Chciałbym zamienić z nią kilka słów.

Schodząc ze wzgórza, Poirot spotkał pannę Pierce, która przydreptała lekko zdyszana i najwidoczniej wzburzona.

— Oo! Proszę pana! — zaczęła. — Bardzo się cieszę, że pana spotkałam. Dopiero co rozmawiałam z młodszą panną Boynton, tą rudą. Opowiadała niestworzone rzeczy o wrogach i jakimś szejku, który chce ją porwać, i że jest otoczona szpiegami. Szalenie romantyczne historie! Lady Westholme twierdzi, że to wierutne brednie i że kiedyś miała w służbie pomoc kuchenną, także rudą dziewczynę, która kłamała w bardzo podobny sposób. Ale lady Westholme bywa czasami za mało wyrozumiała. Taka surowa! A może to wszystko prawda, co? W naszym życiu zdarzają się dziwne rzeczy. Gdyby to była prawda, mielibyśmy nie lada sensację.

Panna Pierce była ogromnie podniecona i naprawdę wzruszona.

— Istotnie. Życie ludzkie potrafi obfitować w niezwykle wydarzenia — przyznał Poirot sentencjonalnie.

— Dziś z rana nie uświadomiłam sobie, proszę pana — ciągnęła z przejęciem panna Pierce — że pan to ten najsłynniejszy w świecie detektyw. W swoim czasie czytałam, oczywiście, wszystko w prasie o morderstwach A.B.C. Jakie to było straszne! A ja miałam wtedy miejsce guwernantki niedaleko Doncaster!

Poirot bąknął coś nieokreślonego i dalej słuchał, a panna Pierce perorowała z wzrastającym przejęciem.

— Jak pomyślałam o panu, przyszło mi do głowy, że zapewne dziś z rana nie postąpiłam, jak trzeba. Świadek powinien zawsze mówić wszystko, prawda? Nie wolno mu pomijać nawet najdrobniejszych szczegółów pozornie bez znaczenia? Bo, rzecz oczywista, jeżeli pan Herkules Poirot zajmuje się tą sprawą, pani Boynton z pewnością padła ofiarą morderstwa! No i uprzytomniłam sobie, że chyba należało o tym powiedzieć, bo, jak się zastanowić, widać od razu, że to coś bardzo dziwnego.

— Oczywiście — podchwycił Poirot. — Liczę, że teraz pani powie mi o tym.

— Właściwie to nic nie było. Tylko tyle, że z rana, następnego dnia po śmierci biednej pani Boynton, wstałam wcześniej i wyrzłam z namiotu, żeby popatrzeć na wschód słońca. Wie pan, jak to czasami...

— Wiem, wiem! — przerwał. — I co pani zobaczyła?

— Coś szczególnego, chociaż tak od razu nie zwróciłam na to specjalnej uwagi. Jedna z panien Boynton wyszła ze swojego namiotu i, proszę sobie wyobrazić, wrzuciła coś do potoku. Niby to nic, ale ten przedmiot jakoś dziwnie błysnął w słońcu.

— Która z nich?

— Chyba ta, którą nazywają Carol. Bardzo ładna dziewczyna i taka podobna do brata. Można by pomyśleć, że ci dwoje są bliźniętami, prawda? Ale mogła to być i najmłodsza z

rodzeństwa, ta ruda. Słońce, rozumie pan, świeciło mi w oczy, więc niezbyt dobrze widziałam. Ale nie! Włosy miała chyba kasztanowe, nie rude.

— I do potoku wrzuciła coś błyszczącego? — zapytał Poirot.

— Tak. Jak już wspomniałam, nie zainteresowało mnie to wtedy tak bardzo. Ale później wybrałam się na spacer wzdłuż strumienia, gdzie przyszła także panna King. I, proszę sobie wyobrazić, pośród rozmaitych śmieci i puszek po konserwach spostrzegłam błyszczące metalowe pudełeczko...

— Naturalnie! Od razu się domyśliłem! — przerwał detektyw. — Mniej więcej takiej długości?

— Tak. Jaki pan mądry! Pomyślałam wtedy: „Dlaczego panna Boynton wyrzuciła takie ładne pudełeczko?” No i z prostej ciekawości podniosłam je i otworzyłam. W środku była strzykawka zupełnie podobna do tej, którą kłuła mnie pielęgniarka przy szczepieniu przeciwko tyfusowi. Zdziwiłam się trochę, bo strzykawka nie była stłuczona ani nie wyglądała na uszkodzoną, więc nie mogłam zrozumieć, czemu panna Boynton ją wyrzuciła. Kiedy medytowałam nad tym, podeszła do mnie panna King, która zjawiała się tak cicho, że wcale nie usłyszałam. Powiedziała: „O, jest moja strzykawka. Właśnie jej szukam. Bardzo pani dziękuję”. Wobec tego podałam jej pudełeczko, a ona wróciła do obozu.

Panna Pierce umilkła na chwilę, lecz zaraz podjęła zżywieniem:

— Ma się rozumieć, nie widziałam w tym wszystkim nic godnego uwagi, tylko zdziwiłam się trochę, że akurat Carol Boynton wyrzuciła strzykawkę panny King. Ale zaraz pomyślałam, że z pewnością jest jakieś bardzo proste wyjaśnienie — zakończyła i pytająco spojrzała w twarz małego Belga.

— Dziękuję pani — powiedział z całą powagą. — To, co od pani usłyszałem, może nie mieć istotnego znaczenia samo w sobie. Ale ostatecznie uzupełniło mój materiał. Obecnie wszystko jest już zrozumiałe, pedantycznie posegregowane!

— Doprawdy?

Panna Pierce była wzruszona, uradowana jak dziecko. Poirot odprowadził ją do hotelu i tam, we własnym pokoju, dodał końcowy punkt do swojego rejestru wydarzeń.

10. W Jerozolimie pani Boynton użyła słów: Ja nic nie zapominam. O tym trzeba pamiętać. Nigdy nic nie zapominam...”

— *Mais oui!* — Przytaknął sobie pochyleniem głowy. — Teraz wszystko jest jasne!

ROZDZIAŁ XXII

— Uff!... Wszystko gotowe — Poirot westchnął z ulgą. Cofnął się parę kroków, by oszacować wzrokiem swoje przygotowania w jednym z pokoi hotelowych.

Pułkownik Carbury, który stał w niedbalej pozie, wsparty o przysunięte do ściany łóżko, uśmiechnął się do detektywa.

— Pocieszny z pana facet — zauważył. — Lubi pan dramatyzować.

— Być może — przyznał mały Belg. — Ale chodzi nie tylko o pobłażanie własnym słabostkom. Jeżeli ma się grać komedię, należy najpierw przygotować scenę.

— Czy to komedia?

— Jeżeli nawet tragedia, to i tak wymaga odpowiedniej oprawy — powiedział Poirot.

Carbury zerknął nań spod oka.

— Ha, to już pańska sprawa! Nie wiem, dokąd pan zmierza, ale czuję przez skórę, że coś pan uzyskał.

— Będę miał zaszczyt przedstawić panu to, czego pan żądał: prawdę!

Herkules Poirot spojrział na zegarek.

— Pora przystąpić do akcji — podjął. — Pan, pułkowniku, zasiądzie tu, za stołem, w urzędowym charakterze.

— Dobrze. Niech będzie — burknął Carbury.

— Tutaj — ciągnął detektyw, przesuwając nieco krzesła — umieścimy rodzinę Boyntonów. Tam — wskazał ręką — trzy osoby postronne, niewątpliwie zamieszane w sprawę. To doktor Gerard, którego zeznania rozpętały całą historię; panna Sara King zaangażowana niejako podwójnie: osobiście i służbowo, ponieważ to ona wystawiła orzeczenie lekarskie; pan Jefferson Cope, bliski przyjaciel Boyntonów, którego również można nazwać stroną zainteresowaną... — urwał raptownie. — O! Już są!

Pierwsi weszli do pokoju Lennox i jego żona, za nimi Raymond z Carol, następnie Ginevra, na której ustach błąkał się nieokreślony uśmiech. Pochód zamykali Gerard i Sara King. Cope zjawił się parę minut później, a gdy zajął wskazane mu miejsce, Poirot wystąpił na środek pokoju.

— Panie i panowie! — zagaił. — Jest to spotkanie zupełnie nieoficjalne. Doszło do niego jedynie z przyczyny mojej przypadkowej obecności w Ammanie. Pan pułkownik Carbury zaszczycił mnie prośbą o konsultację...

W tym momencie przerwał małemu Belgowi ktoś, czyjej interwencji najmniej należało oczekiwać. Lennox Boynton wybuchnął zaczepnie:

— Dlaczego? Dlaczego, u licha, pułkownik wplątał pana w tę historię?

Belg wykonał efektowny gest ręką.

— Tak się składa, że ludzie często proszą mnie o konsultację w przypadkach nagłej śmierci.

— Czy lekarze zawsze zwracają się do pana w przypadkach ataku sercowego?

— Atak sercowy to określenie nieściśle i nienaukowe — wyjaśnił pobłażliwie Poirot.

Pułkownik Carbury odchrząknął znacząco, wyraźnie urzędowo, i zabrał głos równie urzędowym tonem:

— Postawmy sprawę jasno. Otrzymałem meldunek o okolicznościach zgonu. Wszystko wyglądało naturalnie. Niezwykły upał. Podróż bardzo męcząca dla osoby w starszym wieku i słabego zdrowia. Ale doktor Gerard zgłosił się do mnie, by z własnej woli złożyć zeznania... — urwał i pytająco spojrział na Poirota, który odpowiedział pochyleniem głowy.

— Doktor Gerard — podjął Carbury — to wybitny uczony o światowej sławie. Każda jego opinia zasługuje na uwagę. Zeznania doktora przedstawiały się następująco: Nazajutrz po śmierci pani Boynton spostrzegł z rana, że znaczna dawka silnej trucizny działającej na serce

zginęła z jego apteczki podróźnej. Poprzedniego popołudnia zauważył brak strzykawki, która została podrzucona późnym wieczorem lub w ciągu nocy. Punkt trzeci: Doktor Gerard stwierdził na przegubie ręki zmarłej ślad taki, jak po zastrzyku. W świetle tych faktów — ciągnął po chwili milczenia — uznałem za konieczne, by odpowiednie władze wszczęły dochodzenie wstępne. W tym czasie pan Poirot gościł u mnie i nader uprzejmie zaoferował fachową pomoc. Upoważniłem go do przeprowadzenia śledztwa według własnego uznania, obecnie zaś zgromadziliśmy się tutaj celem wysłuchania jego raportu.

Zrobiło się cicho — cicho jak makiem zasiał. W sąsiednim pokoju ktoś upuścił zapewne trzewik, co zabrzmiało niczym wybuch bomby.

Poirot zerknął szybko na trzy osoby po swojej prawej stronie. Później przeniósł wzrok w lewo, ku rodzinnej grupie Boyntonów.

— Kiedy pułkownik Carbury zwrócił się do mnie w tej sprawie — rozpoczął — wyraziłem fachową opinię. Powiedziałem, że nie zdołam zapewne uzyskać dowodu wystarczającego dla sądu, natomiast jestem pewien, że uda mi się dotrzeć do prawdy. Bo, proszę państwa, aby zdemaskować zbrodnię, trzeba tylko pozwolić mówić winowajcy albo winowajcom, którzy w ostatecznym rezultacie powiedzą zawsze to, co chce się wiedzieć! — Zawiesił na chwilę głos. — W danym przypadku państwo kłamali, rozmawiając ze mną, lecz bezwiednie mówili również prawdę.

Poirot usłyszał ciche westchnienie, ale nie obejrzał się w tamtą stronę.

— Przede wszystkim rozważyłem możliwość naturalnej śmierci pani Boynton i opowiedziałem się przeciw tej hipotezie. Podważyły ją rozmaite fakty: zniknięcie trucizny i strzykawki, a ponadto zachowanie rodziny zmarłej. Doszedłem do wniosku, że mogło to być zabójstwo z premedytacją i, co ważniejsze, że zdają sobie z tego sprawę wszyscy Boyntonowie, którzy zachowują się jak winowajcy. Ale bywają różne stopnie winy. Wróciłem zatem do analizy znanych mi okoliczności, by odpowiedzieć na pytanie: Czy morderstwo?... Tak, proszę państwa, to było morderstwo!... Czy morderstwo zostało popełnione zgodnie ze wspólnie ukartowanym planem? Rodzina pani Boynton miała motyw, że się tak wyrażę, aż nazbyt oczywisty. Jej śmierć byłaby korzystna dla wszystkich razem i każdego z osobna, zarówno pod względem materialnym, jak moralnym. Zapewniłaby im niezależność finansową, a nawet znaczną zamożność, ponadto zaś zostaliby wyzwoleni spod coraz bardziej nieznośnej tyranii. Mimo to z miejsca uznałem za niemożliwe, aby Boyntonowie dokonali zbrodni wspólnie. Ich zeznania nie pokrywały się wzajemnie i nie mieli przygotowanych alibi. Fakty zdawały się wskazywać, że jedna, być może dwie osoby działały w zмовie, a reszta rodziny usiłowała im pomóc już po zabójstwie. W rezultacie próbowałem wytypować bezpośrednich sprawców i tu, przyznając, utrudniała mi obiektywne spojrzenie okoliczność tylko mnie znana. Umilkł na chwilę, by następnie zrelacjonować wydarzenie, którego świadkiem był w Jerozolimie.

— Oczywiście — ciągnął — wskazywało to wyraźnie, że inicjatorem zbrodni mógł być pan Raymond Boynton, a po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że zwierzał się najprawdopodobniej swojej siostrze, Carol. Ci dwoje są podobni do siebie z wyglądu i usposobienia, dość nerwowi, muszą więc łączyć ich silne uczucia rodzinne, a ponadto cechuje ich duża energia, niezbędna przy realizowaniu tego rodzaju planów. Motyw po części nieegoistyczny, wyzwolenie całej rodziny, a zwłaszcza najmłodszej siostry, był prawdopodobny.

Nastąpiła krótka pauza. Raymond otworzył usta i zamknął, nic nie powiedziawszy. Pełnym tępej rozpacz, udręczonym wzrokiem wpatrywali się w twarz detektywa.

— Nim rozpatrzę zarzuty przeciw Raymondowi Boyntonowi, pozwolę sobie przeczytać państwu rejestr znamiennych wydarzeń. Sporządziłem go dziś po południu, a następnie zapoznałem z nim obecnego tu pana pułkownika.

1. Pani Boynton przyjmowała miksturę zawierającą digitalis.

2. Doktorowi Gerardowi zginęła strzykawka.
3. Pani Boynton pilnowała, by jej dzieci nie nawiązywały kontaktów towarzyskich z osobami postronnymi.
4. Krytycznego popołudnia pani Boynton wyprawiła na spacer całą rodzinę.
5. Pani Boynton miała skłonności do moralnego znęcania się nad otoczeniem.
6. Odległość pomiędzy markizą a miejscem, na którym siedziała pani Boynton, wynosi mniej więcej sto osiemdziesiąt metrów.
7. Lennox Boynton twierdził początkowo, że nie wie, o której godzinie wrócił do obozu. Następnie przyznał, że nastawiał zegarek pani Boynton.
8. Doktor Gerard i Ginevra Boynton zajmują sąsiadujące namioty.
9. O pół do siódmej, kiedy obiad był gotów, wyprawiono służącego po panią Boynton.
10. W Jerozolimie pani Boynton użyła słów: „Ja nic nie zapominam. O tym trzeba pamiętać. Nigdy nic nie zapominam...”

— Chociaż wszystko osobno wypunktowałem, niektóre fakty należałoby jednak połączyć. Dla przykładu, dwa pierwsze: „Pani Boynton przyjmowała miksturę zawierającą digitalis. Doktorowi Gerardowi zginęła strzykawka”. To od początku zwróciło moją uwagę, jako coś dziwnego i, powiem otwarcie, niemożliwego do pogodzenia z sobą. Dlaczego? Zapewne państwo nie rozumieją? Mniejsza z tym. Powrócę do tego wkrótce.

Na razie chciałbym zakończyć rozważania nad prawdopodobieństwem winy pana Raymonda Boyntona. Słyszano jego słowa: „Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić”, co niewątpliwie odnosiło się do pani Boynton. Był w stanie wyjątkowo silnego napięcia nerwowego. Ponadto... Wybacz pani, *mademoiselle*... — Poirot skłonił się uprzejmie Sarze — zakochał się ostatnio, a więc przeżył silny wstrząs uczuciowy. Wypływającą stąd egzaltację mógł wyładować na kilka sposobów. Mógł roztkliwić się, stać się łagodniejszy wobec całego świata, nie wyłączając nawet macochy. Mógł również zdobyć się na odwagę i rzucić pani Boynton wyzwanie, otrząsnąć się z jej wpływów. Albo mógł zyskać dodatkową zachętę, by zrealizować plan zbrodni. To rozważania psychologiczne. Teraz zastanówmy się nad faktami.

Raymond Boynton wraz z innymi opuścił obóz kwadrans po trzeciej. Pani Boynton była wtedy żywa i cała. Wkrótce Raymond i Sara King odbyli ważną rozmowę w cztery oczy. Później on odszedł i, według własnych zeznań, powrócił do obozu dziesięć po szóstej. Z macochą zamienił kilka słów, następnie zaś wstąpił do swojego namiotu i zszedł pod markizę. Powiada, że za dziesięć szósta pani Boynton była żywa i zdrowa. Jednakże istnieje fakt, który temu twierdzeniu stanowczo przeczy. O wpół do siódmej jeden ze służących znalazł zwłoki pani Boynton. Panna King, lekarka świeżo po studiach, niezwłocznie zbadła ciało i utrzymuje, że w danej chwili nie przywiązywała szczególnej wagi do określenia dokładnego czasu śmierci, lecz śmierć musiała nastąpić niewątpliwie co najmniej o godzinę wcześniej.

Mamy, jak państwo widzą, dwa całkowicie sprzeczne zeznania, nie licząc ewentualnej omyłki panny King.

— Ja się aż tak nie mylę! — zaprotestowała Sara. — To znaczy... Gdybym popełniła omyłkę, przyznałabym się do niej.

Poirot skłonił się znów uprzejmie młodej lekarce.

— A zatem — podjął — istnieją tylko dwie możliwości. Ktoś kłamie: panna King albo Raymond Boynton! Zastanówmy się teraz, jakie po temu powody mógłby mieć Raymond, przyjąwszy, naturalnie, że panna King nie popełniła omyłki ani nie kłamie rozmyślnie. Rozpatrzmy też przebieg wydarzeń. Raymond wraca do obozu, widzi macochę siedzącą przed wejściem do grotty, podchodzi do niej i stwierdza, że jest nieżywa. Jak postępuje? Czy alarmuje obóz, wzywa pomocy? Nie! Czeką parę minut, następnie zaś wstępuje do swojego namiotu i schodzi pod markizę. Zastaje tam resztę rodziny, lecz nic nie mówi. Przyznają państwo, że byłoby to zachowanie dziwne, nad wyraz dziwne!

— Oczywiście! Nawet idiotyczne — podchwycił nerwowo Raymond. — Wobec tego powinien mi pan uwierzyć, że matka żyła wtedy. Panna King była zaskoczona, zbita z tropu. Łatwo mogła popełnić omyłkę.

— Narzuca się pytanie — podjął Poirot, puściwszy mimo uszu słowa Raymonda — jaka mogła być przyczyna takiego zachowania? Z pozoru wygląda na to, że Raymond Boynton nie mógł popełnić zbrodni, ponieważ tylko raz tamtego popołudnia był sam z macochą, która wówczas już nie żyła. Załóżmy, że jest niewinny. Czy w takim razie potrafimy wytłumaczyć jego zachowanie? Z całym przekonaniem odpowiem: tak, jeżeli, oczywiście, przyjmiemy, że jest niewinny. Mówię to, ponieważ zapamiętałem jego słowa: „Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić”. Tamtego popołudnia wraca ze spaceru i znajduje zwłoki pani Boynton. Co dalej? Przypomina mu się rozmowa w Jerozolimie i wynikająca z niej pewna możliwość. Plan został wykonany, nie przez niego, przez współuczestniczkę. Innymi słowy podejrzewa swoją siostrę, pannę Carol Boynton.

— To kłamstwo! — rzucił Raymond zdławionym, drżącym głosem.

— Z kolei rozpatrzmy następną możliwość — ciągnął detektyw. — Czy Carol Boynton mogła popełnić morderstwo! Co przeciw niej przemawia? Z natury jest energiczna i nerwowa, ma bujny temperament, a zatem mogłaby uznać tego rodzaju czyn za szlachetny i heroiczny. Z nią to właśnie Raymond rozmawiał w Jerozolimie. Do obozu wróciła dziesięć po piątej. Według zeznań własnych: podeszła do matki i zamieniła z nią kilka słów. Nikt tego nie widział. Obóz był wyludniony, służba spała. Lady Westholme, panna Pierce i pan Cope zwiedzali grotę za zakrętem parowu. Nie było świadka. Czas zgadza się plus minus z zeznaniem panny King. A więc oskarżenie Carol Boynton miałyby pewne podstawy.

Poirot przerwał. Carol popatrzyła mu w oczy. Jej spojrzenie było przeciągłe i pełne smutku.

— I jeszcze jedno — podjął po chwili. — Wczesnym rankiem następnego dnia Carol Boynton wrzuciła coś do potoku. Są wszelkie powody, by sądzić, że to „coś” było strzykawką.

— Co pan mówi? — zdziwił się doktor Gerard. — Przecież znalazłem swoją strzykawkę. Mam ją.

— Właśnie! — podchwycił detektyw. — Ta druga strzykawka stwarza aspekt bardzo ciekawy, niezwykły. O ile mi wiadomo, druga strzykawka to własność panny King. Czy tak, *mademoiselle*?

Carol Boynton ubiegła młodą lekarkę.

— Nie! — zawołała żywo. — To moja strzykawka, nie panny King!

— Przyznaje pani zatem, że wyrzuciła pani strzykawkę? — podchwycił Poirot.

Dziewczyna zawahała się przez chwilę.

— Tak. Czemu nie miałabym tego zrobić?

— Carol! — Nadine pochyliła się do przodu; oczy miała szeroko otwarte, pełne lęku. — Carol! Nie rozumiem, dlaczego...

Carol zwróciła twarz w stronę bratowej. Spojrzała na nią bystro, jak gdyby wrogo.

— Nie ma tu nic do rozumienia! — powiedziała. — Wyrzuciłam starą strzykawkę. Nigdy nie dotykałam trucizny... nigdy.

— Panna Pierce powiedziała panu prawdę! — podchwyciła spieszenie Sara zwracając się do detektywa. — To była moja strzykawka!

— Chociaż sprawa strzykawki — uśmiechnął się Poirot — jest zagadkowa, bardzo skomplikowana, lecz mimo wszystko to da się chyba wyjaśnić. Cóż, postawiliśmy dotąd dwie tezy: tezę niewinności Raymonda Boyntona i tezę winy jego siostry, Carol. Ale ja jestem absolutnie bezstronny. Każdą sytuację zwykłem rozpatrywać z obydwu stron. Postawmy pytanie: Jak wyglądałaby sprawa, gdyby Carol była niewinna? Otóż wraca do obozu i podszedłszy do matki, widzi, że nie żyje. Co przyszło jej do głowy? Oczywiście podejrzenie,

że jej brat Raymond popełnił zabójstwo. Nie wie, co robić. Nic nie mówi. I co dalej? W jakąś godzinę później Raymond wraca, rzekomo rozmawia z matką i także nie mówi, że coś się stało. Nie sądzą państwo, że jej podejrzenia musiały się wtedy ugruntować? Być może idzie do jego namiotu i znajduje tam strzykawkę. Jest już absolutnie pewna! Zabiera strzykawkę, ukrywa i wyrzuca nazajutrz wczesnym rankiem.

Jeszcze jedno wskazuje, że Carol Boynton jest niewinna — ciągnął detektyw. — Kiedy rozmawiałem z nią, zapewniła, że ani ona, ani jej brat nie myśleli nigdy serio o wprowadzeniu w czyn swojego planu. Poprosiłem ją, by przysięgła, że mówi prawdę. Zrobiła to natychmiast, bez wahania, z całą powagą i godnością. Przysięgła, że nie jest winna zbrodni. Rozumieją państwo? Ona, nie oni! Kwestię winy brata pominęła. Spodziewała się pewno, że ujdzie to mojej uwadze! Tak przedstawia się sprawa niewinności Carol Boynton. Cofnijmy się teraz i zastanówmy nie nad niewinnością, lecz nad winą Raymonda Boyntona.

Przypuśćmy, że Carol powiedziała prawdę i pani Boynton żyła o piątej dziesiąt. W jakich warunkach Raymond mógłby popełnić zbrodnię? Wolno nam podejrzewać, że zabił macochę, kiedy za dziesiąt szóstą podszedł do niej i jakoby z nią rozmawiał. Co prawda służba kręciła się już po obozie. Ale zapadał zmierzch. Raymond mógłby dokonać zbrodni niepostrzeżenie, ale wynikałoby z tego, że panna King musi kłamać. Pamiętają państwo? Do obozu wróciła ledwie pięć minut później niż Raymond. A zatem ze stosunkowo nieznacznej odległości musiałyby widzieć, że Raymond jest przy matce. Co dalej? Kiedy znaleziono zwłoki, panna King przypuszczała, że zabójstwo popełnił Raymond i, aby go ratować, skłamała rozmyślnie. Wiedziała przecież, że doktor Gerard ma ciężki atak malarii i nie będzie mógł podważyć jej opinii.

— Ja nie skłamałam! — powiedziała z przekonaniem Sara.

— Istnieje jeszcze jedna możliwość — podjął mały Belg. — Jak nadmieniałem, panna King przysłała do obozu pięć minut później niż Raymond. Jeżeli Raymond rzeczywiście zastał matkę żywą, panna King z powodzeniem mogła zrobić śmiertelny zastrzyk. Mogła uwierzyć, że pani Boynton to uosobienie zła, i wyobrazić sobie, że wykonuje sprawiedliwy wyrok. W takim przypadku jej kłamstwo co do czasu zgonu byłoby również uzasadnione.

Sara pobladła, a gdy się odezwała, głos jej był stłumiony, matowy:

— Istotnie, mówiłam o słuszności poświęcenia jednego życia dla dobra ogółu. Myślą tą natchnął mnie „Ołtarz ofiarny”. Ale mogę zeznać pod przysięgą, że nie zrobiłam krzywdy tej podłej kobiecie ani nie żywiłam nigdy podobnego zamiaru.

— A mimo wszystko — podjął Poirot — ktoś z was musi kłamać. Pani, *mademoiselle*, albo pan Boynton!

Raymond niespokojnie poruszył się na krześle.

— Wygrał pan! — zawołał do Poirota. — Matka nie żyła, kiedy do niej podszedłem. Zaskoczyło mnie to, zupełnie zbiło z tropu. Postanowiłem rozmówić się z nią stanowczo, powiedzieć, że od tej chwili jestem człowiekiem wolnym. Zebrałem całą odwagę i... I zobaczyłem, że ona nie żyje! Dłoń miała bezwładną, zimną. Przyszło mi wtedy na myśl, że... że może Carol... Rozumie pan? Był ten ślad zastrzyku na przegubie ręki...

— Nie wiem dotychczas o jednej ważnej sprawie — podjął żywo mały Belg. — Jaką metodę chciał pan zastosować? Coś pan obmyślił przecież, co miało związek ze strzykawką?...

— Tak — przyznał Raymond. — Czytałem o tym w jakiejś angielskiej powieści kryminalnej... Podobno zastrzyk powietrza z pustej strzykawki jest zabójczy... To brzmiało przekonująco, całkiem naukowo.

— Aha... Rozumiem! I kupił pan strzykawkę? — zapytał detektyw.

— Nie. Prawdę mówiąc, ukradłem bratowej. Poirot spojrzał bystro na Nadine:

— Tę, która jest obecnie w Jerozolimie, w ciężkim bagażu?

Młoda pani Boynton zarumieniła się mocno.

— Ja... Ja nie miałam pojęcia, co się z nią stało.

— *Madame*, ma pani szybki refleks — zauważył półgłosem Herkules Poirot.

ROZDZIAŁ XXIII

Znów nastąpiła krótka przerwa. Poirot odchrząknął i zaczął mówić dalej:

— Rozwikłaliśmy zatem tajemniczą sprawę drugiej strzykawki, stanowiącej własność pani Nadine Boynton. Raymond wziął ją przed wyjazdem z Jerozolimy, Carol zabrała z namiotu Raymonda po śmierci pani Boynton, a następnego rana wrzuciła do potoku. Strzykawkę znalazła panna Pierce, a przyznała się do niej panna King, która, jak sądzę, ma ją obecnie u siebie.

— Tak — powiedziała Sara.

— A zatem, *mademoiselle* — podjął detektyw — twierdzenie, że to pani strzykawka, było kłamstwem, którego pani wypierała się tak stanowczo.

— To innego rodzaju kłamstwo — odrzekła spokojnie lekarka. — Nie ma charakteru zawodowego.

— Słusznie. Doskonale rozumiem pani stanowisko.

— Dziękuję.

Poirot odchrząknął znów i przełknął ślinę.

— Obecnie przypomnimy sobie przebieg wydarzeń — podjął i odczytał swoje dzieło:

Boyntonowie i Jefferson Cope wychodzą z obozu (w przybl.)	3.05
Doktor Gerard i Sara King wychodzą z obozu (w przybl.)	3.15
Lady Westholme i panna Pierce wychodzą z obozu	4.15
Doktor Gerard wraca do obozu (w przybl.)	4.35
Nadine Boynton wraca do obozu i rozmawia z panią Boynton	4.40
Nadine Boynton rozstaje się ze świekrą i wraca pod markizę (w przybl.)	4.50
Carol Boynton wraca do obozu	5.10
Lady Westholme, panna Pierce i Jefferson Cope wracają do obozu	5.40
Raymond Boynton wraca do obozu	5.50
Sara King wraca do obozu	6.00
Znalezienie zwłok	6.30

— Zauważyli państwo bez wątpienia dwudziestominutową lukę między czwartą pięćdziesiąt, kiedy Nadine rozstała się z panią Boynton, a powrotem do obozu Carol, o piątej dziesięć. A więc, jeżeli Carol powiedziała prawdę, zgon nastąpił podczas tych dwudziestu minut? Kto mógł wtedy popełnić zabójstwo? Panna King i Raymond Boynton byli razem. Pan Cope, który, rzecz jasna, nie mógł mieć jakiegokolwiek motywu zbrodni, posiada niezbite alibi. Był w towarzystwie lady Westholme i panny Pierce. Lennox Boynton i jego żona siedzieli pod markizą. Doktor Gerard, chory na malarię, leżał w swoim namiocie. Obóz był wyludniony. Cała służba spała. Moment sprzyjał morderstwu. Kto mógł je popełnić?

Poirot zwrócił wzrok ku młodszej pannie Boynton, popatrzył na nią z zastanowieniem.

— Była taka osoba! — podjął zdecydowanym tonem. — Ginevra Boynton spędziła całe popołudnie w swoim namiocie. Tak nam przynajmniej mówiono, ale istnieje świadectwo, że wychodziła z namiotu. Sama powiedziała mi coś bardzo ważnego, a mianowicie, że doktor Gerard w gorączce powtarzał jej imię. Natomiast doktor Gerard wspomniał, że we śnie widział twarz Ginevry. Nie był to sen! Rzeczywiście widział Ginevrę, która stała nad jego łóżkiem. Przypisał to chorobliwemu majaczeniu, lecz było tak naprawdę. Ginevra weszła do namiotu doktora! Czy nie po to, by zwrócić strzykawkę?

Dziewczyna podniosła głowę uwieńczoną koroną złocistorudych włosów. Ogromne, pozbawione wyrazu oczy zwróciła w stronę detektywa. Przypominała wizerunek świętej w ekstazie.

— To niemożliwe! — zaprotestował Francuz.

— Sądzi pan doktor, że niemożliwe z psychologicznego punktu widzenia? — zapytał Poirot

Gerard spuścił wzrok.

— Po prostu niemożliwe! — podchwyciła gwałtownie Nadine.

Poirot zmierzył ją spojrzeniem.

— Jest pani pewna, *madame*?

— Tak... — przygryzła wargi. — Nie mogę słuchać takich zarzutów pod adresem mojej szwagierki. My... wszyscy wiemy, że to niemożliwe!

Ginevra poruszyła się. Na jej twarzy pojawił się uśmiech — słodki, niewinny, dziewczęcy uśmiech.

— Niemożliwe! — powtórzyła Nadine.

Mały Belg pochylił się w lekkim ukłonie.

— *Madame* — powiedział. — Pani jest wyjątkowo inteligentna.

— Inteligentna? Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytała spokojnie.

— Chcę powiedzieć, *madame*, że przez cały czas ma pani, jak to się mówi, głowę na karku.

— Pochlebia mi pan, doprawdy.

— Bynajmniej, *madame*! — sprostował detektyw. — Od początku ocenia pani sytuację chłodno i rozsądnie. Na pozór utrzymywała pani poprawne stosunki ze świekrą. Sądziła pani, że to najstosowniejsza metoda postępowania. Ale w istocie oceniała ją pani inaczej i potępiała. Jakiś czas temu uprzytomniła pani sobie zapewne, że pani mąż może być szczęśliwy tylko w jednym przypadku: jeżeli rozstanie się z domem bez względu na trudności finansowe i kłopoty, które mogłoby to za sobą pociągnąć. Usiłowała pani wpłynąć na niego, podejmując w tym kierunku nie lada ryzyko. Nie powiodło się pani, *madame*. Bowiem Lennox wcale nie pragnął wolności. Jestem przekonany, nawet pewien, że pani kocha męża. Decyzji zerwania z nim nie podyktowało pani silniejsze uczucie do innego mężczyzny. Była to, jak sądzę, ostatnia iskierka nadziei. Kobieta w pani sytuacji może mieć tylko trzy wyjścia. Może perswadować i prosić, co, jak wspomniałem, zawiodło. Może zagrozić zerwaniem, ale i taka groźba nie potrafiłaby poruszyć pani męża. Byłby zapewne jeszcze bardziej udęczoney, lecz nie wiadomo, czy zdołałby się zbuntować. Pozostawało ostatnie, desperackie posunięcie. Mogła pani odejść z innym mężczyzną. Instynkt posiadania i zazdrość to dwa fundamentalne popędy najgłębiej zakorzenione w naturze mężczyzny. Próba sięgnięcia do nich, aż tak głęboko, świadczy, *madame*, o pani mądrości. Gdyby Lennox pozwolił pani odejść z innym i nie zdobył się na konieczny wysiłek, świadczyłoby to, że nie ma dla niego ratunku, a pani miałaby prawo rozpocząć nowe życie.

Przypuśćmy jednak, że nie spełniło zadania nawet to ostatnie, desperackie posunięcie. Przypuśćmy, że nawet zaapelowanie do najbardziej pierwotnych męskich instynktów nie spełniło nadziei, jakie pani w nim pokładała. Czy cokolwiek innego mogłoby wyzwolić pani męża z szybko pogłębiającego się stanu depresji i apatii? Wyłącznie jedno! Gdyby jego macocha umarła, mogłoby jeszcze nie być za późno. Lennox potrafiłby zapewne rozpocząć nowe życie, jako niezależny i prawdziwie wolny mężczyzna.

Nadine, wciąż zapatrzona w twarz detektywa, odpowiedziała spokojnie, opanowanym tonem:

— Sugeruje pan, że ja przyczyniłam się do śmierci pani Boynton. Nic mi pan nie dowiedzie. Tamtego wieczoru zawiadomiłam świekrę o decyzji zerwania z mężem i niezwłocznie zesłam pod markizę, gdzie byłam w towarzystwie Lennox do czasu, gdy znaleziono zwłoki. Poczuję się do winy w innym sensie. Wstrząs, jaki spowodowała rozmowa ze mną, mógł przyspieszyć tę śmierć, oczywiście, śmierć naturalną. Do czasu sekcji

zwłok nie uzyska pan niezbitego dowodu, chociaż utrzymuje pan stanowczo, że pani Boynton została zabita. W takim przypadku nie jestem winna. Nie miałam sposobności.

— A więc była pani pod markizą do momentu, gdy znaleziono zwłoki. To pani słowa, prawda? Jest to jedna z okoliczności, które dają do myślenia.

— W jakim sensie?

— W moim rejestrze wydarzeń figuruje punkt dziewiąty: „O wpół do siódmej, kiedy obiad był gotów, wyprawiono służącego po panią Boynton”.

— Nic nie rozumiem! — wtrącił Raymond.

— Ani ja — dorzuciła Carol.

Poirot przeniósł wzrok z brata na siostrę.

— Nie rozumieją państwo? Po panią Boynton poszedł służący. Służący! Przecież wszyscy państwo gorliwie usługiwali starszej pani. Miała ograniczoną swobodę ruchów, więc ktoś przyprowadzał ją zawsze do stołu, pomagał jej dźwignąć się z fotela. Do czego zmierzam? Kiedy obiad był gotów, któreś z państwa powinno pójść po matkę. Takie postępowanie byłoby naturalne, ale nikt tego nie zrobił.

— To niedorzeczność, proszę pana — rzuciła szorstko Nadine. — Tamtego wieczoru byliśmy bardzo zmęczeni. Ktoś powinien pójść po matkę. Przyznaję. Ale właśnie wtedy nikt się nie pokwapił.

— W tym sedno sprawy. Właśnie tamtego wieczoru! Pani była pomocna świekrze bardziej niż którekolwiek z jej dzieci. Uważała to pani za swój obowiązek, wykonywany niemal odruchowo. Ale wtedy nie poszła pani po nią. Dlaczego? Nieraz zadawałem sobie to pytanie i odpowiedź była zawsze jedna: Ponieważ wiedziała już pani, że świekra nie żyje! Nie, nie! Proszę mi nie przerywać, *madame*. — Uniósł rękę ostrzegawczym gestem. — Teraz ja mówię, Herkules Poirot! Zechce pani łaskawie mnie wysłuchać. Są, *madame*, świadkowie pani rozmowy z panią Boynton, świadkowie, którzy tę rozmowę mogli widzieć, ale nie słyszeć. Lady Westholme i panna Pierce znajdowały się dosyć daleko. Widziały, że rozmawia pani ze świekrą. Ale kto wie, co tam rzeczywiście zaszło? Ja nie wiem, pozwolę sobie jednak przedstawić własną skromną teoryjkę. Jak powiedziałem już, *madame*, ma pani głowę na karku. Gdyby na swój spokojny, rozważny sposób postanowiła pani... nazwijmy to, wyeliminować macochę małżonka, przeprowadziłaby pani plan inteligentnie i z odpowiednim przygotowaniem. Podczas przedpołudniowej wycieczki mogła pani mieć dostęp do namiotu doktora Gerarda, gdzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, winien znajdować się jakiś lek przydatny do tego celu. Pomogło pani wykszolenie pielęgniarstwa i wybór padł na digitoxynę, zawierającą digitalis, środek używany przez panią Boynton. Wzięte pani również strzykawkę doktora Gerarda, gdyż pani własna gdzieś się zawieruszyła. Spodziewała się pani zwrócić ją, nim doktor zdąży jej brak zauważyć.

Przed wprowadzeniem w czyn planu podjęła pani ostateczną próbę, by zmusić męża do działania. Oznajmiła mu pani, że zamierza odejść i poślubić pana Cope'a. Lennox był zrozpaczony, ale nie zareagował w sposób, jakiego pani oczekiwała, a zatem musiała pani doprowadzić do końca przygotowany już plan morderstwa. W drodze powrotnej do obozu zamienia pani kilka miłych, zdawkowych słów z lady Westholme i panną Pierce. Później podchodzi pani do świekry, która, jak wiadomo, siedzi w fotelu przed wejściem do swojej groty. Napelnioną strzykawkę ma pani w pogotowiu. Cóż łatwiejszego dla wykwalifikowanej pielęgniarki, niż ująć rękę ofiary i zrobić zastrzyk, nim ta spostrzeże, co się dzieje? Z głębi kotliny widać było tylko, że pochyła się pani nad świekrą i coś do niej mówi. Dokonawszy dzieła, idzie pani po krzesło, siada obok świekry i na pozór rozmawia z nią spokojnie przez kilka minut. Śmierć musiała nastąpić błyskawicznie. Mówi pani do trupa, ale któż się tego domyśla? Po tych kilku minutach odnosi pani krzesło i schodzi pod markizę, gdzie zastaje pani męża nad książką. Strzeże się pani, oczywiście, aby do końca spod tej markizy nie wyjść. Jest pani przekonana, że za przyczynę zgonu zostanie uznany atak serca. Słusznie! Przecież

digitoxyna paraliżuje serce. Tylko jedna okoliczność pokrzyżowała pani plan. Nie mogła pani podrzucić strzykawki do namiotu doktora Gerarda, który nagle dostał ataku malarii i, chociaż pani nie wiedziała o tym wówczas, zauważył już brak strzykawki. Tak, *madame*, wygląda drobne potknięcie na drodze zbrodni pod każdym innym względem doskonalej.

Przez chwilę panowało grobowe milczenie. Następnie Lennox Boynton zerwał się z krzesła.

— Nie! — krzyknął. — To oszczerstwo! Nadine nic nie zrobiła. Nie mogła zrobić! Moja matka już nie żyła.

— Aha... — podchwycił Poirot. — Więc ostatecznie pan ją zabił?

Znowu zapadła cisza. Lennox opadł na krzesło, drżącą dłoń uniósł do twarzy.

— Tak... Ma pan słusność... Ja ją zabiłem.

— Wziął pan digitoxynę z apteczki doktora Gerarda?

— Tak.

— Kiedy?

— Jak pan trafnie odgadł... tamtego dnia z rana.

— I strzykawkę?

— Strzykawkę?... Tak.

— Dlaczego pan ją zabił?

— Pan o to pyta?

— Tak, pytam.

— Przecież pan wie... Moja żona powiedziała mi, że odejdzie z... z Jeffersonem.

— Wiem. Ale o tym dowiedział się pan po południu.

— Oczywiście... Kiedy byliśmy na spacerze...

— A o truciznę i strzykawkę postarał się pan z rana, co?

— Do diabła! Czemu zadręcza mnie pan pytaniami? — wybuchnął Lennox i dodał po chwili: — Czy to ma jakieś znaczenie?

— Ma. Bardzo duże. Radzę panu wyznać prawdę.

— Prawdę? — spojrzał tępo na detektywa.

— Ja powiedziałam prawdę! — zawołała nieoczekiwanie Nadine.

— Na Boga! Powiem — podchwycił Lennox. — Ale z pewnością pan mi nie uwierzy. — Zająknął się, odetchnął głęboko. — Z Nadine rozstałem się przerażony, do głębi wstrząśnięty. Nie pomyślałem nigdy, że mogłaby porzucić mnie dla innego mężczyzny. Byłem bliski obłędu. Czulem się jak pijany lub jak ktoś, kto budzi się z maligny w ciężkiej chorobie.

Poirot twierdząco skinął głową.

— To się potwierdza. Lady Westholme mówiła mi, że szedł pan chwiejnym krokiem. Dlatego wiedziałem, że pańska żona kłamie twierdząc, że o swoim zamiarze powiedziała panu później, gdy obydwójce państwo wrócili do obozu. Zechce pan mówić dalej.

— Z początku nie bardzo zdawałem sobie sprawę, co się ze mną dzieje. Ale później, już niedaleko obozu, doznałem olśnienia. Zrozumiałem nagle, że mogę mieć pretensje tylko do samego siebie. Postępowałem jak nędzny robak! Dawno powinienem zbuntować się przeciwko macosze, rozstać się z nią i z domem. Pomyślałem, że może nie jest jeszcze za późno. Ona, stara diablica, siedzi tam jak pogański bożek, na tle szkarłatnych skał. Poszedłem prosto do niej, aby niezwłocznie powiedzieć, że mam wszystkiego dosyć, odchodzę. Marzyłem, że tego samego wieczora zabiorę Nadine i pojedziemy dokądś, choćby do Maan.

— Lennox... Najdroższy! — rozległo się serdeczne westchnienie.

— No i... To był grom z jasnego nieba. Ona nie żyła! Siedziała w fotelu martwa. Nie miałem pojęcia, co robić. Byłem porażony, ogłupiały. Wszystko jak gdyby zakrzepło we mnie, skamieniało. Nie potrafiłem dobyć z siebie głosu. Odruchowo sięgnąłem po jej zegarek, który miała na kolanach. Założyłem go na rękę... Na tę okropną, zimną, martwą rękę!... — Wzdrygnął się z odrazą. — Boże! To było straszne! Później jak pijany zszedłem pod markizę.

Należało podnieść alarm, kogoś zawołać... Wiem! Ale nie byłem w stanie. Usiadłem, wziąłem książkę i czekałem... Bezmyślnie przewracałem kartki. — Umilkł na moment. — Nie uwierzy pan, prawda? Czemu nie powiedziałem nikomu? Nawet Nadine? Nie wiem.

Doktor Gerard odkaszlnął, nim zabrał głos:

— Pańskie zeznanie zasługuje na wiarę — powiedział. — Był pan w pożałowania godnym stanie nerwów. Dwa potężne ciosy, jakie otrzymał pan w bardzo krótkim czasie, musiały zrobić swoje. To opisana przez Weissenkaltera reakcja ptaka, który po zderzeniu z szybą okienną trwa przez czas pewien w zupełnym bezruchu, by uspokoić ośrodki nerwowe. Nie mógł pan, proszę pana, zachowywać się inaczej. Podjęcie jakiegokolwiek zdecydowanego działania przekraczało pańskie możliwości. Przechodził pan chwilowy paraliż umysłowy. — Zwrócił się do małego Belga: — Zapewniam pana, przyjacielu, że tak właśnie było.

— Nie wątpię — podchwycił Poirot. — Bynajmniej nie wątpię. Zwróciłem też uwagę na pewien drobiazg: fakt, że pan Boynton założył zegarek na rękę zmarłej. Widzę tu dwa wyjaśnienia. Albo odruch ten miał zamaskować popełnioną zbrodnię, albo został zauważony i mylnie zrozumiany przez panią Nadine Boynton. Wróciła do obozu tylko pięć minut po mężu. Musiała widzieć, co robi, kiedy więc później podeszła do świekry, jemu przypisała morderstwo. Wyciągnęła wniosek, że na wiadomość o zerwaniu zareagował zupełnie inaczej, niż spodziewała się i pragnęła. Innymi słowy nabrała przekonania, że, mimo woli, skłoniła męża do zbrodni. — Spojrzał w stronę Nadine. — Mam słuszność, *madame*?

Opuściła głowę. Później zapytała cicho:

— Czy pan naprawdę mnie podejrzewał?

— Była pani jedną z osób podejrzanych — padła odpowiedź.

Nadine pochyliła się do przodu.

— I co, proszę pana? — zwróciła się do detektywa. — A jak było naprawdę?

ROZDZIAŁ XXIV

— Jak było naprawdę? — powtórzył detektyw. Sięgnął za siebie i przysunawszy sobie krzesło, usiadł; był teraz mniej oficjalny, usposobiony życzliwie.

— Oto jest pytanie! Niewątpliwie zginęła digitoxyna, zginęła też strzykawka, a zmarła miała ślad ukłucia na przegubie ręki. Za parę dni, po sekcji zwłok, dowiemy się z całą pewnością, czy zgon nastąpił skutkiem przedawkowania digitalis. Ale wtedy może być za późno. Lepiej dociec prawdy dziś, zaraz, póki morderca jest pośród nas.

Nadine wyprostowała się raptownie:

— Czy to znaczy, że nadal pan sądzi, że... że... ktoś z... — głos odmówił jej posłuszeństwa.

Poirot z wolna pokiwał głową.

— Prawda... — podjął. — Obiecałem pułkownikowi Carbury, że dowie się prawdy... Cóż, oczyściliśmy rozmaite ścieżki i musimy wrócić do miejsca, w którym byliśmy już wcześniej. Mam na myśli mój rejestr wydarzeń i zawarte w nim dwie rażące sprzeczności.

— Może dowiemy się wreszcie, jakie to sprzeczności? — powiedział pułkownik.

— Zaraz to wyjaśnię — odparł z godnością Poirot. — Przypomnijmy sobie dwa pierwsze punkty wspomnianej listy: „Pani Boynton przyjmowała miksturę zawierającą digitalis. Doktorowi Gerardowi zginęła strzykawka”. Te okoliczności należy zestawić z bezspornym faktem, który uderzył mnie od razu, że wszyscy Boyntonowie zachowują się jak winowajcy, co powinno wskazywać, że pośród nich trzeba szukać sprawcy zbrodni. Jednakże takie zestawienie faktów najdobitniej przeczy tej teorii. Proszę słuchać z uwagą! Posłużenie się stężonym roztworem digitalis byłoby pomysłem trafnym, gdyż pani Boynton stale ten lek przyjmowała. Ale jak postąpiłby w takim przypadku ktoś z członków rodziny? Na Boga! Istnieje tylko jedna logiczna odpowiedź. Należałoby dolać trucizny do butelki z lekarstwem systematycznie zażywany. Tak, oczywiście, musiałby postąpić każdy, kto ma bodaj szczyptę zdrowego rozsądku i, rzecz jasna, dostęp do butelki z lekarstwem. Wcześniej lub później pani Boynton przyjęłaby zwykłą dawkę i umarła, a gdyby nawet wykryto w butelce digitoxynę, można by to uznać za omyłkę aptekarza. W każdym razie niczego nie dałoby się dowieść.

— Czemu zatem przypisać kradzież strzykawki?

— Można to wyjaśnić w dwojaki sposób. Albo doktor Gerard przeoczył strzykawkę i wcale mu jej nie ukradziono. Albo zabrał ją z namiotu ktoś, kto nie miał dostępu do butelki z lekarstwem, więc innymi słowy, morderstwo popełniła osoba nie należąca do rodziny. Wszystko to wskazuje niezbitnie, że zbrodniarzem musiał być ktoś z zewnątrz.

Brałem to pod uwagę, ale z tropu zbijali mnie Boyntonowie, którzy zachowywali się bardzo podejrzanie. Zadawałem sobie pytanie, czy istnieje możliwość, by mimo reakcji winowajców ci ludzie byli niewinni? Głowiłem się, aby dowieść jakoś ich niewinności, nie winy! Obecnie mamy nowy punkt wyjścia. Morderstwo popełnił ktoś z zewnątrz, to znaczy osoba, która nie była z panią Boynton na stopie wystarczająco zażyłej, aby wejść do jej groty lub w inny sposób znaleźć dostęp do butelki z lekarstwem.

Ponownie nastąpiła krótka pauza.

— W tym pokoju — podjął Herkules Poirot — są trzy osoby obce Boyntonom, lecz dość mocno związane z naszą sprawą. Pan Cope, nad którym zastanowimy się w pierwszym rzędzie, od lat bliski przyjaciel Boyntonów. Czy mógł mieć motyw zbrodni i sposobność jej popełnienia? Wydaje się to nieprawdopodobne. Śmierć pani Boynton byłaby dlań niekorzystna, jako udaremnienie pewnych nadziei. Niepodobna przypisać mu żadnego motywu, chyba żeby to było fantastyczne pragnienie uszczęśliwiania bliźnich albo coś, o czym nikt z nas nie ma pojęcia.

— Czy to nie przesada, proszę pana? — zapytał z godnością Jefferson Cope. — Należy pamiętać, że absolutnie nie miałem sposobności, aby tę zbrodnię popełnić, a ponadto hołduję z całym przekonaniem zasadzie świętości życia ludzkiego.

— Istotnie — przyznał detektyw — pańska pozycja wydaje się niezachwiana. Dlatego właśnie w powieści kryminalnej byłby pan najbardziej podejrzany. A teraz zajmijmy się panią — zwrócił się do Sary King, nachylając się ku niej. — Panna King mogłaby mieć motyw zbrodni. Jako lekarka dysponuje odpowiednią wiedzą i jest osobą o stanowczym charakterze. Ponieważ jednak wyszła z obozu w licznym towarzystwie o wpół do czwartej, a wróciła dopiero koło szóstej, trudno wyobrazić sobie, by miała jakąkolwiek sposobność.

Znowu zaległa cisza.

— Wreszcie zastanówmy się nad doktorem Gerardem. Tutaj musimy, oczywiście, wziąć pod rozwagę czas, w jakim morderstwo zostało popełnione. Według ostatniego zeznania pani Nadine Boynton, denatka nie żyła już o czwartej trzydzieści pięć. Lady Westholme i panna Pierce twierdzą, że była żywa, kiedy o czwartej piętnaście wyruszały na spacer. Pozostaje dwadzieścia minut, co do których brak jakichkolwiek danych. Gdy wspomniane panie opuszczały obóz, doktor minął je w powrotnej drodze. Nikt nie potrafi stwierdzić, co doktor Gerard zrobił, znalazłszy się w obozie, ponieważ lady Westholme i panna Pierce szły w przeciwną stronę. Istnieje więc pewne prawdopodobieństwo, że właśnie on mógł popełnić zbrodnię. Jako lekarz, zdołałby bez trudności symulować nadchodzący atak malarii. Mógłby również mieć motyw: chęć ratowania osoby, której zdrowym zmysłem (to czasem gorzej niż życiu) groziło poważne niebezpieczeństwo. Mógłby sądzić, że w takim celu warto usunąć kogoś, kto i tak jest bliski kresu.

— Pan miewa fantastyczne pomysły! — powiedział Francuz.

Poirot zlekceważył tę wypowiedź i mówił dalej:

— Ale gdyby nawet tak było, czemu doktor miałby dać pierwszy sygnał, że coś brzydko pachnie? Bez rozmowy z nim pułkownik Carbury z pewnością nie zainteresowałby się sprawcą i śmierć pani Boynton uznano by za naturalną. To doktor Gerard wspominał o prawdopodobieństwie zabójstwa. Taki krok, proszę państwa, byłby absolutnie niedorzeczny!

— I mnie się tak zdaje — burknął Carbury.

— Widzę jeszcze jedną możliwość — podjął mały Belg. — Bardzo niedawno Nadine Boynton zaprotestowała gwałtownie przeciw kierowaniu podejrzeń ku jej młodej szwagierce. Zaprotestowała gwałtownie, ponieważ wiedziała, że w owym czasie pani Boynton już nie żyła. To główny powód. Nie zapominajmy jednak, że Ginevra Boynton spędziła w obozie całe popołudnie. A była chwila, krótka chwila, kiedy panna Pierce i lady Westholme wyszły na spacer, zaś doktor Gerard nie zdążył jeszcze wrócić.

Ginevra drgnęła, pochyliła się do przodu, spojrzała prosto w twarz detektywa.

— Ja to zrobiłam? Myśli pan, że mogłabym ją zabić? Szybkim, swobodnym, nieporównanie pięknym ruchem poderwała się z krzesła i podbiegłszy do doktora, padła przed nim na kolana. Przygarnęła się doń i spoglądając mu w oczy, zawołała z rozpaczą:

— Nie! Nie! Proszę im nie pozwolić, by tak mówili. Oni chcą mnie znów rzucić za czarne mury! To nieprawda! Ja nic nie zrobiłam! Moi wrogowie chcą mnie wtrącić do więzienia. Ty jeden mi pomożesz! Musisz pomóc!

— Spokojnie, drogie dziecko, spokojnie — powiedział lekarz i zwrócił się do detektywa: — Opowiada pan brednie!

— Mania prześladowcza? — zapytał szeptem Poirot.

— Tak. Ale skąd pan wpadł na taki pomysł? Ona musiałaby to zrobić bardziej efektownie, dramatycznie. Posłużyłaby się sztyletem, czymś widocznym, zwracającym uwagę!... Ale ta chłodna, niezachwiana logika? Nie, drodzy państwo! Tę zbrodnię popełnił człowiek zdrowy na umyśle!

Poirot uśmiechnął się i nieoczekiwanie pochylił głowę, spoglądając na Francuza.

— Doktorze! W pełni podzielam pańskie zdanie.

ROZDZIAŁ XXV

— Naprzód! — podjął mały Belg. — Niewiele drogi przed nami! Doktor Gerard odwołał się do psychologii. Zajmijmy się więc psychologiczną stroną sprawy. Rozpatrzyliśmy fakty, ustaliliśmy chronologiczny bieg wydarzeń, wysłuchaliśmy poszczególnych zeznań. Pozostała jeszcze psychologia, a w pierwszym rzędzie analiza psychologiczna nieboszczki, pani Boynton.

Spójrzmy teraz na dwa punkty w rejestrze wydarzeń: trzeci i czwarty: „Pani Boynton pilnowała, by jej dzieci nie nawiązywały kontaktów towarzyskich z osobami postronnymi. W wiadome popołudnie pani Boynton wyprawiła na spacer całą rodzinę”. Te punkty wyraźnie stoją w sprzeczności. Dlaczego akurat w tamto popołudnie pani Boynton zmieniła swoją taktykę? Może serce jej zmiękło? Może był to nagły przyływ łaskawości? Na podstawie tego, co nam wiadomo, wydaje się to mało prawdopodobne. Ale musiał istnieć jakiś powód. Jaki?

Przestudujmy dokładnie charakterystykę pani Boynton. Zyskaliśmy kilka różnych opinii w tym względzie: stara sekutnica i tyran domowy; sadystka o skłonności do zadawania cierpienia moralnych; uosobienie zła; kobieta obłąkana. Który z tych poglądów odpowiada prawdzie? Osobiście jestem zdania, że najbliższej prawdy była panna Sara King, gdy pod wpływem nagłego olśnienia dostrzegła nie tylko śmieszność starszej pani, ale i jej próżność, i zrozumiała, że nie powiodło jej się w życiu.

Spróbujmy przestawić się w miarę możliwości na sposób myślenia pani Boynton. Przyszła na świat z wybujałymi ambicjami, żądzą władzy, dążeniem do imponowania. Nie wysublimowała tych cech, nie usiłowała ich stłumić. Nic podobnego, drodzy państwo! Pielęgnowała je troskliwie! Jaki był tego rezultat? Zechcą państwo posłuchać mnie uważnie. Co osiągnęła pani Boynton? Nie była kimś, kto budzi nienawiść i grozę w rozległych kręgach. Tyranizowała tylko jedna żyjącą w odosobnieniu rodzinę! Doktor Gerard słusznie powiedział, że pani Boynton, jak to zazwyczaj bywa ze starszymi paniami, znudziła się swoim hobby, postanowiła szukać lepszej, bardziej urozmaiconej zabawy. Ale to właśnie stworzyło całkiem inny aspekt sprawy. W trakcie zagranicznej podróży starsza pani uprzytomniła sobie, jak niewiele znaczy dla swego otoczenia.

I oto doszliśmy do punktu dziesiątego mojego rejestru: słów rzuconych w Jerozolimie. Jak już wspominałem, Sara King była najbliższej prawdy. Zdemaskowała w pełni całą żalostniczość schematu życiowego tamtej kobiety. Proszę zastanowić się głęboko nad sensem sceny w Jerozolimie, przypomnieć sobie słowo po słowie, co powiedziała wtedy pani Boynton. Według panny King mówiła wówczas z wyjątkową pasją i nawet nie patrzyła na nią. A słowa brzmiały: „Ja nic nie zapominam. O tym trzeba pamiętać. Nigdy nic nie zapominam: sytuacji, nazwiska, twarzy”. Na Sarze King wywarło to ogromne wrażenie. Ochrypli głos! Ton pełen zabójczego jadu! Wrażenie było tak silne, że jak mi się zdaje, bardzo dziwna treść tych słów nie dotarła do panny King. Drodzy państwo! Obecnie zorientowaliście się chyba, że nie była to sensowna odpowiedź na wszystko, co panna King mówiła uprzednio. „Nigdy nic nie zapominam: sytuacji, nazwiska, twarzy.” To nedorzecznosc! Gdyby pani Boynton powiedziała: „Nie zapominam impertynencji”. Zgoda! Ale dlaczego „twarzy”?

Dlaczego? — Poirot klasnął w dłonie. — Odpowiedź nasuwała się sama! Słowa rzucone na pozór pannie King nie do niej były adresowane. Miał je usłyszeć ktoś inny, kto znajdował się wówczas za panną King!

Poirot powiódł wokół spojrzeniem, by sprawdzić, jaki sprawił efekt.

— Tak, to był psychologiczny moment, najistotniejszy w życiu pani Boynton. Została zdemaskowana przez inteligentną młodą kobietę! Była w furii i pełna rozpacz. I w tej chwili poznała kogoś: jakąś „twarz” z przeszłości.

W ten sposób, proszę państwa, wróciliśmy do osoby z zewnątrz. Wróciliśmy też do niepojętej łaskawości, jaką pani Boynton przejawiała w dniu swojej śmierci. Chciała pozbyć się rodziny, ponieważ, jak to się mówi potocznie, złapała nową srokę za ogon. Musiała oczyścić pole, by odbyć rozmowę z nową ofiarą!

Obecnie, proszę państwa, rozważymy przebieg wydarzeń fatalnego popołudnia pod tym odmiennym kątem widzenia. Młodzi Boyntonowie wybrali się na spacer. Pani Boynton siedzi w fotelu przed wejściem do swojej groty. Zastanówmy się uważnie nad zeznaniami lady Westholme i panny Pierce. Ta ostatnia jest świadkiem nie budzącym zaufania i nader łatwo ulega sugestiom. Obydwie twierdzą zgodnie, że Beduin z obozowej służby podszedł do pani Boynton, czymś ją zirytował, a następnie wycofał się spiesźnie. Lady Westholme zeznaje z całą pewnością, że służący wszedł najpierw do namiotu Ginevry, ale proszę nie zapominać, że namiot doktora Gerarda był w bezpośrednim sąsiedztwie. Istnieje zatem prawdopodobieństwo, że ów Beduin wchodził do namiotu doktora...

— Chce pan powiedzieć — przerwał detektywowi Carbury — że któryś z Beduinów uśmiercił starszą panią przy pomocy zastrzyku? Czysta fantazja!

— Chwileczkę, panie pułkowniku — podjął Poirot. — Jeszcze nie skończyłem. Przyjmijmy zatem, że służący mógł wejść do namiotu doktora, nie Ginevry. Co dalej? Obydwie panie twierdzą jednomyślnie, że nie widziały dokładnie twarzy służącego, ani też nie mogły dosłyszeć wymiany słów. To zrozumiałe. Odległość między markizą a półką skalną przed grotami wynosi jakieś sto osiemdziesiąt metrów. Natomiast lady Westholme szczegółowo opisuje wygląd Beduina. Mówi, że był ubrany niechlujnie i miał podarte i łatane spodnie do konnej jazdy.

Detektyw zrobił pauzę. Pochylił się do przodu.

— I to — podjął — drodzy państwo, jest dziwne, bardzo dziwne! Lady Westholme nie słyszała rozmowy, nie widziała twarzy tamtego człowieka, ale zaobserwowała dokładnie stan jego spodni i owijaczy! Błąd, moi mili, który mnie zastanowił. Czemu lady Westholme mówiła z takim naciskiem o podartych spodniach i niechlujnie założonych owijaczach? Może dlatego, że spodnie nie były podarte, a owijacze w ogóle nie istniały? Lady Westholme i panna Pierce widziały tego Beduina, ale nie mogły widzieć siebie nawzajem. Potwierdzają to słowa lady Westholme, która poszła zobaczyć, czy panna Pierce nie śpi i zastała ją przed namiotem, zajętą lekturą.

— Na Boga! — zawołał pułkownik Carbury i wyprostował się na krześle. — Zmierza pan do...

— Zmierzam do tego, że lady Westholme sprawdziła, co robi panna Pierce, jedyny w danym czasie świadek. Później wróciła pod swój namiot, gdzie przebrała się w spodnie do konnej jazdy, buty i żakiet koloru khaki. Z szala w czarno-białą kratę oraz pasma wełny zaimprovizowała keffję i tak odziana poszła śmiało do namiotu doktora. Spenetrowała jego apteczkę podróżną i znalazłszy lek, jaki był jej potrzebny, napełniła nim strzykawkę. Później podeszła do pani Boynton, która, być może, drzemała. Działała błyskawicznie. Ujęła ofiarę za rękę i zrobiła zastrzyk. Pani Boynton krzyknęła zapewne, próbowała wstać z fotela i osunęła się nań z powrotem. Rzekomy Beduin umknął co tchu, sprawiając wrażenie, że przeskrobał coś i został zbesztany. Pani Boynton pogroziła mu laską, raz jeszcze usiłowała się dźwignąć i ponownie opadła na fotel.

W pięć minut później lady Westholme wróciła do panny Pierce. Wszczęła rozmowę na temat sceny, której była świadkiem przed chwilą, i zasugerowała własną wersję. Później panie wybrały się na spacer, a kiedy przechodziły poniżej półki skalnej, lady Westholme odezwała się do pani Boynton i, oczywiście, nie otrzymała odpowiedzi, gdyż jej ofiara już nie żyła. Jednakże potrafiła wmówić swej towarzyszce, że starsza pani potraktowała ją grubiańsko, odpowiadając tylko mruknięciem. Panna Pierce uległa sugestii, bo już dawniej słyszała takie mruknięcia, a w razie potrzeby gotowa byłaby zeznać pod przysięgą, że tym razem również

słyszała. Lady Westholme przewodniczyła nieraz licznym zebraniom kobiet pokroju panny Pierce, a więc zdawała sobie sprawę, jaki wpływ wywiera jej pozycja socjalna i władczy sposób bycia. Doskonały plan zawiódł w jednym tylko szczególe. Lady Westholme nie zdążyła podrzucić do namiotu strzykawki. Doktor Gerard wrócił przedwcześnie z ciężkim atakiem malarii. Miała jednak nadzieję, że nie zauważy braku strzykawki i podrzuci ją w nocy.

— Ale dlaczego? — wykrzyknęła Sara King. — Dlaczego lady Westholme miałyby zabić panią Boynton?

— Wiem od pani — odparł Poirot — że lady Westholme znajdowała się w pobliżu, kiedy w Jerozolimie rozmawiała pani z panią Boynton. Do lady Westholme adresowane były słowa: „Nigdy nic nie zapominam: sytuacji, nazwiska, twarzy”. Proszę zestawić to z faktem, że pani Boynton była niegdyś strażniczką więzienną, a nader łatwo wysnuje pani logiczny wniosek. Lord Westholme poznał swą żonę w czasie powrotnego rejsu z Ameryki. Przed ślubem lady Westholme popełniła jakieś przestępstwo i odbyła karę więzienia.

Rozumieją państwo, oczywiście, w jak straszliwej znalazła się matni? Jej ambicje, kariera polityczna, pozycja towarzyska, wszystko było zagrożone. Nie wiem, za co została ukarana więzieniem, ale dowiemy się wkrótce. W każdym razie musiało to być przestępstwo, które, gdyby przedostało się do publicznej wiadomości, zniszczyłoby jej karierę. I jeszcze jedno, o czym należy pamiętać: pani Boynton nie była zwykłą szantażystką. Nie zależało jej na pieniądzach. Przez jakiś czas bawiłaby się dręczeniem ofiary. Później oznajmiłaby prawdę w sposób jak najbardziej efektowny. Nie! Lady Westholme nie mogła być bezpieczna, dopóki tamta żyje. Posłuchała wskazówki pani Boynton, by spotkać się z nią w Petrze. Dziwiłem się nawet, czemu osoba przekonana, iż zajmuje tak wybitną pozycję, zdecydowała się na podróż jak zwyczajna turystka. Niewątpliwie od początku obmyślała plan morderstwa i znalazła sposobność, by wprowadzić go w czyn. Ale nie uniknęła dwu drobnych potknięć. Pierwsze, to zbyt drobiazgowy opis podartych i łatanych spodni Beduina, co zwróciło moją uwagę. Drugie omyłkowe wejście pod namiot Ginevry Boynton zamiast doktora Gerarda. Stąd ta półzmyślona, półprawdziwa opowieść dziewczyny o szejku i wrogach w przebraniu. To uderzyło mnie również, drodzy państwo.

Jeszcze raz zaległa na moment cisza, zanim Herkules Poirot przemówił:

— Rychło dowiemy się więcej. Dziś zjąłem odciski palców lady Westholme, ma się rozumieć bez jej wiedzy. Wystarczy wysłać je do więzienia, w którym pani Boynton była strażniczką.

W tej chwili rozległ się głośny huk.

— Co to takiego? — zapytał doktor Gerard.

— Chyba wystrzał — powiedział pułkownik Carbury. — W sąsiednim pokoju. Kto go zajmuje?

— O ile się nie mylę... lady Westholme — wyjaśnił półgłosem mały Belg.

ROZDZIAŁ XXVI

Wycinek z „Głosu Wieczornego”.

Z przykrością donosimy o zgonie lady Westholme, deputowanej do Parlamentu, która zginęła skutkiem tragicznego wypadku. Lady Westholme lubiła podróże do egzotycznych krajów i nigdy nie rozstawała się z pistoletem kieszonkowym. Przy czyszczeniu tej broni przypadkowo padł strzał, na nieszczęście śmiertelny. Wyrażamy głębokie współczucie małżonkowi zmarłej...

Po pięciu latach od tych wydarzeń w ciepły wieczór lipcowy Sara Boynton oraz jej mąż byli w jednym z londyńskich teatrów. Grano „Hamleta”. Sara ścisnęła rękę Raymonda. Ten głos! Jak zawsze piękny w tonie, ale dziś doskonale opanowany, nastrojony niby instrument muzyczny.

Kiedy kurtyna opadła po ostatnim akcie, młoda pani Boynton powiedziała z całym przekonaniem:

— Jinny to wielka aktorka! Później była kolacja w „Savoyu”.

Ginevra — uśmiechnięta i jak gdyby nieobecna — zwróciła się do brodatego mężczyzny, który siedział obok niej:

— Chyba dobra dziś byłam? Prawda, Teodorze?

— Byłaś wspaniała, *chérie*.

Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej uszczęśliwiony.

— Ty zawsze wierzyłeś we mnie — szepnęła. — Wiedziałeś od początku, że potrafię dokonać wielkich czynów, poruszyć tłumy.

— Jak to cudownie być tu, w Londynie — gdzie Jinny gra Ofelię i jest taka sławna — powiedziała Nadine, która zajmowała miejsce naprzeciw młodej szwagierki.

— Cieszę się, że i was mam tutaj — podchwyciła serdecznie Ginem.

— Prawdziwy zjazd rodzinny! — Nadine z uśmiechem objęła wzrokiem towarzystwo zebrane wokół stołu; później zwróciła się do męża: — Chyba dzieci mogłyby pójść na popołudniówkę? Jak sądzisz? Są już duże i bardzo pragną zobaczyć ciocię Jinny na scenie.

Lennox — w znakomitej formie, zadowolony z życia, z roześmianymi oczyma uniósł kieliszek.

— Zdrowie najmłodszej pary małżeńskiej, państwa Cope! Jefferson Cope i Carol podziękowali za toast.

— Ach, ty wiarołomco! — roześmiała się Carol. — Lepiej wypiłbyś, Jeff, zdrowie swojej pierwszej miłości.

— Jeff rumieni się! — podchwycił wesoło Raymond. — Bardzo niechętnie wspomina dawne czasy!

Twarz spochmurniała mu, lecz pod delikatnym dotknięciem ręki Sary rozpogodziła się znowu. Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Wydaje się to koszmarnym snem — powiedział.

Do rodzinnego stołu podszedł Herkules Poirot, uśmiechnięty, ubrany sztywnie, z wspaniałe wypielęgnowanymi wąsami.

— *Mademoiselle* — zwrócił się do Ginevry i skłonił szarmancko. — Wyrazy najwyższego uznania! Była pani cudowna!

Powitali go serdecznie, zrobili mu miejsce obok Sary. Mały Belg uśmiechnął się promiennie, a podczas ożywionej rozmowy pochylił się i szepnął do sąsiadki:

— I co? W rodzinie Boyntonów wszystko, jak widzę, w porządku.

— Dzięki panu — odpowiedziała.

— Pani mąż robi się sławny — podjął. — Dzisiaj czytałem entuzjastyczną recenzję z jego ostatniej książki.

— Tak. Książkę nawet ja uważam za dobrą. Wie pan, że Carol i Jefferson Cope pobrali się nareszcie? A Nadine i Lennox mają parkę przemyłych dzieci! I Jinny... Co powiedzieć o Jinny? Moim zdaniem, to genialna artystka.

Przez stół spojrzała na piękną twarz pod koroną złocisto-rudych włosów. Nagle wzdrygnęła się lekko, twarz jej spoważniała, lecz po chwili z uśmiechem sięgnęła po kieliszek.

— Chce pani wznieść toast, *madame*? — zapytał Poirot.

— Pierwszy raz... tak nieoczekiwanie... pomyślałam o niej — odrzekła z wolna Sara. — Spojrzałam na Jinny i dostrzegłam podobieństwo... Ale Jinny to światło, a ona była zawsze mrokiem.

Po przeciwnej stronie stołu Ginevra odezwała się niespodziewanie:

— Biedna mama... była taka dziwna... Teraz, gdy wszyscy jesteśmy bardzo szczęśliwi, współczuję jej czasami. Nie dostała od życia tego, czego chciała. Musiało jej być ciężko.

KONIEC